

Anna Tabak

Bursztynowy
ANIOŁ

Anna Tabak 
Bursztynowy
ANIOŁ

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Anna Tabak
Bursztynowy anioł

ISBN 978-83-8116-023-0

Copyright © by Anna Tabak, 2017
All rights reserved

Redaktor
Witold Kowalczyk

Projekt okładki i stron tytułowych
Wioletta Markiewicz

Projekt typograficzny i łamanie
Grzegorz Kalisiak / *Pracownia Liternictwa i Grafiki*

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Bursztynowy anioł

Od Autorki

Bursztynowy anioł

Siedzę przy stoliku pod oknem w ślicznej kremowej bluzce Karoliny, brązowej falbaniastej spódnicy, okropnie niewygodnych szpilkach Agaty i co chwilę zerkam na zegarek. Siedemnaście minut spóźnienia. W normalnych okolicznościach bym się tak nie stroiła, ale i on nie zapraszałby mnie do eleganckiej restauracji, tylko po prostu wyszlibyśmy na pizzę czy coś w tym rodzaju. Może wreszcie chce porozmawiać o wspólnym mieszkaniu? A może, hmm, chciałby się oświadczyć?! No bo, jakkolwiek by na to spojrzeć, to już cztery lata jesteśmy razem. A ta restauracja jest zdecydowanie idealnym miejscem na oświadczyń — subtelna muzyka, pastelowe kolory, stoliki stojące od siebie w odległości zapewniającej nieco prywatności, piękne kompozycje kwiatowe — czysta elegancja bez tej onieśmielającej wyniosłości i powagi, kiedy człowiek kompletnie nie ma pojęcia, jak się zachować, a na widok liczby i różnorodności sztuców ma ochotę rzucić się do ucieczki. Mam tylko nadzieję, że Alex nie wparuje tu nagle odziany jedynie w czerwone slipy i tandetne tekturowe skrzydła i nie padnie przede mną na kolana jak Jason Biggs w tej zwariowanej komedii *Weselna gorączka*, kiedy to podczas oświadczyń jego dziewczyna zmarła na zawał serca, bo po takim obciachu musiałabym się poważnie zastanowić nad odpowiedzią.

Poznaliśmy się jeszcze w liceum, na hucznej osiemnastce kolegi. Wyglądał tak słodko i pociągająco w tych swoich przetartych sztruksach i flanelowej koszuli, z niesforną fryzurą i zawadiackim uśmiechem. Od razu mnie oczarował swoim poczuciem humoru i błyskotliwością. Dziewczyny za nim szalały, ale ja, stosując się do niezawodnych rad swojej mamy, postanowiłam grać zimną i niedostępną. Zdziałało. Dwa miesiące później byliśmy już parą. Początki okazały się ciężkie, ale ta znajomość zdecydowanie była tego warta.

O, właśnie idzie. Czas najwyższy. No proszę, i nawet ma na sobie czarną koszulkę i marynarkę. Mhm, nic nie działa na mnie bardziej podniecająco niż zabójczo przystojny brunet w czarnej koszulce, i Alex doskonale o tym wie.

— Cześć. — Cmoknął mnie w policzek. — Mam nadzieję, że nie czekałaś zbyt długo.

Czekałam, ale co tam. Przecież nie będę się obrażać przed oświadczyńami. Albo chociaż propozycją zamieszkania razem. Uśmiechałam się więc promiennie i otworzyłam kartę dań. Dzięki Bogu oprócz włoskich nazw podane są również objaśnienia po polsku, nie tak jak w tej greckiej knajpie, gdzie najdroższa potrawa o najdłuższej i najbardziej egzotycznie brzmiącej nazwie okazała się ohydny paskudztwem przypominającym surowego ślimaka. Po namyśle zdecydowałam się na *melanzane alla parmigiana*, czyli bakłażany zapiekane z pomidorami i parmezanem. Alex wziął jakiś makaron i zamówił dla nas butelkę wina. Jedząc,

rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym — o moich przyjaciółkach, nowym samochodzie jego brata, ostatnio obejrzanym filmie. Kiedy zjedliśmy wszystko, co było do zjedzenia, i wypiliśmy wszystko, co było do wypicia, rozmowa jakby przestała się kleić. Alex cały czas nerwowo stukał palcami o stół. W końcu zapytał o zdrowie mojej mamy, jakby nie widział jej zaledwie dwa dni wcześniej całej i zdrowej. Pewnie się stresuje, biedaczek, bo w końcu człowiek zwykle oświadcza się tylko raz w życiu. Jeśli mu się poszczęści, oczywiście.

— Wiesz, Aśka, jest taka sprawa... — odezwał się wreszcie. — Jesteśmy już ze sobą dość długo.

Drapał się nerwowo po tej swojej czarnej czuprynie, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W moim idealnym scenariuszu powinien teraz patrzeć mi w oczy i trzymać mnie za rękę, którą przezornie położyłam na stole w jego zasięgu. Ale co tam, ten moment i tak jest jedyny w swoim rodzaju. Uśmiechnęłam się więc zachęcająco, aby dodać mu odwagi.

— Myślę, że powinniśmy się rozstać — oznajmił, po czym odetchnął głośno, jakby mu ulżyło, że wreszcie to z siebie wykrztusił.

A ja? No cóż, poczułam się, jakbym dostała młotkiem w głowę.

— Chcesz powiedzieć, że to koniec? — Mój głos stał się nienaturalnie wysoki i piskliwy. Cholera, dwie babki siedzące przy sąsiednim stoliku zaczynają się na nas gapić i coś tam do siebie szepczą. „Oddychaj, nie histeryzuj, myśl jasno” — powiedziałam sobie w myślach. „Nie rób sceny. Może on tylko żartuje”.

— Chcę być z tobą szczerzy. Lubię cię...

„Lubię?! Tylko tyle?!”

— Przeżyliśmy razem wiele miłych chwil, ale czuję, że, no wiesz, nie mogę się ograniczać.

On chyba jednak mówił poważnie.

— Myślę, że to jest ten moment, by każde z nas poszło w swoją stronę. Nie możemy się od siebie uzależniać. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Tak, gnojku. Zrezygnowałam z aktorstwa i męczę się na studiach ekonomicznych tylko dlatego, że tak mi radziłeś, odwiozłam ukochanego kota Filemona do ciotki, ponieważ tak się składa, że masz uczulenie na kocią sierść, nie wspominam już o kursie gotowania, na który się zapisałam, żeby ci sprawić przyjemność, chociaż na sam widok książki kucharskiej robi mi się niedobrze. Niestety, zabrakło mi w tej chwili odwagi, żeby powiedzieć to wszystko na głos.

Nagle leżąca na stole komórka Alexa zaczęła wibrować. Zerknęłam szybko na wyświetlacz: Agnieszka. Czyli wszystko jasne — ma inną. To by tłumaczyło te wszystkie dodatkowe zlecenia, kiedy podobno nie miał dla mnie czasu. Starłam się przybrać obojętny wyraz twarzy, kiedy Alex rozmawiał z nią przez telefon, ale czułam, że wszystko się we mnie gotuje.

— Przepraszam, Myszeko...

Myszko?! Do wczoraj to ja byłam Myszką...

— ...ale to nie jest odpowiedni moment. Oddzwonię później. Ja ciebie też.

Pa.

Cóż za brak taktu! Dlaczego ja tego wcześniej nie zauważałam?

Popatrzył na mnie przepraszająco.

— Poznaliśmy się miesiąc temu — wyjaśnił. — Jest modelką.

Poczułam, że tracę nad sobą kontrolę. Bo nie dość, że od miesiąca mnie zdradzał, to jeszcze najwidoczniej uznał, że jestem brzydka. Nigdy nie uważałam, by mi czegoś szczególnie brakowało, ale, jak widać, zwykła ładna dziewczyna już mu nie wystarcza. Nagle zachciało mu się malowanej lali, zapewne pustej jak teraz nasza butelka po winie, ale za to z nogami aż po szyję i kilkucentymetrową warstwą tapety. Tak właśnie wyobraziłam sobie tę Agnieszkę i byłam przekonana, że moje wyobrażenie jest jak najbardziej trafione. No dobra, czas to zakończyć i odejść w jakim takim stylu. Już się podnosiłam z zamiarem wymierzenia mu siarczystego policzka, który będzie jeszcze długo pamiętał i przykro wspominał, kiedy Alex uniósł prawą rękę, jakby nagle o czymś sobie przypomniał.

— Jeszcze jedna sprawa.

Usiadłam.

— Mam nadzieję, że się nie zdenerwujesz.

Czy coś mogło zdenerwować mnie jeszcze bardziej?

— Ta kasa, którą mieliśmy odłożoną na wycieczkę do Rzymu... no... potrzebuję jej. Jak by ci to powiedzieć, znaleźliśmy mieszkanie i muszę wpłacić zaliczkę.

To jest dopiero bezczelność. Poczułam, jak cały tupet uchodzi ze mnie jak powietrze z przekłutego balonika.

— Ja... muszę do łazienki... — wyjąkałam.

Chwyciłam swoją torebkę i ruszyłam w stronę toalet, starając się nie rozplakać. Cholera, za późno, już czuję, jak tusz spływa mi po policzku. Dwie kobiety z sąsiedniego stolika ledwo oddychają z nadmiaru wrażeń i emocji. Niechcący dostarczyliśmy im rozrywki, będą miały znakomity temat do plotek na następny tydzień.

Zatrzymałam przechodzącą kelnerkę.

— Jest tu jakieś tylne wyjście? — spytałam cichutko i wskazałam za siebie kciukiem na tego palanta. Dziewczyna chyba załapała, bo przez jej twarz przemknął cień zrozumienia, chwyciła mnie za łokieć i pociągnęła w kierunku prowadzących w dół schodów. Musiałam wyglądać naprawdę żałośnie.

— Przez kuchnię — szepnęła konspiracyjnie. Przeprowadziła mnie przez dwa pełne uwijających się kucharek pomieszczenia i otworzyła drzwi wychodzące na wąską uliczkę.

— Nie wiem, jak ci dziękować... — Zaczęłam przetrząsać torebkę

w poszukiwaniu portfela, chyba wypadaloby dac jej jakis napiwek czy cos, ale powstrzymala mnie gestem.

— Nie trzeba, naprawde. Bede miala doskonala zabawe, patrzac, jak twój znajomy siedzi tam sam jak palec, az w koncu dotrze do niego, ze zostal zrobiony w konia. I nie przejmuj sie, nie warto.

Ktos zawolal ja z kuchni, usmiechnela sie, odwrócila i zniknela, zanim zdazyłam jej jeszcze raz podziekowac. „Jednak sa jeszcze mili ludzie na tym okropnym swiecie” — pomyslam i troche mnie to podbudowalo. Ale tylko troche, bo zaraz przypomnialam sobie Alexa mowiacego: „Myśle, ze powinniśmy sie rozstac” i podzialalo to na mnie jak kubel zimnej wody, w przenośni i doslownie. Bo powiedziec, ze padalo, to nic nie powiedziec. To bylo istne oberwanie chmury. A ze do restauracji podwiozla mnie Agata, z powrotem zas mialam nadzieje wrócic z Alexem, nie mialam przy sobie ani kurtki, ani chociazby zakietu, nie mowiac juz o parasolu. Cieniotka kremowa bluzka i szpilki mialy zapewnic mi stylowy i elegancki wyglad, ale na pewno nie nadawaly sie na maraton w deszczu. Juz mialam siegnac do torebki po komorkę, kiedy przypomnialam sobie, ze zostawilam ja rozladowana na lozku. Czyli wezwanie taksowki tez odpada.

Przeklinajac na czym swiat stoi i potykajac sie na nierownym chodniku, ruszylam w strone rynku. Do naszego malego, studenckiego mieszkanka przy Nowym Kleparzu szybkim krokiem mozna bylo stad dotrec w niecalo dwadzieścia minut. Tym razem bylo to najgorsze dwadzieścia minut w calym moim zyciu. Chociaz uwielbiam Sukiennice i nieodmiennie kojarzacy mi sie ze szkolnymi czasami pomnik Mickiewicza, teraz wolalabym, zeby nie istniaty. Najlepiej, zeby w ogole nie bylo Krakowa, a juz na pewno tej felernej restauracji. I zeby ten dupek nigdy sie nie urodzil. Czulam, jak mokra bluzka coraz bardziej przykleja mi sie do pleców, a w butach chlupie woda. Moje niesforne ciemne loki, na ktorych ujarzmienie przeznaczam codziennie od jednej do trzech godzin, pod wplywem wody zaczely sie jeszcze bardziej kręcic. No pięknie, jeszcze troche i bez zadnego wysilku uda mi sie uzyskac powalajace afro à la Erykah Badu.

Wreszcie zdołam dotrec do naszej klatki schodowej, gdzie nad wejściem jakis mlodociany przestepca w przyplywie tworczej energii zamiescil jakze podnoszacy na duchu napis: „WITAMY W PIEKLE”. Resztkami sil wspielam sie na drugie pietro i weszlam do mieszkania. Karolina i Agata musialy uslyszec szcęk klucza w zamku, bo juz siedzialy w przedpokoju, oczekujac natychmiastowego sprawozdania z kolacji. Na mój widok miny im zrzedyly. Stalam sobie, dygoczac z zimna na wycieraczce, w kałuży splywajacej ze mnie wody, z rozmazanym makijazem, a kolejne krople zalosnie skapywaly mi z czubka nosa wprost na podloge.

— Rzucil mnie. Ma inną — oznajmialam, po czym poslam do swojego

pokoju i z rozmachem zatrzęsłam za sobą drzwi.



Obudziło mnie przybierające na sile walenie w drzwi. To musi być Karolina, cichutka i spokojna Agatka nigdy nie zdobyłaby się na próbę wyważenia drzwi, a najwyraźniej ktoś właśnie usiłował to zrobić.

— Aśka, otwieraj natychmiast! Dzwoniła do mnie twoja mama!

— Powiedz jej, że mnie nie ma! I że zepsuł mi się telefon! — odwrzasnęłam i przewróciłam się na drugi bok.

— Tak właśnie zrobiłam, ale jeśli zaraz nie wyjdiesz, osobiście do niej oddzwonię i powiem, że od trzech dni nie wychodzisz z pokoju, nic nie jesz, nie pijesz i cierpisz na depresję. Masz dwie minuty.

To niezupełnie prawda, bo przecież muszę od czasu do czasu korzystać z łazienki. Pod łóżkiem mam zapasy wody mineralnej, więc śmierć z powodu odwodnienia też raczej mi nie grozi. A żywię się czekoladowymi misiami, które Agata troskliwie podrzuca mi przez szczelinę w drzwiach. Czyli wszystko jest OK, naprawdę. Jednak wizja mamy mającej skłonności do przesady i wyolbrzymiania problemów, która wpada nagle do mojego pokoju i załamuje ręce nad swoją drugą córką, sprawiła, że dostałam gęsiej skórki. A Karola naprawdę gotowa jest zadzwonić, ona nigdy nie żartuje, nawet jeśli oznacza to konieczność wysłuchiwania całej litanii narzekań i odpowiadania na milion wprawiających w zakłopotanie pytań. No dobra, wychodzę.

Tak jak się spodziewałam, w przedpokoju wpadłam na Karolinę czającą się ze smartfonem w ręce. Na mój widok chyba jej ulżyło, że jednak nie ma potrzeby informowania moich rodziców i tłumaczenia im, dlaczego ich córka odmawia wyjścia z pokoju. Odłożyła telefon i zaczęła mi się krytycznie przyglądać. Nie no, słowo daję, wiem, że mam nieumyte włosy i w starym dresie nie prezentuję się najlepiej, ale żeby zaraz tak człowieka lustrować?

— No co?! — warknęłam.

Chyba mój wygląd wzbudził w niej odrobinę litości, bo powstrzymała się od komentarzy.

— Grzeczna dziewczynka. A teraz pójdziesz się wykąpać, ubierzesz się przyzwoicie i zjesz obiad. A później niespodzianka.

— Nie lubię niespodzianek. — Aż boję się myśleć, co ona mogła przygotować.

— Ta ci się spodoba. Mam cały sezon *Teorii wielkiego podrywu*. Nic bardziej odmóżdżającego nie udało mi się znaleźć.

— O! — wyraziłam swoją aprobatę.

— Dokładnie, „o!”. A teraz marsz do łazienki.

Nie znoszę tego rozkazującego tonu Karoliny, ale prawda jest taka, że tylko dzięki jej zorganizowaniu nasza trójka żyje w jakim takim porządku.

W łazience przejrzałam się w lustrze i zrozumiałam, co tak przeraziło Karolę. Zobaczyłam upiora z zaczerwienionymi i zapuchniętymi oczami, bladą cerą i wronim gniazdem na głowie. Swoją drogą niesamowite, jak to człowiek może się zmienić przez zaledwie kilka dni siedzenia w pokoju i zamartwiania się.

Pół godziny później, już odrobinę odświeżona i bardziej podobna do siebie, poszłam do pokoju Agaty, która dysponowała dziewiętnastocalowym monitorem zastępującym nam telewizor. Ostatnio panował tu względny porządek, bo nasza studentka Akademii Sztuk Pięknych od kilku tygodni przeżywała kryzys twórczy, w związku z czym sztalugi, pędzle i inne przybory czekały grzecznie za szafą na przypływ weny. Do wszechobecnego zapachu terpentyny zdążyłyśmy się przyzwyczaić. Na stoliku już czekał na mnie talerz spaghetti, a dziewczyny siedziały ściśnięte na małej wersalce. Na mój widok Agata uśmiechnęła się, zapewne zadowolona, że wreszcie mnie widzi, i zrobiła mi miejsce. Dokładnie tego mi było trzeba. Spaghetti i odmóżdżającego serialu. Winkiem też bym nie pogardziła...

Po prawie trzech godzinach śledzenia perypetii genialnych naukowców i kalek emocjonalnych zarządzono przerwę na herbatkę. Wracając z kuchni, zerknęłam na otwarty kalendarzyk Agaty leżący na półce pod lustrem. Nie żebym była wścibska czy coś, no leżał tak sobie otwarty, to mi oko uciekło. Każdemu by uciekło, no nie? Ciekawe, co to znaczy: „zadzwoń do K.”. Czyżby coś mnie ominęło przez te kilka dni? Co ona tam ma jeszcze nabazgrołone? Hmmm, jakaś wystawa, odnieść książki do biblioteki... imieniny Małgorzaty. Małgorzaty... MAŁGORZATY!!! Wszystkie kary na mnie idą!!!

Dwie godziny później ostatni raz patrzę w lustro: idealnie biała bluzka z kołnierzykiem i bufkami, szare spodnie w kancik, pozornie delikatny makijaż ukrywający zaczerwienione oczy i znośna fryzura. Nie ma się do czego przyczepić; wszystkie guziki zapięte, nic nie wystaje i nie odstaje, żadnych plam i zwisających nitek. „Jak na dziewczynę, którą niedawno rzucił chłopak, to całkiem nieźle” — pomyślałam.

— Idę! — poinformowałam współlokatorki.

Wyjrzały zatroskane na korytarz i po raz milionowy życzyły mi powodzenia. Chwała niebiosom, że zajrzałam do tego kalendarza. Mój sfatygowany mózg jakimś cudem połączył te dwie informacje: „imieniny Małgorzaty” i „bądź na siedemnastą” we wczorajszym SMS-ie od mamy, który wykasowałam zaraz po otrzymaniu, bo pomyślałam, że coś jej się pomyliło i to miało być do kogoś innego. Złapałam torebkę ze skombinowanym na szybko prezentem, kluczyki do żółtego opla Agaty i wybiegłam na klatkę schodową. Piętnaście minut później, kiedy wreszcie udało mi się odpalić starego żółtka, byłam w drodze na drugi koniec

Krakowa — do cioci Gosi.

Rozumiecie, nie chodzi o to, że ja nie kocham swojej rodziny. Przecież to rodzina. Ale prawdą jest, że odkąd rozpoczęłam studia i wyprowadziłam się z domu rodzinnego w małej miejscowości pod Krakowem, spotkania z nimi ograniczam do minimum. Moja starsza siostra Olga zawsze była ich oczkiem w głowie; śliczna, utalentowana, w szkole odnosiła same sukcesy. Ja zawsze byłam „tą drugą”, sprawiającą najwięcej problemów; zawałam fizykę, ubierałam się zbyt krzykliwie, w podstawówce zrobiłam sobie kolczyk w pępku. Podobno babcie kochają wszystkie swoje wnuczki tak samo, ale ja słyszałam tylko: „Popatrz, jak ty wyglądasz. Znowu wyskoczył ci pryszcz na nosie. Olga nigdy nie miała pryszczy”. Kiedy Olga wyszła za męża za bogatego i superprzystojnego ortodonta, dostała pracę w prestiżowej firmie i urodziła śliczną córeczkę Anusię, czyli osiągnęła wszystko, co młoda kobieta mogłaby sobie wymarzyć, siłą rzeczy cała uwaga rodziny skupiła się na mnie.

Jestem następną córką na wydaniu i wszyscy oczekują, że pójdę w ślady Olgi. Kiedy rodzice poznali Alexa, byli nim zachwyceni. Wprawdzie nie był to nadziany lekarz, ale zawsze, wyglądał nieźle, miał przed sobą nie najgorsze perspektywy, no i raczył się zainteresować tą mniej udaną córką. Dlatego też starali się być dla niego mili, żeby broń Boże się nie rozmyślił. A on się i tak, cholera jasna, rozmyślił. A ja teraz mam stanąć przed całą zebraną na imieninowym przyjęciu rodziną, tłumaczyć im, dlaczego Alexa nie ma w tej chwili ze mną, i robić dobrą minę do złej gry. Pięknie. Po prostu cudownie.

O, już widać dom cioci — nowa szeregówka, do której wprowadziła się w zeszłym roku wraz z mężem Krzysztofem i szesnastoletnim synem Mackiem. Oby tylko było miejsce na zaparkowanie samochodu, bo Agata mnie zabije, jeśli znowu porysuję lusterka. Uff, jest. I to obok nowiutkiego, zapewne kosztującego fortunę audi — czyli Olga już przyjechała. Po drugiej stronie parkingu stał samochód rodziców, którzy pewnie przywieźli również babcię. To znaczy, wszyscy są na miejscu, siedzą przy stole i będą się na mnie gapić.

Poprawiłam bluzkę, wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam do drzwi. Otworzono mi niemal natychmiast.

— A, to tylko ty. Wejdz. — Maciek, najbardziej działający mi na nerwy nastolatek z mnóstwem żelu we włosach, usunął się, żeby zrobić mi przejście.

— „TYLKO” ja? Co ty sobie, cwaniaku, myślisz? Czekacie jeszcze na kogoś?

— Żebyś wiedziała. Na Świętego Mikołaja. I co, tyso ci? — Wystawił język i zniknął w kuchni, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

Ciocia Gosia wyszła wreszcie się przywitać. No proszę, ale się odstawiła. Te stare czarne perły prababci miała na sobie ostatnio dziesięć lat temu na pogrzebie dziadka, później już ich nie nosiła, bo podobno „są tylko na specjalne okazje”.

— O, Asieńka! Wejdz, nie stój tak w korytarzu!

Złożyłam cioci najbanalniejsze życzenia zdrowia, szczęścia i pomyślności, wręczyłam równie banalną torebkę z prezentem, na który nawet nie spojrzała, i weszłam do pokoju, gdzie cała moja rodzinka siedziała już przy suto zastawionym stole. Sztywno, jakby wszyscy kije połknęli. Ciocia się postarała, bo zwykle ograniczała się do jakiejś sałatki i ciasteczek, a dzisiaj, proszę, są nawet kwiaty, serwetki i porcelana. Zauważyłam, że jeśli chodzi o dzień imienin, to ludziom z wiekiem w dupach się przewraca, jeszcze trochę, a imieniny urosną do rangi święta narodowego. Jakby nie można było posiedzieć przy grillu w ogrodzie... Ale co ja tam wiem.

Kiedy już zostałam przez wszystkich wystarczająco wymiętoszona i wycalowana, podeszła do mnie mama. Ups, jej mina chyba nie wróży nic dobrego.

— Asia! Dziecko drogie, czy ty wiesz, co ja przez ciebie przeżywałam? Przez kilka dni nie mogłam się do ciebie dodzwonić, a kiedy już twoje koleżanki łaskawie odbierały telefon, dowiadywałam się, że cię nie ma! Co się dzieje?

— Eee, mamó, właściwie to ja wtedy nie czułam się najlepiej...

— Jak to?! Trzeba było powiedzieć, przecież bym przyjechała. Jesteś na coś chora? Błada jakaś się wydajesz. Boże święty, a może ktoś cię napadł? Mówiłam ci, żebyś się nie włóczyła wieczorem, teraz tylu różnych typów kręci się po ulicy...

— Nie, mamó, wszystko w porządku. Nikt mnie nie napadł, nigdzie sama nie wychodzę i uważam na siebie. Naprawdę, nie masz się czym martwić.

— No, to całe szczęście. Ale wolałabym jednak, żebyś odbierała telefon, kiedy do ciebie dzwonię. Chodźmy usiąść, masz miejsce koło babci.

Jak ja kocham ciocię Gosię. Zarezerwowała mi miejsce między przygłuchą babcią Lucyną a swoim synalkiem Maćkiem, który najprawdopodobniej cały czas będzie mnie dźgał widelcem. Niewykluczone też, że niby przypadkiem wyleje mi na bluzkę lampkę wina, tak jak dwa lata temu.

Ciocia zaczęła przynosić z kuchni kolejne półmiszki z jedzeniem. Po tradycyjnym wystąpieniu wujka („Wiśniówki? Malinówki? Cytrynowki? Pigwówki? Aroniówki? Eeee, to czystej polej”) i pierwszych toastach atmosfera trochę się rozluźniła, rozmowa zesłała na neutralne tematy, co u kogo słyhać, jakie kto ma plany. Dookoła stołu zaczęły krążyć zdjęcia Anusi, córki Olgi, która przez paskudne przeziębienie dzisiaj wyjątkowo została w domu z opiekunką. Co jak co, ale to jedno muszę Oldze przyznać, że córeczkę ma naprawdę kochaną.

Wujek Krzysiek musiał wcześniej walnąć Maćkowi kazanie, jak ma się zachowywać, bo siedział dość spokojnie i za wiele się nie odzywał. Ciocia promieniała, bo wszyscy wychwalali jej talent kulinarny. Tata żywo dyskutował z Markiem o motoryzacji, a że ja się na tym nie znam, to dość szybko się wyłączyłam.

Właśnie przyglądałam się całej rodzinie i myślałam, jak jednak jestem do nich przywiązana i że mimo wszystko te imieniny są całkiem znośne, kiedy babcia zadała pytanie, którego najbardziej się obawiałam:

— A gdzie ten, jak mu tam, kawaler naszej Asi? W zeszłym roku na imieninach byli razem.

— No właśnie, Asiu, gdzie zgubiłaś Alexa? — dołączyła ciocia.

— Miał dużo pracy w zeszłym tygodniu, wczoraj przyjął jeszcze jedno zlecenie. Kolega go prosił i po prostu nie mógł odmówić. Bardzo żałuje, że nie mógł przyjść i przeprosza. Kazał wszystkich pozdrowić — wyrecytowałam wyuczony na pamięć tekst, sklecony przez Karolinę. Obie uznałyśmy, że lepiej na razie utrzymać wszystko w tajemnicy, zanim sprawa trochę przycichnie.

— Co wyjął? Zgniecenie? Mówże, dziecko, głośniej.

No tak, zapomniałam, że do babci trzeba niemal krzyczeć.

— Co to za młodzież teraz, pstro w głowie, o ustatkowaniu się nawet nie pomyśli...

— A wiesz, córeńko, może powinniście się zastanowić, co dalej? To całkiem miły chłopak — wtrąciła się mama.

— Tak, mamó, zastanowimy się. — Przełknęłam głośno ślinę.

Zauważyłam, że Maciek uważnie mi się przygląda. Boże, żeby tylko ten cwaniak się nie domyślił. On wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

— A może Alex ją rzucił i Aśka boi się przyznać, co?

Zabiję gówniarza, słowo daję, że kiedyś zrobię mu krzywdę. Wszyscy patrzyli na mnie w oczekiwaniu, że zaprzeczę. A ja jakoś nie mogłam tak po prostu skłamać im w żywe oczy, tym bardziej że i tak w końcu wszystko by się wydało.

— Co jest, zgadłem? Wiedziałem, że jestem dobry w rozwiązywaniu zagadek. — Wyszczrzył zęby w głupkowskim uśmiechu. — Mówcie mi Bond. James Bond.



Telefon dzwoni non stop, wszyscy chcą wiedzieć, czy to prawda, że Alex mnie rzucił. Ponieważ w pierwszej chwili zawzięłam się i uparcie odrzucałam wszystkie połączenia, mama została zmuszona do zostawienia mi dwóch wiadomości na poczcie głosowej. W pierwszej, wyraźnie zdenerwowana, zarzucała mi, że zrobiłam niezłą scenę, wylewając Maćkowi na głowę dzbanek soku, przy okazji oblewając również babcię i niszcząc obrus oraz nową wykładzinę, a następnie wychodząc bez słowa pożegnania i przeprosin. W drugiej natomiast dopadły ją wyrzuty sumienia i zaczęła się dopytywać, czy to już definitywnie skończone, jak ja sobie teraz radzę, czy niczego nie potrzebuję i czy nie miałabym ochoty spędzić kilku dni w rodzinnym domu, żeby dojść do siebie. Jasne, o niczym

innym teraz nie marzę.

— Asia, tym razem dzwoni Maciek. Chcesz odebrać? — Agata weszła z moim telefonem w ręce.

— Nie... albo wiesz co, daj ten telefon.

Wzięłam głęboki oddech i przyłożyłam słuchawkę do ucha.

— Tego, no... Asia, ja cię...

— Zamknij się, idioto, nie chcę twoich przeprosin. Pewnie ciocia ci kazała zadzwonić i stoi teraz za tobą, tak?

— No, w zasadzie to masz rację... powiedziała, że zachowałem się nietaktownie. Cokolwiek to znaczy — zarechotał.

— Wiedziałam. Jesteś dupkiem i tyle, a ja się kiedyś odegram i zobaczymy, kto się wtedy będzie śmiał. Powiedz mi tylko jedną rzecz, ale bez ściemniania, co na to wszystko wujek? — Kto kiedykolwiek widział wkurzonego wujka, ten wie, co mam na myśli.

— Powiedział: „Ale heca!”. — Maciek zaczął chichotać.

— I tyle? Nie zdenerwował się ani nic?

— No... po tym, jak wyszłaś, dodał jeszcze: „Ale ta dziewczyna ma tupet!”.

Wujek to jednak równy gość.

— Dobra, powiedz jeszcze cioci, że przepraszam za ten sok i wykładzinę. Albo nie, w sumie sama do niej później zadzwonię.

— Spoko. Ja ci już wybaczyłem. No i sorry, Aśka, teraz już szczerze. Trzymaj się.

— OK, nie ma sprawy. Na razie, debilu.

Przynajmniej jedna sprawa wyjaśniona. A teraz idę spać i cały świat mam w nosie, niech się dzieje, co chce.



Coś pisnęło. I jeszcze raz. O, SMS do mnie.

„Siema, Aśka! Co słyhać? Organizujemy spotkanie naszej starej paczki z liceum, wpadniesz? Dzisiaj o dziewiętnastej na rynku pod Adasiem, tylko masz być! :) Buźka, pa”.

O nie, nigdzie nie idę. Zaraz złączą się kolejne pytania, dlaczego bez Alexa i tym podobne, a ja nie mam najmniejszej ochoty na tłumaczenie. Po imieninach mam dość jakichkolwiek imprez, nawet z ukochanymi wariatami z liceum.

Nagle, nie wiadomo skąd, za moimi plecami pojawiła się Karolina i szybko wyrwała mi telefon z ręki.

— Oddaj to! — Rzuciłam się na nią.

— Czekaaj, niech no sobie przeczytam. To od tej Kaśki, co z nią siedziałas w ławce, tak? — Zerknęła na zegarek. — Masz dwie i pół godziny na ogarnięcie

się.

— Ale ja nigdzie nie idę — oznajmiłam i włączyłam komputer. Pooglądałam sobie jakiś film i do spania, taki był mój plan na wieczór.

— Tyś chyba powariowała! Jasne, że idziesz. Spotkanie ze znajomymi dobrze ci zrobi.

— Słyszałaś, co mówiłam? Nigdzie nie pójdę. Nie jestem w nastroju.

— To ci poprawi nastrój. Agata! — wrzasnęła. — Pozwól tu na chwilę. O, jesteś. A teraz: kto uważa, że impreza z dawno niewidzianymi znajomymi jest lepszym sposobem spędzenia wieczoru niż siedzenie na kanapie w starym dresie i wspomnianie swojego eks, ręka w górę.

Agata natychmiast posłusznie podniosła obie ręce. Karolina oczywiście też.

— No widzisz, przegłosowane. — Wyszczrzyła się jak zawsze, gdy udało jej się postawić na swoim.

— Ale ja nawet nie mam się w co ubrać — jęknęłam zrezygnowana.

— Zaraz ci udowodnię, że masz. — Karolina podeszła do mojej szafy i zaczęła wyrzucać wszystko na podłogę. Nie protestowałam, bo i tak nie miałyby to sensu. Jak ona coś wymyśliła, to koniec.

— A to? — Pomachała mi przed nosem białą bluzką w paseczki.

— Za eleganckie — westchnęłam i odwróciłam się do komputera. Sprawdzę sobie pocztę w tym czasie. Karola i tak nic tam nie znajdzie.

Przeczytałam najciekawsze newsy z Facebooka, zdążyłam zajrzeć na dwa ulubione blogi, po czym zerknęłam kątem oka na rosnącą stertę bluzek i spódnic. Hmm, chyba nie zaszkodziłoby zrobić kiedyś mały porządek w szafie...

— Mam! — Podskoczyłam na krześle. — Przecież to jest cudenko!

Popatrzyłam. Faktycznie cudenko. Kupione prawie za friko na jakiejś wyprzedaży kilka miesięcy temu. Prosta czarna bluzka, za to z dość odważnym dekoltem i wstawkami z prześwitującej koronki. Cholera, zapomniałam o niej.

— No co ty tu jeszcze robisz? Śmigaj pod prysznic i malować pazurki. Ja ci wyprasuję tę bluzkę. Może nawet pożyczę ci kolczyki, znaj moje dobre serce.



— Aśka, świetnie wyglądasz! Boże, wieki cię nie widziałam! — Całusy, uściski, śmiech. Byli: Kaśka, Olka z Tomkiem, Marta, Adam, Krzysiek, Wojtek, jeszcze jeden chłopak i dwie dziewczyny, których widziałam po raz pierwszy. Zaraz jednak zostali mi przedstawieni i dowiedziałam się, że to Paulina, Monika i Manu. Manu? Dziwne imię.

— To co, tam gdzie zawsze? Zrobiłem rezerwację na wszelki wypadek — powiedział Adam i ruszył w stronę naszego ulubionego klubu, a pozostali udali się za nim.

— Aśka, czekaj! Musimy pogadać, jak ja się cieszę, że cię widzę! — Kaśka pociągnęła mnie tak, że zostałyśmy lekko w tyle za resztą.

— Mów, co u ciebie! Alex nie mógł przyjść? — zapytała.

Zrobiłam minę zbitego psa. Natychmiast zrozumiała.

— Nie układa wam się czy... to koniec? — szepnęła prawie niedosłyszalnie.

Milczałam.

— Moje biedactwo. A to palant. Później mi wszystko opowiesz. Pewnie nikt jeszcze nie wie. To nie będziemy im na razie mówić. Dzisiaj masz się dobrze bawić! Przyda ci się kilka drinków.

Taka właśnie była Kaśka. Do wszystkiego podchodziła z dystansem, niczym zbyt długo nie potrafiła się przejmować. Zawsze za bardzo wystrojona, w zbyt mocnym makijażu, interesowały ją imprezy, alkohol i muzyka. Dla przykładu dzisiaj miała na sobie króciutką spódniczkę, do tego buty na niebotycznych obcasach i mocno natapirowane włosy w kilku trudnych do zidentyfikowania kolorach. Nikt nie wiedział, jak to możliwe, że przesiedziałyśmy dwa lata w jednej ławce i nawet niezłe się dogadywałyśmy. Ja tam wiedziałam, że w głębi duszy to dobra dziewczyna.

Po kilku minutach marszu dotarliśmy do naszego ulubionego klubu. Nie wyglądał zbyt imponująco, po prostu prostokątna sala z kilkoma stolikami otoczonymi ławkami wzdłuż trzech ścian i z barem na wprost wejścia. Kilka osób tańczyło już na środku, pozostali tłoczyli się przy barze. Atmosferę tworzyły oświetlenie i dobra muzyka, przy której nogi same rwały się do tańca. I jeszcze przystępne ceny dla studentów.

Cóż, to jednak nie był taki zły pomysł, żeby gdzieś wyjść. Rozmawialiśmy o tym, co kto studiuje, jakie ma plany na drugą część wakacji, co słyhać u reszty naszej klasy, powspominaliśmy szkolne wycieczki. Pytanie Olki o Alexa Kaśka ucięła jednym zdaniem: „nie mógł dzisiaj przyjść i to nie nasza sprawa dlaczego” i nikt już więcej o nim nie wspominał. Chłopcy zamówili piwo, atmosfera stawała się coraz luźniejsza. Po chwili znajomi zaczęli wychodzić na parkiet i ani się obejrzałam, kiedy zostałam przy stoliku jedynie z chłopakiem, którego wcześniej nie znałam. W sumie całkiem przystojny, mniej więcej w moim wieku. Nieco przydługie włosy opadały mu na czoło i zasłaniały oczy. Ubrany był dość niedbale, jakby było mu wszystko jedno, co ma na grzbiecie. Mało mówił, spokojnie popijał piwo i przysłuchiwał się naszym rozmowom. Chyba był smutny albo przygnębiony. A może po prostu nieśmiały? Miałam wrażenie, że dość często mi się przygląda. Zaraz, jak on miał na imię? A tak, Manu.

— Jak ci się podoba towarzystwo? Bo chyba nie znasz tutaj wszystkich, prawda? — zagadnęłam.

— Wydają się w porządku. Krzysiek mnie tu dzisiaj wyciągnął, to mój bardzo daleki kuzyn — odpowiedział i wbił wzrok w szklankę z piwem.

— Mogę ci zadać jedno pytanie? — wypaliłam.

— Pewnie, strzelaj.

— Skąd takie imię? To zdrobnienie od czegoś? — zapytałam ostrożnie.

— Dość często to słyszę. Emanuel. Jaka matka ma tak beznadziejne poczucie humoru, żeby nazwać w ten sposób swojego syna? Nie myśl, że to ze względu na historie biblijne. Mówi ci coś imię i nazwisko -Emanuel Szlechter? To autor tekstów piosenek filmowych. Moja matka miała bzika na jego punkcie, to już mówi samo za siebie — powiedział z jakąś taką, bo ja wiem, -frustracją.

Zerkał na mnie, jakby był ciekawy mojej reakcji. Będę się śmiać czy taktownie stwierdzę, że to oryginalne imię? Założyłam, że z takimi reakcjami spotykał się najczęściej. Uśmiechnęłam się więc grzecznie i powiedziałam:

— W gruncie rzeczy ładne imię... ale w gimnazjum musiałeś mieć przesrane.

— I to jeszcze jak — roześmiał się i jakby mu ulżyło.

Nagle Kaśka znalazła się przy nas, przerywając konwersację, która dość dobrze się zapowiadała, wcisnęła mi do ręki drinka — jakieś pomarańczowe paskudztwo — zmusiła do wypicia do dna i wyciągnęła na środek sali.

A co było później, trudno mi sobie przypomnieć. Jeszcze jeden drink. I kolejny. „Nie myśl o Alexie! Pij! Uchlamy się dzisiaj jak świnię!” Wiem, że stałam na krześle razem z Kaśką i darłam się: „Ja śpieeewaaam, nie wiem o czym! Niee wieem, cooo jest poo czym”. Ona kończyła: „A gdy zamknę ooczy, cieemno jest!”. Parodia Kabaretu pod Wyrwigroszem. Piwo. Niedobrze mi. Ja chcę do domu. Manu. Taksówka. „Gdzie mieszkasz?” „Na Klepie... na Klepaszu... Klepaczu”. Czemu Manu mnie niesie? Klatka schodowa. Wrzask Agaty. Zimna woda. Łóżko. O tak.



Łeb mi pęka i wstyd jak jasna cholera. Nigdy w życiu się nie upiłam, w każdym razie nie aż tak, żeby się wydurniać, a później mieć problemy z pamięcią i ustaniem na nogach. Na szczęście Agata trochę podratowała mój honor, dziękując Emanuelowi za dostarczenie mnie w jednym kawałku do mieszkania i wyjaśniając, że takie rzeczy to nie w moim stylu. Od Karoliny dostałam opieprz z samego rana. Nie zwracając uwagi na moją bolącą łepetynę, darła się przez dobre dziesięć minut, że niezupełnie o to jej chodziło, kiedy mówiła o wyjściu ze znajomymi, że pijaństwa nie toleruje i mam szczęście, że jakaś poczciwa dusza zatroszczyła się o to, gdzie mieszkam, zamiast zostawić mnie po prostu na środku chodnika. Dobrze, to się więcej nie powtórzy. Obiecuję. A teraz szklanekę wody, błagam.



Od rana leżymy razem z Agatą na kanapie, oglądamy stare jak świat komedie romantyczne i zajadamy się orzeszkami w czekoladzie z Biedronki. Teraz kolej na *Historię Kopciuszka*. Nie przepadam za Hilary Duff, ale ten film zawsze potrafił mnie rozweselić.

Właśnie zaczyna się nasza ulubiona scena, kiedy księżę prosi ślicznego Kopciuszka do tańca. Obydwie wzdychamy. Ta scena jest tak słodka, że aż zęby bołą, a mimo to mogłybyśmy ją oglądać bez końca.

— Myślisz, że nam też mogłoby się coś takiego kiedyś przytrafić? — spytała Agata.

— Nie sędzę. Wiesz co, ja chyba mam w dupie księcia z bajki. Pozostanę niezależną księżniczką.

— Proszę cię, nie mów tak. Ja myślę, że wszystko może się wydarzyć, zupełnie jak w bajce, trzeba tylko mocno w to wierzyć.

Przytuliłyśmy się i oglądałyśmy dalej, każda pogrążona w swoich myślach. Jak to wszystko szybko się zmienia. Jeszcze kilka dni temu byłam dziewczyną całkiem przystojnego faceta. Miał swoje wady, można powiedzieć, że był niemal moim przeciwieństwem. I wiele musiałam w sobie zmienić i stłumić, abyśmy się jako tako dogadywali, ale zawsze myślałam, że dla miłości warto. A on był. Zawsze. Kiedy czułam się źle i potrzebowałam przytulania i głaskania po włosach, kiedy trzeba było naprawić zepsutego laptopa czy telefon, kiedy chciałam gdzieś wyjść i zaszaleć, kiedy chciałam poczuć się piękną kobietą. Teraz bywały momenty, gdy zupełnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić — kiedyś z każdą głupotą dzwoniłam do niego zapytać o radę, przeważnie spędzaliśmy czas w sposób, który on proponował. Właściwie każdą wolną chwilę wypełniały nam rozmowy i spotkania. Dziwnie było mieć tyle wolnego czasu i nikogo, kto by mi powiedział, co z tym czasem zrobić... Jakby czegoś (kogoś) nagle zabrakło i nie było sposobu, żeby zapełnić tę pustkę. Kilka razy złapałam się na tym, że odruchowo sięgam po smartfona i chcę jak zwykle wysłać Alexowi SMS z prostym pytaniem: „Co tam?”. Na szczęście w porę przychodziło opamiętanie, kasowałam wiadomość i... jak głupia czekałam na naszą standardową odpowiedź: „Myślę o Tobie”, która oczywiście się nie pojawiała. Wpatrywałam się w ten pusty ekranik, po tysiąc razy oglądałam nasze wspólne zdjęcia zapisane na dysku laptopa, wracałam do drobiazgów, które dostałam od niego na różne okazje. Miałam świadomość, że najrozsądniej byłoby się po prostu tego wszystkiego pozbyć, ale jakoś nie mogłam tego zrobić, jeszcze nie teraz. Chyba wciąż gdzieś tliła się we mnie iskierka nadziei, że cała ta sytuacja to nic innego jak jakiś okrutny żart, a Alex lada chwila pojawi się w moich drzwiach z ogromnym bukietem róż. Co ja

pitole... przecież nawet gdyby się pojawił, nie wiem, czy umiałabym mu wybaczyć. Nie zdradę, nie to, że zostawił mnie dla innej. Właściwie nie czułam już złości, jak w pierwszej chwili, gdy powiedział mi, że jest inna dziewczyna. Raczej żal i smutek, rozczarowanie pewnie też. Ale jakie to ma znaczenie? Teraz już nie ma Alexa. I nie będzie. Wierzchem dłoni otarłam łzę czającą się podstępnie w kąciuku oka.

Karolina wpadła jak burza do pokoju, psując cały ten nostalgiczny nastrój. Niechby ją szlag trafił. Dopadła drzwi szafy i zaczęła wyrzucać wszystko na środek pokoju, aż dogrzebała się do gigantycznej torby podróźnej i plecaka. Następnie zamknęła nam laptopa (bezczelna!!!) i usiadła na stoliku.

— Pakujcie się, siostrzyczki. Pojutrze wyjeżdżamy.

— Dokąd?!

— Do Chorwacji. Sesja *is over*, do roboty się nie palicie, tylko siedzicie i pierdziecie w stołki. *So...* jedziemy zwiedzać, odpoczywać i pić wino. Lub w odwrotnej kolejności, jak wolicie.

Że co?! Chyba się przesłyszałam.

— No co się tak gapiacie? Udało mi się znaleźć wolny apartament, już wszystko zarezerwowałam. Tylko nie spodziewajcie się luksusów, wiecie, jak wyglądają nasze oszczędności. Aha, potrzebne mi jeszcze wasze PESEL-e do ubezpieczenia, napiszcie mi je gdzieś na kartce.

Agata dosłownie zamarła z szeroko otwartymi oczami. Bidulka, przestraszyła się. To musi być ogromny szok dla kogoś, dla kogo największą spontaniczną akcją w życiu było skrócenie włosów o trzy centymetry bez konsultacji z minimum dziesięcioma innymi osobami.

Szturchnęłam ją palcem w bok.

— Agatka... oddychaj. Powiedz coś.

— A jak się nam samochód zepsuje? — jęknęła. — A jak nas napadną...

Więcej wystękać nie zdążyła, bo Karolina dzieliła ją gazetą.

Szczerze powiedziawszy, też mnie to trochę przeraziło. No bo faktycznie tak same, tak daleko, praktycznie bez kasy... Już miałam zacząć się wściekać na Karolę, że podejmuje takie decyzje bez konsultacji z nami, kiedy dotarło do mnie, że to w gruncie rzeczy wcale nie jest głupi pomysł. Troszkę, hmm, ryzykowny i może nie do końca dopracowany, ale niegłupi. Tydzień bez telefonu i komputera. Tydzień spacerów, bez strachu, że mogłabym wpaść na Alexa. Tydzień opalania, pluskania w morzu i słodkiego lenistwa. A kiedy wrócę, będę zupełnie inną osobą — opalona, wypoczęta, może nawet poeksperymentuję z włosami? A kiedy przypadkiem spotkam swojego eks, a on zobaczy, jaką piękną dziewczynę stracił, i będzie chciał do mnie wrócić, ja mu powiem: „żegnaj, kochanie!”. I odejdę, stukając głośno obcasami i odgarniając swoje piękne loki, a on będzie stał samotnie na chodniku, takie biedne, zakompleksione stworzenie... Ach, ale się

rozmarzyłam...

Zaraz, czyli ja mam tylko jeden dzień na pakowanie?! Ale przecież nie mam stroju kąpielowego! Ani żadnych kremów do opalania! Agata pewnie też nie ma, przecież ona nigdy nigdzie nie jeździ. Coś czuję, że w najbliższej przyszłości szykuje się szalony maraton po sklepach...



Jesteśmy już w Chorwacji, na wyspie Čiovo.

— *Hvala!* — rzucaam do właścicielki.

Wreszcie sobie poszła. A ja patrzę zwycięsko na trzymany w prawej dłoni klucz do apartamentu. Ha! I kto się tu nie potrafi dogadać? Dziewczyny wymiętoszone, spocone, głodne i złe jak osy po siedemnastogodzinnej podróży oplem corsą z zepsutą klimatyzacją (nawiasem mówiąc, trochę mi zajęło przekonywanie mamy, że ten samochód nadaje się do jazdy i damy sobie radę), patrzą na mnie z niekłamanym podziwem. I faktycznie jest co podziwiać — nie każdy potrafi załatwić wszystkie formalności związane z wynajęciem mieszkania na tydzień w niespełna dwadzieścia minut, jeśli weźmie się pod uwagę nieograniczoną wręcz gościnność gospodyni próbującej wcisnąć nam kilka dodatkowych poduszek oraz telewizor za dodatkową opłatą oraz brak jakiegokolwiek znajomości języka. W związku z tym jako najstarsza z towarzystwa zmuszona zostałam do użycia swojej ponadprzeciętnej inteligencji popartej żywą gestykulacją, aby wytłumaczyć starszej pani, że nie, nie potrzebujemy telewizora, nasze dowody osobiste są legalne, nie zamierzamy urządzać żadnych imprez, nie palimy, a zaliczkę zapłacimy gotówką. Uff.

Wkładam klucz do zamka. Przekręcam, wchodzimy i...

O. Mój. Boże.

My tu mamy mieszkać?!

Patrzę na Karolinę i Agatę. Mają naprawdę głupie miny. Wyglądają jak dzieci, które właśnie się dowiedziały, że Święty Mikołaj nie istnieje. Nie wytrzymam. Z gardła wydobył mi się głośny rechot.

Karolina pierwsza się opamiętała. Chyba otrząsnęła się z szoku spowodowanego pierwszym wrażeniem, bo też zaczęła cichutko chichotać. Natomiast Agata nadal sprawiała wrażenie, jakby miała się za chwilę rozplakać.

— Dziewczyny — wyjęczała — myślicie, że jest ciepła woda? Albo w ogóle woda? Ja muszę się wykapać, naprawdę.

Miała tak żalostną minę, że przestałyśmy się śmiać. No bo faktycznie — w ofercie wyraźnie było napisane: apartament trzyosobowy z łazienką, kuchnią, balkonem w rozsądnej cenie.

A tu ani śladu kuchni, chyba że kuchnią ma być ta półka w rogu pokoju, na

której stały cztery kubki z wizerunkami postaci z *Kubusia Puchatka*, dwa talerze oraz grzałka. A, i jeszcze miniaturowa lodówka. Ciekawe, czy działa. Łazienka o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych, z prysznicem oraz klozetem wymagającymi gruntownego czyszczenia oraz odkażania, bez najmniejszego okienka oraz wentylacji też pozostawiała wiele do życzenia. No i pokój — jedno gigantyczne dwuosobowe łóżko, szafa, drzwi na balkon pozbawione firanek, żaluzji i zasłon. Zdażyłam się zorientować, że balkon znajduje się od strony południowej — aż strach pomyśleć, jak tu będzie gorąco. No cóż, przynajmniej pościel wygląda na czystą.

— Jeśli myślicie, że pójde teraz do właścicielki i zażadam zwrotu pieniędzy, a następnie spędzę kolejne kilka godzin w samochodzie, szukając apartamentu...

— Nie!!! — przerwał mi głośny wrzask.

No cóż, tak myślałam.

Nagle mnie oświeciło.

— Kąpię się pierwsza! — Rzuciłam się na pierwszą lepszą torbę w poszukiwaniu kosmetyczki.

— Ty małpo! Ja prowadziłam samochód przez ostatnie pięć godzin! — Agata złapała ręcznik, następnie z prędkością zbliżoną do prędkości światła pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Kilka sekund później usłyszałyśmy mrożący krew w żyłach krzyk. Pewnie zobaczyła jakieś robactwo.

Karolina natomiast ciągle stała na środku pokoju i patrzyła na mnie z politowaniem.

— Ja się kąpię ostatnia. I dlatego najdłużej będę siedzieć pod prysznicem.

Dlaczego, no dlaczego, do jasnej anielki, ona zawsze ma lepiej?



Obudziłam się, czując znajome pulsowanie w głowie. No tak, stwierdziłyśmy wczoraj wszystkie trzy, że musimy odreagować całą tę podróż. Nie żałowałyśmy sobie wina kupionego w małym markecie tuż za rogiem. Zwiedzanie najbliższej okolicy zaplanowałyśmy na dzisiaj... tylko czy ja dam radę cokolwiek zwiedzać? Chyba raczej leżeć, i to nie na słońcu, jak miałam zamiar, ale w cieniu, a najlepiej w jakimś miejscu z klimatyzacją. Cała kleiłam się od potu, a w gardle totalnie mi zaschło. Wody, błagam.

Wygramoliłam się z łóżka, przechodząc nad rozwaloną na całą jego szerokość Karoliną, i podeszłam do lodówki. Uff, jest jeszcze jedna butelka mineralnej. Pociągnęłam kilka łyków — od razu lepiej. Wyszłam na balkon. O, Agata już tu jest. Ciekawe, wcale nie wyglądała na taką niewyspaną, skacowaną i zmęczoną upałem jak ja.

— Cześć. Jak tam, wyspałaś się? — zapytała.

— Lepiej nie pytaj — mruknęłam.

— Oj tam. Często się — powiedziała, podsuwając mi pod nos talerz z pokrojonymi owocami. Melon, arbuz, kiwi, winogrona... Skąd ona to wszystko wytrzasnęła?

— Niedaleko jest targ, poszłam na spacer, gdy wy jeszcze chrapałyście — wyjaśniła koleżanka, widząc moje zaskoczone spojrzenie. — Pyszności.

Rzeczywiście, owoce były przepyszne. Świeże, soczyste, pachnące słońcem, nie to co w naszych supermarketach. Wciągałam kolejne kawałki w ekspresowym tempie. Karolina zaraz się obudzi, przyjdzie tu i wszystko zeżre, trzeba się spieszyć.

Przysunęłam sobie jedno z dwóch plastikowych krzeseł i usiadłam obok Agaty. O tej porze słońce jeszcze nie świeciło na balkon, zresztą był tutaj rozkładany parasol, którego wczoraj nie zauważyłam. Nie powiem, siedziało się przyjemnie i widok też był całkiem atrakcyjny. Dachy apartamentów podobnych do naszego, kilka marnych drzewek, a dalej — morze. Mocno niebieskie, spokojne, poprzecinane tylko kilkoma wstęgami pędzących motorówek i skuterów wodnych. Miałam coraz większą ochotę zanurkować w tej niebieskiej wodzie.

— Idziemy? — zapytałam Agatę, wskazując przed siebie.

— Jasne, ja już nie mogłam się doczekać, aż wstaniecie. Budzimy Karolę?

— Koniecznie.

Połaskotałam ją w stopę wystającą spod zmiętego prześcieradła. Spodziewałam się dzikiego ryku, ale tylko mruknęła coś niewyraźnie i machnęła ręką. No to idziemy bez niej. Szybko ogarnęłam poranną toaletę i wysypałam zawartość swojej torby na podłogę w celu zlokalizowania stroju kąpielowego. Włożyłam bikini, na wierzch narzuciłam luźną sukienkę i spakowałam płócienną torbę plażową: ręcznik, krem do opalania, kapelusz, woda mineralna, książka. Jak mało człowiekowi potrzeba do szczęścia. Agata już stała przy drzwiach podobnie wyposażona.

Nasz apartament był usytuowany na szczycie stromej góry. Zeszliśmy migiem (nie chcę myśleć, jak będę się gramoliła pod tę górę po całym dniu plażowania) i przeszliśmy przez ulicę — po drugiej stronie znajdowała się miejska plaża. Jak zdążyłam zauważyć, o tej godzinie jeszcze świeciła pustkami, było tylko kilku spacerowiczów. Więcej nie zauważyłam, bo w biegu zrzuciłam z siebie sukienkę i klapki, torbę i kapelusz cisnęłam gdzieś na bok i wskoczyłam do wody. Nie szkodzi, że była zimna i dostała mi się do oczu ani że małe, ostre kamyczki boleśnie kłuły w stopy. Było idealnie.



Siedzimy wszystkie trzy pod palmą, której pień i łodygi przypominają

ananasa. Agata co dziesięć minut wspomina, jak fajnie byłoby zanurzyć się w wodzie, ale mimo to żadna z nas nie rusza się z miejsca. Bo widzicie — ta odrobina cienia, jaką rzuca ananas, kiedy temperatura wynosi powyżej trzydziestu pięciu stopni, jest wprost bezcenna. Dzisiaj była moja kolej, aby wstać o siódmej rano ze sflaczałego materaca (po gigantycznej kłótni ustaliłyśmy, że śpimy na zmianę — dwie w łóżku, jedna na materacu) i z naręczem koców, mat i ręczników pognać na plażę, zająć nasz ulubiony ananas, a następnie wrócić do apartamentu i spróbować ukraść jeszcze choćby kilka minut snu. Tylko że kiedy rozłożyłam wszystkie koce, maty i ręczniki, przeszłam na drugą stronę ulicy i odwróciłam się po raz ostatni, aby podziwiać swoje dzieło, zobaczyłam zbliżającą się do mojego drzewka rodzinę Niemców. Bez zastanowienia wróciłam, gotowa o nie walczyć. Mój on jest, nie dam! Krążyli przez dłuższą chwilę wokół mnie niczym wygłodniałe sępy. Na szczęście, widząc, że nie mam zamiaru się poddać, poszli szukać cienia gdzie indziej. Nie zmienia to faktu, że przesiedziałam pod ananasem kolejne dwie godziny, czekając, aż wreszcie dziewczyny wpadną na pomysł, żeby zejść na plażę i łaskawie mnie zastąpić.

Muszę jednak przyznać, że ten wyjazd, mimo spartańskich warunków, jest zdecydowanie strzałem w dziesiątkę. Chociaż do końca zostały jeszcze trzy dni, już udało mi się uzyskać piękny czekoladowy odcień, którego obie przyjaciółki piekielnie mi zazdroszczą; Agata, okrągłutka blondynka, niestety po opalaniu wygląda jak pieczone prosię, a Karolina — rudzielec — ze swoją wrażliwą skórą prawie w ogóle nie wychodzi na słońce. Przez te kilka dni zrobiłyśmy mnóstwo zdjęć, wypiliśmy hektolitry wina, zwiedziłyśmy Split i Trogir, wydałyśmy mnóstwo pieniędzy na pamiątki i upominki dla rodzin i nagadałyśmy się za wszystkie czasy. I nic nie szkodzi, że po powrocie moje konto będzie świeciło pustkami. To znaczy, że po powrocie będę się martwić. W planach mamy jeszcze całodzienną wycieczkę statkiem na wyspę Hvar, a w drodze powrotnej chcemy zatrzymać się w parku narodowym Krka. Właśnie tego potrzebowałam — wakacji w dobrym towarzystwie. Idę popływać w Adriatyku.



Aż trudno uwierzyć, jak ten czas szybko leci. Dopiero przyjechałyśmy, a już trzeba wracać. Karolina i Agata upychają ostatnie torby i walizki w samochodzie, bo chcemy jutro wyjechać jak najwcześniej, żeby uniknąć korków przy remontowanej Małej Kapeli. Ja się spakowałam już w południe, dlatego mam teraz trochę czasu dla siebie i idę po raz ostatni przespacerować się promenadą w Trogirze. Przyczesałam włosy, poprawiłam kupioną za grosze białą sukienkę, która teraz pięknie kontrastowała z opalenizną, wsunęłam stopy w stare japonki z odpadającymi cekinami, pomachałam dziewczynom i ruszyłam z górki

w kierunku plaży.

Szkoda, że nie da się dojść do Trogiru, wędrując plażą. Morze aż po horyzont, ostatnie promienie słońca chowającego się za górami, lekka nadmorska bryza, egzotyczna muzyka dobiegająca z przydrożnych barów i do tego ci przystojni kelnerzy — żyć nie umierać. Niestety, spory odcinek drogi trzeba przejść ulicą, a dokładnie wąskim poboczem, ryzykując przejechaniem przez wariata na skuterze. Ale kiedy już stanie się na moście łączącym wyspę Čiovo ze stałym lądem, widok jest niesamowity — łodzie, nowoczesne jachty, cały rząd palm, stara baszta i przytulne kawiarenki. A wszystko to skąpane w złocistych promieniach gorącego południowego słońca. „Dla takich właśnie chwil warto żyć” — pomyślałam, stojąc na moście i chłonąc cały ten widok.

Zeszłam w końcu z mostu i udałam się do jednej z kawiarenek. Wybrałam stolik z najlepszym widokiem na port i zamówiłam mrożoną kawę. I cały czar tego miejsca prysł.

Przy stoliku obok jakaś czteroosobowa rodzinka zajadała się lodami. Wszyscy szczęśliwi, uśmiechnięci, zadowoleni, że są razem. Kilka metrów dalej jakiś chłopak zapinał dziewczynie złoty łańcuszek na szyi; pewnie dopiero co wyszli od jubilera. Oboje tacy rozchichotani, że aż mdliło. Dalej na oko dwunastoletnia dziewczynka z yorkiem na rękę ścisnęła go tak, że mała mu oczy z orbit nie wylazły. Przede mną gigantyczny jacht, z barem, siłownią, ochroną i Bóg jeden wie czym jeszcze.

Oczy znowu mi zwilgotniały. Każdy ma kogoś, kogo kocha, do kogo może się przytulić. Nawet właściciel tego jachtu; musi być kimś wyjątkowym, przedsiębiorczym i na pewno uwielbianym, skoro stać go na takie cacko. I co z tego, że udało mi się spędzić tydzień we wspaniałym miejscu, skoro już jutro muszę wrócić do szarej codzienności, bez Alexa, bez pracy, za to na znienawidzone studia.

— Przepraszam, to chyba należy do pani? — Nagle usłyszałam pytanie zadane piękną angielszczyzną, nie taką, jaką posługują się nauczycielki w szkole, ale angielszczyzną z amerykańskim akcentem. A do tego ten niski głos...

Podniosłam swe zapłakane oczęta i oto, co zobaczyłam: przede mną stał nieziemsko przystojny facet w czarnych okularach, stylowym ubraniu i z pociągającym dwudniowym zarostem. A na końcu jego wyciągniętej ręki dyndała sobie spokojnie moja mała, szmaciana torebka. Musiałam ją upuścić, gdy płaciłam za kawę.

— Taak... dziękuję panu. — Chlipnięcie. Dlaczego, no dlaczego nie mogłam go spotkać, kiedy byłam w lepszym stanie? Kiedy płacząc, wyglądam jak straszdyło.

— Czy coś się stało? Pozwoli pani, że się przysiadę? Może drinka?

Skinęłam leciutko, błogosławiąc godziny spędzone nad podręcznikami do języka angielskiego. Przynajmniej rozumiałam, co do mnie mówi.

Przywołał kelnerkę, zamówił dwa drinki i popatrzył na mnie. Przynajmniej wydawało mi się, że na mnie patrzy, bo z tymi ciemnymi okularami nigdy nic nie wiadomo.

— Mogę spytać, jak pani na imię?

— Joanna. — Chlipnięcie.

— Joanna. Piękne imię.

Piękny był sposób, w jaki to powiedział. Coś jak „Dżoaaana”. Aż mi ciarki przeszły po plecach.

— A pan?

— Niech to na razie zostanie tajemnicą.

Przysięgłabym, że mrugnął do mnie zza okularów.

— OK, skończmy z tym panem i panią. Jak to się stało, że taka śliczna dziewczyna siedzi tutaj sama?

Jestem z Polski. Przyjechałam z przyjaciółkami na wakacje. Studiuję, niedawno rzucił mnie chłopak, nie mam pracy i wszystko jest do dupy. To chciałam powiedzieć, ale zamiast tego, ku własnemu zdumieniu, usłyszałam, jak mówię:

— Jestem modelką. Wczoraj miałam sesję zdjęciową reklamującą stroje kąpielowe do najnowszego katalogu Victoria's Secret. — Co ja, cholera jasna, wygaduję?! Chyba słońce mi trochę za mocno przygrzało w główkę. Siedzę w sukience z wyprzedazy, starych kłapkach z odpadającymi cekinami, straszę zupełnym brakiem makijażu i przypieczonym nosem. Nawet ślepy by zauważył, że mojej zupełnie przeciętnej figurze do kształtów wieszaka na ubranie daleko jak stąd do Chicago. Pewnie facet zaraz zacznie się śmiać. W sumie dobrze — mogę obrócić to w żart.

— No proszę, co za niespodzianka. To tłumaczy twoją urodę — odpowiedział, a ja zdębiałam. Uwierzył czy robi sobie ze mnie jaja? — Płakałaś. Coś się stało? — zapytał autentycznie zatroskany.

— Rzu... a zresztą nieważne. Nie chcę o tym mówić. I przepraszam, zwykle się tak nie rozklejam. To był dość trudny czas...

— Widzę. A może zawsze płaczesz na widok nieznajomych? — Chyba znowu mrugnął.

— Wcale nie. — Pokręciłam głową i głośno pociągnęłam nosem. — Naprawdę.

Oboje się roześmialiśmy. Serce zaczęło mi bić szybciej. Ciekawe, ile on może mieć lat. Dwadzieścia siedem? Dwadzieścia osiem? Na pewno był starszy ode mnie, ale chyba niewiele. Dopiero teraz uważnie mu się przyjrzałam. Uśmiech... kogoś mi przypomina. Ale kogo? Moje bezbłędne, wprawne dzięki przeglądaniu zagranicznych stron i sklepów internetowych oko zarejestrowało kilka elementów w jego garderobie: koszula Hugo Boss, buty do jazdy

samochodem Cole Haan, zegarek Rolex. O mój Boże, to pewnie jakiś cholerny bogacz, nie zdziwiłabym się nawet, gdyby cumujący naprzeciwko jacht należał do niego. A co, jeśli jest z jakiegoś gangu porywającego białe niewolnice, żeby je potem wysłać do Arabii Saudyjskiej, gdzie staną się siedemnastymi żonami jakiegoś szejka? No dobra, pożyjemy, zobaczymy.

Wypiliśmy po drinku i zaczęliśmy rozmawiać. A właściwie flirtować. Wczułam się w rolę modelki, pewnej siebie i może odrobinę zarozumiałej, ale mimo to słodkiej i uroczej, unikałam tematów osobistych, aby nie palnąć czegoś głupiego, i niestety bez powodzenia próbowałam wyciągnąć od mojego nowego znajomego, kim jest i czym się zajmuje. Tak jak ja zrećźnie wymigiwał się od odpowiedzi, gdy rozmowa schodziła na bardziej osobiste sprawy, i odwracał moją uwagę, sypiąc kolejne komplementy. Dowiedziałam się tylko, że nazywa się Michael i jest z Ameryki. Mimo braku kluczowych informacji nieźle się bawiłam. Chyba właśnie znalazłam idealne lekarstwo na wszystkie swoje nieszczęścia — czarującego, przystojnego faceta, który by się mną pozachwycił, pozabawiał i tym samym podniósł moje poczucie własnej wartości jako kobiety. Fakt, że był z Ameryki, a ja jutro wracałam do Polski, ułatwiał sprawę — mogłam chichotać, ripostować, udawać, kogo chciałam, bez ryzyka, że jeszcze kiedyś się zobaczymy i będzie mi głupio.

Słońce powoli chowało się za horyzontem, upał jakby zelżał, ale nie atmosfera między nami, która wraz z kolejnymi drinkami stawała się coraz gorętsza. W pewnym momencie nasze dłonie się zetknęły, a Michael wreszcie zdjął okulary. A mnie замуrowało. Spojrzenie Ryana Goslinga! Przyjrzałam się jego intensywnie niebieskim oczom — w pierwszej chwili pomyślałam, że to soczewki, ale po bliższych oględzinach pozbyłam się wątpliwości. To był naturalny błękit, przy którym miękną kolana. I ten biały, nieco drapieżny, lekko skrzywiony uśmiech... Kurczę, ten facet mógłby być jakimś hollywoodzkim aktorem.

Zaczęłam cichutko chichotać. Dziewczyny nie uwierzą, jak im powiem, z kim piłam drinka. A nawet więcej, z kim flirtowałam. Ja — Aśka, czyli siedem nieszczęść, i facet, w dodatku dżentelmen, który wygląda jak najdoskonalsze dzieło natury i stylistów! Cała ta sytuacja wydała mi się tak absurdalna, że w końcu wybuchnęłam szczerym śmiechem, jakim nie śmiałam się już od dawna.

— W porządku? — usłyszałam pytanie.

— O kurczę, przepraszam. Kiedy zdjąłeś okulary, uświadomiłam sobie, że bardzo mi kogoś przypominasz — tłumaczyłam się. Pewnie nie było to zbyt uprzejme, że tak się w niego wpatrywałam.

— Zdradzisz kogo?

— Pewnego aktora. Zresztą nieważne.

Sama nie wiem, dlaczego nagle zrobiło mi się wstyd za tę modelkę. Postanowiłam to czym prędzej naprawić.

— Muszę ci coś powiedzieć. Nie jestem modelką — wyznałam i nieco mi ulżyło.

— O proszę. W takim razie gratuluję talentu aktorskiego. Uwierzyłem ci w stu procentach. — Nie wyglądał na zaskoczonego. No tak, przecież nie wyglądam jak modelka. Ale miło mnie polechtał wzmianką o talencie aktorskim. — Wiesz co? Mam pomysł. Nie mów mi, kim jesteś. Dziś jesteś modelką, a ja będę aktorem. Niech tak zostanie. Zgoda? — zaproponował Michael.

Pokiwałam głową z entuzjazmem. Podobało mi się to. Miało w sobie nutkę tajemniczości i przygody. I było szalenie podniecające.

— W takim razie powiedz mi jedną rzecz. Co ty tutaj robisz? Zawsze mi się zdawało, że gwiazdy spędzają wolny czas w miejscach takich jak Floryda czy Hawaje.

— Bo spędzają. Ale ja nie. Chociaż mieszkam w USA, urodziłem się i wychowałem w Anglii, w zupełnie normalnej rodzinie. W dzieciństwie zwiedzałem z rodzicami Włochy, Hiszpanię i między innymi również Chorwację. Kocham ten kraj, przede wszystkim dlatego, że wszystko jest tutaj takie naturalne, bez tej gwiazdorskiej otoczki i uciekania przed obiektywem aparatu. Czasami potrzebuję takiej odmiany, poczuć się jak zwykły turysta, odpocząć na plaży, poderwać ładną dziewczynę w kawiarni.

Roześmiałam się.

— Ładne kłamstewko. Plus za wymyślenie tego tak na poczekaniu — pochwaliłam go.

— Może masz ochotę się przejść? Gdzie mieszkasz?

— Na Čiovo. Chodźmy w tamtą stronę, przyjemnie się spaceruje plażą.

Michael zapłacił za drinki i zauważyłam, że zostawił spory napiwek. W końcu wyglądał, jakby było go na to stać.

Doszliśmy do mostu i stanęliśmy przy barierce. Zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Cała promenada, baszta, jachty były pięknie oświetlone, a światła odbijały się i mieniły kolorami w spokojnej tafli morza. Jak na Chorwację wcale nie było tak gorąco, od wody wiał przyjemny wietrzyk. Michael wziął mnie za rękę i uściśnął lekko. Poprosiłam go, aby opowiedział mi coś o prawdziwym sobie, bo choć tajemniczość była niesamowicie sexy, to w środku ciekawość wręcz mnie zżerała. Zaczął więc opowiadać — ale bez szczegółów. Nie o pracy aktora, nie o rzeszach fanów, bo i chyba nie miał o tym za dużego pojęcia, ale o przyjaciółach, ulubionym kocie, grach komputerowych, muzyce, wspomniął o motoryzacji i miejscach, jakie chciałby odwiedzić. Mówił żywo, z lekkim humorem, i bardzo przyjemnie się go słuchało.

Ani się obejrzelśmy, kiedy znaleźliśmy się na plaży niedaleko mojego apartamentu. Usiedliśmy pod ananasek, na drobnych białych kamyczkach. Zaczęłam okropnie, ale to okropnie żałować, że Michael nie jest kimś innym —

kelnerem, lekarzem, nauczycielem, kimkolwiek, z kim mogłabym się spotykać. Chociaż, kto go tam wie — może i jest. Ale sądząc po tym, jak wygląda i jak się zachowuje, stawiałabym na posiadacza wielkiego majątku. Nie miałam pojęcia, ale jednego mogłam być pewna — ten facet był poza moim zasięgiem. Mimo to było mi bardzo smutno, że więcej go nie zobaczę. Nie przeszkadzało mi nawet to, że muszę rozmawiać z nim po angielsku. On za kilka godzin pewnie nawet nie będzie już o mnie pamiętał. Walić to. *Carpe diem*.

— Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? — zastrzeżił mnie pytaniem.

— Kiedyś wierzyłam. Teraz... trudno powiedzieć. Raczej wierzę w przeznaczenie. Jeśli już kogoś spotykasz, to musiał być ku temu jakiś powód, rozumiesz, o co mi chodzi?

— W takim razie wiem, dlaczego cię spotkałem.

Poczułam, że się rumienię jak jakaś głupiutka nastolatka. Całe szczęście, że było już ciemno.

Nagle Michael wstał, pociągnął mnie za sobą, wziął na ręce i ani się obejrzałam, kiedy znalazłam się w wodzie.

— Ty draniu! A to za co?! — piszczałam. Zimna woda podziałała na mnie bardzo orzeźwiająco.

— Za tę modelkę. — Michael śmiał się, słuchając moich pisków. — Nie wiem, kim jesteś, ale nieładnie tak kłamać.

— O nie! — Popchnęłam go i zaczęłam chlapać, nie zwracając uwagi na drogie markowe ciuchy. — To za to, że tak długo ukrywałeś się za ciemnymi okularami. — Chlapałam zapamiętałe.

Nagle Michael przyciągnął mnie do siebie.

Chwilę później już czułam jego usta na swoich.

To było coś niewyobrażalnego. Nie tylko dlatego, że Michael był „naj” pod każdym względem ani że samo spotkanie kogoś takiego przekraczało niemal granice mojej wyobraźni, ale dlatego, że potrafił całować jak mistrz. A te jego perfumy... Alex może się przy nim schować. Pewnie nikt mi nie uwierzy, że całowałam się z takim ciachem. I nic mnie to nie obchodzi. To jest mój i tylko mój, jedyny w swoim rodzaju wieczór, który zapamiętam na całe życie.

Michael odsunął się, przeciągnął ręką po moich lokach i zapytał:

— Zobaczą cię jeszcze kiedyś?

— Nie wiem. Może.

Wyszliśmy z wody i wróciliśmy pod palmę. Nie mam pojęcia, jak długo tak siedzieliśmy przytuleni, zupełnie straciłam poczucie czasu. Nawet nie czułam, że w mokrej sukience nie jest mi za ciepło. Ale jedno było jasne — zrobiło się już bardzo późno.

— Przepraszam, naprawdę muszę już iść. Dziewczyny będą się martwić,

jutro wracamy do domu. I dziękuję.

Cmoknęłam go po raz ostatni w policzek i się odwróciłam.

— To ja dziękuję. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. *Hasta la vista*, piękna.

Ciężko było, ale wiedziałam, że to nie może trwać wiecznie. Nie uszłam jednak nawet dwudziestu kroków, kiedy coś sobie przypomniałam. Odwróciłam się, nadal stał pod palmą.

— Wiesz co? Poproszę fotkę.



— Dziewczyny, nie uwierzycie, kogo spotkałam! FACETA! Wyglądał jak... jak... jak nie wiem co! Piłam z nim drinka!

— Zgaś to światło, idiotko! Wiesz, która jest godzina? Idź spać.

Obie leżały w łóżku przykryte po szyje i nawet nie raczyły na mnie spojrzeć. O nie, nie dam tak łatwo za wygraną.

— Ale ja z nim rozmawiałam! I spacerowałam!

— Jesteś pijana?

— Nie jestem pijana, mówię wam, że normalnie miałam randkę niespodziankę! Mam dowód. Chcecie zobaczyć?

Karolina wreszcie się podniosła.

— Posłuchaj, na pewno był to bardzo emocjonujący wieczór, cieszę się razem z tobą, ale jutro mamy do przejechania dobre tysiąc kilometrów, więc byłoby lepiej, gdybyś się teraz położyła i nam również dała pospać. Jasne?

No nie, teraz już mnie wkurzyła. Podsunęłam jej pod sam nos moją noszącą ślady nadmiernego eksploatowania komórkę. Na ekranie widniała świeżutka, dopiero co strzelona fotka, na której -Michael obejmuje mnie ramieniem. I jeszcze jedna, z nim samym.

— Widzisz to? Widzisz?!

Spojrzała nieco uważniej i jakby trochę oprzytomniała.

— Chuchnij.

Proszę bardzo, mogę chuchnąć. Drinki piłam całe lata świetlne temu, a zimna woda sprawiła, że te resztki upojenia alkoholowego uleciały całkowicie.

— Coś piłaś. Ale zgoda, nie jesteś pijana. I mówisz, że to jest oryginał?

— Tak.

— Daj bliżej. O ja cię pierdzielę... taki facet...

— No taki, taki.

— Agata, wstawaj. No już.

Usiadły obie na łóżku i popatrzyły na mnie wyczekująco.

— A teraz opowiadaj wszyściutko jak na świętej spowiedzi.

Wzięłam głęboki oddech.

— No więc siedziałam w kawiarni, a on się dosiadł. Postawił mi drinka i rozmawialiśmy.

Wytrzeszczyły oczy ze zdumnienia.

— Ale... tak po prostu? Się dosiadł? — zapytała Agata.

— No...

A co tam, powiem więcej. I powiedziałam: o ciemnych okularach, o tym, jak zaproponował spacer, jak dobrze nam się rozmawiało pomimo mojego okropnego akcentu. Dziewczyny słuchały oniemiale, ani razu mi nie przerywając. Kiedy doszłam do momentu, gdy siedzieliśmy na plaży i Michael mnie objął, zaczęłam się lekko zacinać. Powiedzieć im o pocałunku czy nie?

— No i siedzieliśmy pod palmą, grała muzyka. Przytulił mnie i się pożegnaliśmy.

Trochę dziwnie to zabrzmiało. Może nie zauważą, wciąż są trochę zaspane.

— Ty coś ukrywasz. Powiedział coś jeszcze?

— No OK... Właściwie to mnie pocałował...

— Co?! Mów! W usta? Z języczkiem? Jak całuje?

Miałam ochotę zachować to tylko dla siebie, ale w końcu to przyjaciółki. Nie będę samolubna, powiem im.

— Ja cię pierniczę, Aśka, ale ty masz szczęście. Nie dość, że udało ci się wyrwać faceta, to jeszcze takiego. I co teraz zrobisz?

— Nic. A co mam zrobić?

— Zadzwoń do niego! Napisz!

— Chyba żeście oszalały. Nie wzięłam numeru, no i przecież on zaraz o mnie zapomni. Nie wie nawet, jak się nazywam, ot, jakaś Joanna. Pewnie nigdy wcześ-niej nie słyszał o Polsce. Fajnie było, ale się skończyło. Takich lasek to on ma na pęczki.

Nic nie odpowiedziały, bo w końcu to prawda. Po co się łudzić. Agata zgasła światło i obie się położyły, wciąż kręcąc głowami z niedowierzania. Ja powlekłam się do kąta na mój sflaczały materac i nakryłam się po głowę. A może on nie zapomni? Zasnęłam, myśląc o Michaelu i marząc, że się jeszcze kiedyś spotkamy.



Było gorąco. Gorąco jak w piekle. W Chorwacji też było gorąco, ale nijak nie da się porównać gorąca na plaży z gorącem w malutkim mieszkaniu w centrum miasta, gdy słońce przygrzeje w okna. Na zmianę brałam zimny prysznic i wachlowałam się prowizorycznym wachlarzem z kawałka kartonu. Nic to nie dawało — moment i znów bluzka zaczynała kleić mi się do pleców, a na czole

pojawiały się kropelki potu. Jakoś dotrwałam do godziny osiemnastej i gdy upał odrobinę zelżał, postanowiłam wyrwać się choć na chwilę z tego piekarnika.

Jak zwykle, gdy nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, skierowałam się w stronę ulicy Długiej. Oglądanie wystaw sklepowych działało na mnie odprężająco, nawet nie miałam zamiaru nic kupić. Długa doprowadziła mnie do samego centrum. Włączyłam się bez celu po krakowskim rynku, przyglądając się turystom. Z racji tego, że trwały jeszcze wakacje, było ich dość sporo. Przy stoliku jednej z kawiarenek grupa roześmianych dziewczyn zajadała się lodami. Dalej jakiś chłopak robił zdjęcie swojej dziewczynie na tle kościoła Mariackiego. Oboje tacy w siebie wpatrzeni, że aż oczy bolały od tego blasku szczęścia. Na oko dwunastoletni chłopiec coś opowiadał rodzicom, zawzięcie gestykulując. Moje obserwacje i wnioski z nich wyciągnięte, zamiast podnieść na duchu i oderwać od ponurych obrazów, jeszcze bardziej mnie zdołowały. Czy tylko ja tutaj jestem taka samotna? „Nie jesteś samotna” — przywołałam się do porządku. „Masz rodzinę, masz przyjaciółki. Dość użalania się nad sobą”.

Przysiadłam na ławeczce, przymknęłam oczy i spróbowałam sobie wyobrazić, że nadal jestem w Chorwacji. Morze aż po horyzont, ostatnie promienie gorącego południowego słońca chowającego się za górami, lekka nadmorska bryza, egzotyczna muzyka dobiegająca z przydrożnych barów i do tego ci przystojni kelnerzy. Most łączący wyspę ze stałym lądem i widok z niego — łódzie, nowoczesne jachty, cały rząd palm, stara baszta i przytulne kawiarenki. Nie, nic z tego. Jak niby mogę sobie wyobrażać egzotyczne klimaty, kiedy przed samym nosem przejeżdża mi dorożka, a woźnica krzyczy: „Z drogi, kurwa!”.

Dno, przepaść najczarniejsza, wszystko dupa i bez sensu. Rozstanie z Alexem, wstyd na imieninach, upokorzenie po pijackim wieczorze, wszystkie niemiłe wspomnienia znów do mnie wróciły. Po pięknych wczasach szara rzeczywistość spowodowała, że uciszone nieco emocje teraz eksplodowały z podwójną siłą. Nie pomogły filmy na kanapie, nie pomógł spacer, nie pomogło wmawianie sobie, że wszystko się ułoży i będzie OK. Nie zadziałało nawet spakowanie przez Karolinę ostatnich rzeczy Alexa płaczących się po naszym mieszkaniu, wystawienie ich za drzwi i podziwianie osiedlowego Pana Menela w koszulce mojego eks. Dodatkowo zdołowało mnie kilkugodzinne przeglądanie ofert pracy, z których wynikało, że idealna kandydatka powinna być studentką dostępną dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, posiadać dziesięcioletnie doświadczenie w branży, poparte licznymi rekomendacjami, znać minimum pięć języków, mieć „miłą aparycję” i najlepiej wyrażać chęć do pracy za darmo. Znaczy się, nawet do roznoszenia ulotek się nie nadaje. Co więcej, nie mogłam przestać myśleć o szarmanckim przystojniaku i namiętym pocałunku na plaży i w niczym nie pomagał fakt, że pewnie nigdy więcej nie zobaczę tego mężczyzny. Gdyby nie zdjęcie, na które zerkałam co pół

godziny, gotowa byłabym przyznać, że to wszystko mi się przyśniło. Za dużo tego jak na moją biedną głowę. Rozbeczałam się na środku rynku.

Ludzie patrzyli zaskoczeni, ale nikt nie zapytał, o co chodzi, czy coś się stało. No tak, w końcu co kogo obchodzą moje problemy.

— Przepraszam, to chyba należy do pani? — Nagle usłyszałam pytanie. Chyba do mnie.

Déjà vu czy co? Już to gdzieś słyszałam, i to całkiem niedawno. Podniosłam swe zapłakane oczęta i oto, co zobaczyłam: przede mną stał dość wysoki, całkiem przystojny chłopak, mniej więcej w moim wieku. Nieco przydługie włosy opadały mu na czoło i zasłaniały oczy. Zaraz, jak on miał na imię? Już wiem, -Emanuel. Ten sam, który dostarczył mnie do mieszkania po pijackim wieczorku. A na końcu jego wyciągniętej ręki dyndała sobie spokojnie moja mała, szmaciana torebka. Dlaczego, no dlaczego zawsze spotykam kogoś, kiedy jestem w takim okropnym stanie? W ogóle, co on sobie o mnie pomyśli? Pewnie, że jestem jakaś nieźrównowazona psychicznie.

— Dzięki... kurczę, przepraszam... i dzięki za tamten wieczór... i przepraszam za kłopot... — Próbowałam przestać płakać i doprowadzić się do jakiego takiego porządku, ale nic z tego. Oczy mi się zepsuły czy co, nie wiem, ale łzy dalej płynęły i w żaden sposób nie mogłam ich powstrzymać.

— Cicho, już dobrze. Wiesz co, chodź ze mną. — Manu, w ogóle nie zwracając uwagi na to, że dalej płaczę, złapał mnie za rękę i poprowadził przez tłum turystów. Nie patrzyłam, dokąd idę, było mi wszystko jedno. Po drodze kopnęłam w zadek jednego czy dwa gołębie. Za to, że srają gdzie popadnie i jeszcze bardziej obrzydzą mi egzystencję.

W pewnym momencie zarejestrowałam, że znajdujemy się przed sklepem. Zerknęłam na tabliczkę: „KOMP-TUR”. Czyli jakiś sprzęt komputerowy. A Manu coś do mnie mówił.

— Poczekaj tu dwie minuty, dobrze? Zaraz do ciebie wrócę, tylko muszę coś zostawić bratu.

Pokiwałam głową, że OK, nie ma problemu, i zapatrzyłam się w czubki swoich wyświechtanych tenisówek. Manu jak powiedział, tak zrobił. Po chwili był z powrotem, znów złapał mnie za rękę i znów dokądś szliśmy. Aż znaleźliśmy się w tramwaju.

Usiedliśmy w tyle wagonu. Może dlatego, że sama rzadko mam coś interesującego do powiedzenia, słuchanie ludzi w autobusach i tramwajach sprawiało mi przyjemność. Ciekawe, że zaledwie z kilku minut rozmowy można się o kimś dowiedzieć tylu rzeczy. Nawet jeśli była to rozmowa o najnowszych produktach promocyjnych w Carrefourze. Przynajmniej wiedziałam, że pani w czerwonej bluzeczce woli szampon z odżywką dwa w jednym, a nie przeciwłupieżowy, po którym włosy jej się przetłuszczają i brzydko pachną.

Wysiedliśmy po kwadransie, zdaje się, że w okolicach Dąbia. Manu znów wziął mnie za rękę, a ja nie protestowałam. Chyba słusznie sądził, że gdyby mnie stanowczo nie pociągnął, dalej bym stała nieruchomo i przyglądała się swoim butom.

Kilka minut marszu i znaleźliśmy się nad Wisłą. Cisza, spokój, tylko jakieś starsze małżeństwo, czasem trafił się jakiś rowerzysta i paru spacerowiczów z psami. Że też wcześniej nie wpadłam na pomysł, żeby tu przyjechać.

— No, przynajmniej już nie płaczesz — powiedział Manu, siadając na wolnej ławeczce, a ja z zaskoczeniem stwierdziłam, że faktycznie. Chyba byłam ciekawa, dokąd idziemy, i zapomniałam.

Siedzieliśmy tak na zielonej ławce pod drzewem dość długo, zapatrzeni w starszą panią karmiącą łabędzie i inne ptactwo wodne. Poczułam, że powinnam coś powiedzieć, jakoś podziękować. Tak więc powiedziałam po prostu:

— Dziękuję.

— Nie ma za co. — Uśmiechnął się. — Rozstanie po czterech latach musi być ciężkie.

Jasne, wiedział o tym. Ciekawa jestem, co ja jeszcze wygadywałam, kiedy byłam pijana, ale powstrzymałam się przed pytaniem. Zamiast tego powiedziałam, znów siebie zaskakując:

— Wierzysz w prawdziwą miłość? Taką, że gdy spotykasz kogoś, jesteś całkowicie pewny, że z tą osobą chcesz być. Nie wchodzi w grę zastanawianie się czy zdrowy rozsądek, po prostu wiesz, że to jest to, i już. Nawet jeśli tyle was różni, tyle przeszkód stoi wam na drodze, to wiesz, że chcesz zaryzykować, i masz pewność, że warto.

— Tak. I wiesz, że możesz wiele zmienić i poświęcić dla drugiej osoby — dodał.

— I że będziesz przy niej na dobre i złe, i ona też nigdy cię nie opuści.

— I czekasz na każdy uśmiech, na każdą chwilę spędzoną razem.

— I we wszystkim, co dla siebie robicie, czuć tę miłość.

— I nic więcej się nie liczy.

On mnie rozumiał. Niesamowite. Poczułam, że chciałabym wszystko mu opowiedzieć. Nie miałam chęci na rozmowę z Karoliną czy Agatą, które znały każdy szczegół mojej znajomości z Alexem, ktokolwiek z mojej rodziny z oczywistych powodów też odpadał. Wolałam pogadać z tym dziwnym, małomównym chłopakiem, którego właściwie prawie nie znałam, wyzalić mu się i wyrzucić z siebie wszystkie te bardziej i mniej miłe wspomnienia dotyczące mojego pierwszego poważnego związku.

Opowiedziałam mu wszystko. Jak się poznaliśmy. O zakładach znajomych, ile ze sobą wytrzymamy. O tym, jak mimo wszystko się dogadywaliśmy. Jak tęskniliśmy za sobą już dwie minuty po pożegnaniu. O niekończących się

rozmowach przez telefon i na Skypie, gdy z jakiegoś powodu nie mogliśmy się spotkać. O motylach w brzuchu za każdym razem, kiedy mnie całował, nawet po czterech latach. O wszystkich naszych kłótniach o kota, o wybór kierunku studiów, o głupoty typu „spędzamy wieczór przed telewizorem czy wychodzimy na miasto”. O wszystkich moich kapitulacjach, przyznawaniu mu racji i rezygnacji z marzeń, w tym z ukochanego aktorstwa. Bo przecież miłość to poświęcenia.

— Tak nie można. — Manu mi przerwał. — Nie można zakazywać i nie wolno rezygnować. Bo to znaczy, że się nie umie z kimś żyć, że się go nie akceptuje, więc pewnie nawet nie kocha. To nie ma sensu.

— Masz rację, oczywiście. Już sama nie wiem, czy byłam głupia i naiwna, wierząc, że taka miłość istnieje i że dostosowując się, zatrzymam go, czy po prostu nie byliśmy sobie pisani. Ja już nic nie wiem, wydawało mi się, że nam obojgu na sobie zależy, a on nagle wyskoczył z czymś takim. Jakby te wszystkie spędzone razem chwile w ogóle nic dla niego nie znaczyły. — Mówiłam i mówiłam, a Manu słuchał. Był świetnym słuchaczem, nie przerywał za dużo, nie wtrącał się, czasem przytaknął.

— Taka miłość musi istnieć. Czysta, bezinteresowna, prawdziwa — powiedział z przekonaniem. — Musi być jakaś równowaga, jakaś opozycja dla całego zła tego świata. Niemożliwe, żeby był aż tak do gruntu zepsuty. Musi być w tym wszystkim jakiś sens. „Jeśli jest noc, musi być dzień, jeśli łza — uśmiech”.

— To ksiądz Twardowski. — Uśmiechnęłam się.

— Tak.

Poprosiłam go, żeby opowiedział mi coś o sobie. Szło mu to trochę opornie, widać było, że stanowczo woli słuchać niż mówić. W każdym razie dowiedziałam się, że studiuje fotografię, dorywczo pracuje w sklepie komputerowym swojego brata, sprecyzowanych planów na przyszłość jak na razie nie ma.

Zastanawiałam się, czy wspomnieć mu o tym, co przydarzyło mi się w Chorwacji. Eee, nie, chyba nie ma sensu. I tak mi nie uwierzy, wygłupię się tylko.

Czułam się zdecydowanie lepiej niż jeszcze godzinę temu. Zdziwiająca, jak może podnieść na duchu zwykła rozmowa. Chyba wróciło mi trochę wiary w lepsze jutro. Niestety, cienie stawały się coraz dłuższe, zaczynało się robić chłodno — trzeba było wracać, tym bardziej że znajdowałam się prawie po drugiej stronie Krakowa i do mieszkania miałam spory kawałek.

Manu odprowadził mnie na przystanek. Miałam szczęście, tramwaj właśnie nadjeżdżał.

— Zaczekaj. — Przytrzymał mnie jeszcze. — Chciałbym cię jutro dokądś zabrać.

— Dokąd? — zapytałam.

— Zobaczysz. Bądź gotowa o wpół do piątej rano. Przyjadę po ciebie.



Chyba już całkowicie mi odbiło. Jest czwarta dwadzieścia, właściwie każdy normalny człowiek teraz przewraca się na drugi bok. Tylko ja jak głupia biegam po mieszkaniu ze szczoteczką do zębów w ustach, obijając się po ciemku o meble i szukając jakiejś w miarę niewymiętej i czystej bluzki. Tylko dlatego, że jakiś chłopak, którego prawie nie znam, zaproponował mi przejażdżkę. Nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co. Cała ja.

W końcu wciągnęłam na grzbiet białą koszulkę, powalczyłam chwilę z ulubionymi džinsami, znalazłam jakąś bluzę, włosy związałam w koński ogon i po chwili zbiegałam po schodach. Manu już czekał przy swoim peugeocie. Chyba ucieszył się na mój widok.

— Wstałaś — stwierdził.

— Ano wstałam. Powiesz mi teraz, dokąd jedziemy? — zapytałam, zapinając pasy.

— Niespodzianka. — Uśmiechnął się tajemniczo. Wyczułam go już na tyle, żeby wiedzieć, że męczenie go nie ma sensu. I tak nie powie.

— Mam się bać?

— Ani trochę. Spodoba ci się. Zajrzyj do schowka, powinno tam być kilka płyt z muzyką.

Zajrzałam i nie chciało mi się wierzyć. Głównie muzyka z lat osiemdziesiątych, trochę poważnej. Słuchałam dokładnie tego samego. Wybrałam którąś ze składanek i włączyłam. Po chwili z głośników zaczęły się wydobywać pierwsze dźwięki jednej z moich ulubionych ballad: *Romeo and Juliet* w wykonaniu Dire -Straits — idealna muzyka na drogę. Zdaje się, że Manu też ją lubił, bo pochwalił mój wybór.

Od tak dawna tutaj mieszkam, a pierwszy raz widziałam Kraków o tej porze. Niby ten sam, a jednak inny. Spokojniejszy. Jechaliśmy alejami, chyba wyjeżdżaliśmy z miasta. Oparłam głowę o szybę i odpłynęłam.



Która to godzina? Chyba dochodziła szósta, w każdym razie było zupełnie widno. Wygląda na to, że się zdrzemnęłam. Manu zauważył, że się obudziłam, i mrugnął do mnie.

— Już niedaleko — oznajmił.

Wyjrzałam za okno. Przystanki, tramwaje, autobusy, samochody, trzypasmowe drogi, billboardy, reklamy gdzieś zniknęły. Ani śladu betonu, żelaza, słupów, drutów i innych urbanistycznych wynalazków. Zamiast tego wąziutka

wiejska droga i malownicze drewniane domki po obu stronach, otoczone również drewnianymi płotami, za którymi dumnie przechadzało się ptactwo domowe. Co za drastyczna zmiana krajobrazu.

Po chwili zniknęły również domki, skręciliśmy w jakąś zapuszczoną polną drogę. Tutaj Manu zatrzymał samochód i kazał mi wysiąść.

Wysiadłam. Było chłodno, ale zimne i wilgotne od rosy powietrze podziało na mnie orzeźwiająco. Mój nowy znajomy zarzucił sobie na ramię dużą czarną torbę i skinął, żebym poszła za nim.

Przestraszyłam się. Może to psychol. Co on ma w tej torbie? Może zamierza zaciągnąć mnie gdzieś w krzaki i poćwiartować na kawałki. Tutaj nikt nas nie znajdzie ani nie usłyszy. O ja głupia. „No dobra, pożyjemy, zobaczymy. Nie panikuj”.

Szliśmy tak kilka minut, kiedy moim oczom ukazał się widok, który prawie zwałił mnie z nóg. Otóż zobaczyłam małe jezioro czy też staw. Nad lustrzaną powierzchnią wody unosiła się delikatna poranna mgła. Pierwsze, różowozłote, nieśmiałe promienie sierpniowego słońca przeczesywały przybrzeżne trawy i rośliny. Przy akompaniamencie wielogatunkowej ptasiej orkiestry cała przyroda budziła się do życia.

Oparłam się plecami o chropowaty pień strzelistej brzozy i skubałam palcami białą korę. Mimo porannego chłodu na policzkach czułam ciepłe słoneczne pocałunki. Spojrzałam na swój but — na czubku adidasa przysiadła ważka i przyglądała mi się z zaciekawieniem ogromnymi zielonymi oczami, przekrzywiając komicznie łebek. Uśmiechnęłam się do niej. Czas jakby stanął w miejscu. Byłam tylko ja i ważka. Liczyło się tylko tu i teraz. To miejsce było zaczarowane, czysta magia zaklęta w źdźbłach trawy, w drobinkach słońca, rozsiewana przez drobniutkie skrzydełka owadów. Ogarnęło mnie coś dziwnego, zaczęło się od lewego buta i wędrowało wzdłuż mojego ciała, wypełniając mnie aż po końcówki włosów. Chciałabym sobie na-pchać tego czegoś do kieszeni i móc dosypywać później każdego poranka do herbaty...

Z zamyślenia wyrwał mnie spust migawki. Manu zrobił mi zdjęcie.

— Pozwoliłam ci? — naskoczyłam na niego.

— Przepraszam, nie mogłem się oprzeć. Ślicznie wyglądałaś. Mogę jeszcze jedno?

— A co ja z tego będę miała? — przekomarzałam się.

— Satysfakcję, że zostałam uwieczniona przez wybitnego fotografa, którym, mam nadzieję, kiedyś zostanę.

A co mi tam, niech pstryka. W końcu gdyby nie on, leżałabym teraz w łóżku nieświadoma, że takie piękne miejsce w ogóle istnieje.

— No dobra. Gdzie mam stanąć?

— Stój tam, gdzie stałaś. Popatrz na jezioro. O tak, dokładnie. Dziękuję.

Manu z powrotem zajął się fotografowaniem jeziora, a ja przyglądałam się, jak ustawia aparat na statywie, z jakim skupieniem kręci obiektywem. Widać było, że robił to z pasją. Zazdrościłam mu z całego serca, że było coś, co kochał, że poprzez studiowanie mógł rozwijać swoje zainteresowania. Sama zawsze uważałam się za nijaką, bez siły woli, aby dążyć do rozwijania swoich aktorskich umiejętności.

W końcu chyba uznał, że zdjęć już na dzisiaj wystarczy, bo spakował aparat do torby i zawołał mnie. Poszłam za nim tą samą ścieżką, którą tutaj dotarliśmy. Po drodze obejrzałam się za siebie raz czy dwa. Szkoda było rozstawać się z tym miejscem. Wrócę tu, powiedziałam sobie. Wrócę na pewno.



Znów jechaliśmy przez wieś, mijaliśmy drewniane domki, psy za nami czekały. Manu poinformował mnie tylko, że jedziemy odwiedzić jego babcię i zjemy u niej śniadanie. Nie był zbyt rozmowny, nie mówił więcej niż to konieczne. W ogóle mi to nie przeszkadzało, było nawet miłą odmianą. Pomyślałam o Alexie, o jego niemiłych słowach, kiedy tylko na chwilę zamilkłam. Według niego cisza oznaczała, że nie mamy tematów do rozmowy, a ja zwyczajnie się z nim nudzę. W rezultacie trajkotałam cały czas o pierdołach, męcząc się przy tym niemilosiernie. „Inteligentny wszystko zauważa. Głupi wszystko komentuje” — przypomniały mi się słowa -Heinricha Heinego i uśmiechnęłam się pod nosem.

Skręciliśmy w zieloną bramę na samym końcu drogi. Dalej rozciągały się już tylko pola i lasy, zdaje się, że to ostatnie gospodarstwo w tej okolicy. Po podwórku dostojnie przechadzał się kogut w towarzystwie kilku kur. Zobaczyłam typowy drewniany dom z gankiem i kilkoma schodkami prowadzącymi do wejścia, na których warował czarny kundel. Białe firanki w oknach i całe mnóstwo kwiatów. Dalej kurnik, schowek na narzędzia, grządki, kilka drzew owocowych.

Kiedy Manu wysiadł z auta, kundel od razu zerwał się z głośnym ujadaniem i skakał wokół, omal nie zwalając chłopaka z nóg. Miło było patrzeć, jak Manu tarmosi przyjaciela za uszy, jak obaj się cieszą ze spotkania. Po tym wylewnym powitaniu pies zainteresował się mną; również skakał i próbował polizać mnie po twarzy jak dawno niewidzianą przyjaciółkę. Odsunęłam go ze śmiechem.

— Spokojnie, spokojnie. To Szarik, tak jak ten z *Czterech pancernych*... — przedstawił psa z dumą, jakby faktycznie był on tym sławnym psem.

Na ganku pojawiła się starsza pani z kruczoczarnymi, upiętymi w kok włosami, w kolorowej kwiecistej spódnicy i fartuszk.

— No, jesteście w samą porę. Myć ręce i siadać do stołu, bo jajecznicza wystygnie.

Żadnego powitania, żadnych ceregieli, żadnych pytań, kim jestem. Wszystko

było takie swojskie i oczywiste — znajoma wnuka, więc i jej. Czas na śniadanie, siadamy razem do stołu i jemy. Od razu poczułam się tu jak w domu. Zupełnie jakby to była moja babcia. Manu spontanicznie jak na niego ucałował ją w oba policzki. Zero uśmiechu, ale za to błysk w oku — cieszyła się, co do tego nie miałam wątpliwości.

Weszliśmy do kuchni, między nogami czmychnęła mi czarna kotka z białymi skarpetkami. Białe drewniane szafeczki, stół, krzesła. Kilka pejzaży na ścianach, suszące się na sznurku zioła. Zapach jabłek unoszący się z wiklinowego kosza. I jajecznica.

Aż trudno było uwierzyć, jak się Manu rozgadał. Mówił, co u jego brata Patryka, że na pewno wpadną najpóźniej w przyszłym tygodniu, o nowej wystawie fotograficznej zatytułowanej *Czas w obiektywie*. Babcia słuchała, szczerze zaintrygowana. Mnie nikt o nic nie pytał i nawet mi to pasowało — przypomniały mi się wizyty u Alexa, wymuszone pytania „Jak tam na studiach?” i sztuczne uśmiechy. Kurczę, czemu gdziekolwiek i z kimkolwiek jestem, porównuję wszystko do tego, jak było z Alexem? Koniec z tym.

— To ja pójdę zobaczyć, co się da zrobić z tym dachem w kurniku. A wy sobie porozmawiajcie. — Manu dopił herbatę, wziął skrzynkę z narzędziami i wyszedł.

Pomogłam babci pozbierać naczynia ze stołu i zabrałyśmy się do zmywania. To znaczy ona zmywała, a ja wycierałam.

— Długo się znacie z Mańkiem? — zagadnęła.

— Właściwie to nie... dzisiaj widzę go zaledwie trzeci raz. Ale lubię go.

Starsza pani uśmiechnęła się pod nosem. Trudno było się domyślić, co jej chodzi po głowie.

— Bo to dobry chłopak ten Maniek. I on ciebie widać lubi. Niełatwo nawiązuje przyjaźnie, taki z niego samotnik.

— Zauważyłam. O sobie też raczej mówi mało.

— Ciężko mu, ostatnie lata nie były dla niego łatwe. Ojciec, mój jedyny syn, zginął w wypadku, matka wyjechała za granicę robić tę swoją karierę. Sami zostali z bratem. Radzili sobie, jak mogli, dzielne chłopaki.

— Strasznie mi przykro... to faktycznie smutne. — Byłam zaskoczona i nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć, autentycznie zrobiło mi się żal. Nigdy nie potrafiłam znaleźć właściwych słów w takich sytuacjach.

— W porządku. Trzeba żyć dalej. Mimo wszystko.

Byłam ciekawa szczegółów. Kiedy to się stało? Jaką karierę? Czy dlatego Manu czasami wydaje się taki zamknięty w sobie? Ale czułam, że niegrzecznie byłoby wypytывать, szczególnie na tak delikatny temat. Jeszcze nie teraz.

Tymczasem Manu wrócił.

— No, kurnik jak nowy. Nic już nie będzie przeciekało. Babciu, zabieram ci

Aşkę. Wrócimy pewnie na obiad.

— Czekajcie, ciasteczek wam dam na drogę. — Babcia wręczyła nam paczuszkę słodkości i butelkę oranżady.

Wyszliśmy, Manu gwizdnął na psa i poprowadził mnie przez ogród, a później wydeptaną ścieżką.

— Dokąd idziemy? — zapytałam. — I nie mów, że to tajemnica ani że zobaczę później.

— OK, OK, już mówię. Nad rzekę. A wieczorem chciałbym zrobić jeszcze kilka zdjęć w pewnym miejscu w promieniach zachodzącego słońca. Mam nadzieję, że mi pomożesz. Chyba że będziesz się bała.

— Dlaczego miałabym się bać?

— Bo mieszka tam stary dziad z widłami, których nie zawaha się użyć. Do mnie ma szczególny sentyment, doskonale pamięta, jak dziesięć lat temu wyniosłem z jego sadu dwa pełne kosze jabłek — powiedział, śmiejąc się.

Kilka minut marszu i znaleźliśmy się nad rzeką. Kamienista plaża, łagodne zejście do wody, drzewa rzucające przyjemny cień. Miejsce idealne na letni wypoczynek. Aż dziwne, że nikogo tu nie było.

— Z tej strony nie da się dojechać samochodem. Dlatego mało osób tu przyjeżdża — wyjaśnił Manu.

Pożałowałam, że nie zabrałam ze sobą stroju kąpielowego albo chociaż krótkich spodenek. Trudno. Następnym razem zabiorę. Bo następny raz będzie na pewno, musi być. Zdjęłam buty, podwinęłam nogawki spodni i pobiegłam do wody.

— Manu, chodź! — zawołałam go.

— Moment. Pójdziemy na drugi brzeg. — Również zdjął buty i wszedł do wody.

Szliśmy, trzymając się za ręce, aby nie stracić równowagi na śliskich kamieniach. Woda sięgała nam zaledwie do kolan. Na drugim brzegu położyliśmy się oboje w cieniu drzewa i częstowaliśmy kruchymi ciasteczkami.

— Mówiłaś, że interesujesz się teatrem i filmem — zaczął rozmowę.

Proszę, wspomniałam tylko raz, że chciałabym być aktorką, a on to zapamiętał! Zrobiło mi się ogromnie miło.

— Tak. Mam marzenie, może trochę naiwne, aby zagrać kiedyś na deskach Starego Teatru. By moje nazwisko, tak jak nazwiska Dymna, Nowicki, Hanuszkiewicz czy Janda, pozostało w pamięci i było szanowane przez pokolenia. Ale na to już chyba za późno.

— Dlaczego? Nie myślałaś, by wziąć udział w jakimś castingu, postarać się o rolę?

— To nie takie proste. Praca aktora jest naprawdę ciężka, zdaję sobie z tego sprawę. Poza kilkoma spektaklami w gimnazjum i szkole średniej nie miałam

żadnego warsztatu, nikt mnie nie uczył. Sam zapał to za mało. Wiem też, że nawet gdyby udało mi się zapisać na jakieś warsztaty, jakieś koło teatralne, próby zajmują bardzo dużo czasu. Trzeba robić to z pasją. A z moimi obecnymi studiami jest to nie do pogodzenia.

— Rozumiem. A co z dziewczynami, którym udaje się dostać rolę w serialu, które łapią okazje w reklamach? Może to dobry sposób, by się pokazać?

— Nie dla mnie. Nie mam nic do seriali, rozumiem, że ludzie potrzebują lekkiej rozrywki, odpoczynku. Ale większość tego rodzaju produkcji prezentuje żenująco niski poziom. Ja nie chcę sławy dzięki ładnej buzi i występie w programie rozrywkowym. Chcę nauczyć się być dobrą aktorką i by ta moja praca została doceniona. Niestety czasy się zmieniły. Kiedyś konkurencja była mniejsza, ambitny aktor pod okiem dobrego reżysera miał szansę zrobić wielką karierę. Dziś większość nastawiona jest na komercję, a sława przychodzi dzięki skandalom.

— Uogólniasz. Wciąż są ludzie, którzy interesują się sztuką wyższych lotów.

— Owszem, ale jest ich coraz mniej. Media mają ogromny wpływ na kulturę. — Gdy rozmowa schodziła na interesujący mnie temat, nie umiałam zapanować nad potokiem słów. I jeszcze taki słuchacz mi się trafił! — Jeśli jakiś aktor zagra w kilku dobrych filmach, to ludzie od razu gotowi są myśleć, że to nie jest normalny człowiek, który zaszedł tak daleko dzięki talentowi i pracy, tylko widzą w nim kogoś w rodzaju półboga, koncentrują się na jego wyglądzie, z zapartym tchem śledzą plotki z życia prywatnego tej osoby w internecie. To chyba ma coś wspólnego z tym, że nasze życie czasem wydaje się takie szare, nudne. Chcemy wierzyć, że są na tym świecie idealni ludzie z idealnym życiem, a jeśli nawet nie idealnym, to chociaż trochę szalonym i zakręconym, tak innym od naszego. Skupiamy się na wyobrażeniu ich życia, by na chwilę zapomnieć o swoim — rozgadałam się.

— Z wieloma sprawami, o których mówisz, się zgadzam — przerwał mi. — Ale nie mogę pojąć jednej rzeczy. Kochasz aktorstwo, to widać. Dlaczego więc nigdy nie postawiłaś się rodzinie, chłopakowi i nie poszłaś do szkoły teatralnej czy choćby nie wybrałaś filmoznawstwa? Dlaczego on cię w tym nie wspierał?

— Słyszałam już takie pytania. Może jestem tchórzem? Może wolę, by uważali mnie za grzeczną dziewczynkę, która posłusznie spełnia oczekiwania innych? Oni w końcu chcieli dla mnie dobrze. Żebym kiedyś miała za co żyć. Zresztą Alex, gdyby się nad tym zastanowił, niczego mi nie zabraniał.

— Z tego, co mówiłaś wcześniej, wywnioskowałam co innego. Że rezygnowałaś między innymi ze względu na niego.

— Powiedział, cytuję: „Rób, co chcesz”. Tylko że zabrzmiało to tak, jakbym miała sobie spieprzyć życie, tułając się po castingach i klepiąc biedę na jakimś stryszku. I chyba właśnie o to chodzi. Może się bałam, że jeśli się im postawię i mimo wszystko pójdę na to aktorstwo, a okaże się, że to jednak nie dla mnie, to

będę musiała przyznać się do porażki? Trudno powiedzieć.

— Tylko strach może powstrzymać marzenie.

— Pewnie masz rację — zgodziłam się.

Oboje zapatrzyliśmy się w przepływające nad nami obłoki.



— Dziękuję, pierogi były pyszne. — Naprawdę dawno już nie jadłam tak smacznego domowego obiadu.

— Miło mi to słyszeć. No, uciekajcie już, ja tu posprzątam. A, Manuś, znieś mi jeszcze drabinę ze strychu, będzie mi później potrzebna.

— Już się robi, babciu.

Poszłam za Emanuelem. Stryzek był bardzo zagraconym, ale wcale sympatycznym miejscem. Zakurzone regały, stare kredensy, porcelanowe filiżanki, niedbale porzucane książki, jakieś zasuszone rośliny. Podczas gdy Manu siłował się z drabiną, moją uwagę przyciągnęła duża drewniana skrzynia w rogu. Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła... no ale co ja poradzę.

Odsunęłam wieko i zajrzałam do środka. W skrzyni najwidoczniej znajdowały się jakieś pamiątki, na pozór zupełnie bezwartościowe rzeczy, których jednak żal wyrzucić i patrzy się na nie z sentymentem — notes, biżuteria, płatki róż, porcelanowe kotki. I kiedyś biały, a dziś już nieco pożółkły materiał, który okazał się sukienką. Wyjęłam ją delikatnie i przyłożyłam do siebie; sięgała prawie do ziemi. Poglądziłam ręką — czyżby jedwab? Była piękna, zdobiona misternie wykonanymi koronkami, z których każda przypominała osobne dzieło sztuki.

Usłyszałam szelest i się odwróciłam. Manu i babcia stali za mną i wpatrywali się we mnie. Cholera.

— Przepraszam, ja po prostu byłam ciekawa... już odkładam.

— Nie! — wrzasnęli oboje.

Co jest grane?

— Włóż ją — powiedziała babcia w sposób tak zdecydowany, że nie ośmieliłam się sprzeciwić. Narzuciłam sukienkę na bluzkę, a kobieta zasunęła mi zamek na plecach. Co jest grane? Patrzyli na mnie, jakby zobaczyli ducha.

Nagle spostrzegłam, że babcia ma łzy w oczach.

— Wyglądasz przepięknie. Przypomniały mi się dawne czasy. Tę suknię miałam na sobie, gdy poznałam swojego pierwszego męża, to był też mój pierwszy bal. Możecie mi wierzyć albo nie, ale też kiedyś byłam taką szczupłą dziewczyną. — Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Manu nadal wpatrywał się we mnie zamyślony, jakby coś analizował.

— O co chodzi? — zapytałam.

— Właśnie przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Na konkurs

fotograficzny, w którym motywem przewodnim są myśli z *Małego Księcia*. Ty w tej sukience wieczorem. Sceneria: chata pana Henryka. Cytat: „Wiesz... gdy się jest bardzo smutnym, lubi się zachody słońca”.

Zamurowało mnie.

— Manu, chyba żartujesz. Ja nigdy nie pozowałam, nie potrafię — zaczęłam się bronić.

— Jesteś aktorką czy nie? — Zastrześlił mnie tym pytaniem. Teraz nie mam wyjścia.

— Ale dzisiaj? Nie mam się czym pomalować, siano na głowie...

— Nie szkodzi, tak wyglądasz bardzo naturalnie. Pakuj się, idziemy. — Manu, bardzo z siebie zadowolony, zaczął schodzić ze strychu, a ja, chcąc nie chcąc, podążyłam za nim.

— Moment! Chodź tu, dziecińko! — Babcia przywołała mnie do siebie. — Siadaj tu, na taborecie.

Rozpuściła mi włosy, a następnie zaplotła w luźny warkocz i związała białą wstążką. Poszperała chwilę w skrzyni, aż znalazła to, czego szukała, srebrną spinę w kształcie gałązki.

— To cyprys, symbol smutku. Mówią, że żałoby. Mnie się bardziej kojarzy z tęsknotą — wyjaśniła. — No, chyba gotowe. Możesz iść.

Podziękowałam, wzięłam sukienkę i wyszłam na zewnątrz. Manu z Szarikiem czekali już w samochodzie.



— Już niedaleko. Przebieraj się.

— Ale jestem ubrana.

No przecież mam na sobie sukienkę.

— Dżinsy ci spod niej wystają. Tak nie może być. Ściągaj, adidasy też. — Manu nagle zrobił się bardzo stanowczy, zupełnie jak artysta, który nie cofnie się przed niczym, aby zrealizować swoją wizję.

— OK, OK, już ściagam — zgodziłam się posłusznie. W sumie niezła z tego zabawa.

Zaparkował auto na poboczu, kawałek musieliśmy przejść pieszo. Szarik dreptał za nami. Słońce już chowało się za lasem — trzeba się było spieszyć. Na razie włożyłam adidasy z powrotem — gałązki i małe kamyczki klęły niemiłosiernie.

Wreszcie zobaczyłam, dokąd idziemy. Na polanie znajdowało się samotne gospodarstwo. Stara chata opleciona bluszczem, do której aż strach się zbliżyć, bo wyglądała, jakby miała się zaraz zawalić. Niedaleko mała kapliczka, również wymagający gruntownej naprawy płot. I tyle.

— Mówiłeś, że ktoś tu mieszka? — przypomniało mi się.

— Tak, pan Henryk. Stary dziad, we wsi wszyscy mówią, że to wariat. Nie lubi, jak mu się przeszkadza, dlatego lepiej, żebyśmy go nie spotkali.

Emanuel zaczął przygotowywać statyw i aparat, po chwili dostałam wskazówki, gdzie i jak mam się ustawić.

— Stań tam, pod ścianą. Głowa wyżej. Spróbuj trochę w lewo, masz cień na twarzy. OK, podeprzyj brodę dłonią. Popatrz w dół. — Ciągle zmieniałam pozycję, ale Manu nie wyglądał na zadowolonego.

— Coś nie tak?

— Nie zrozum mnie źle, wyglądasz wspaniale. Ale żeby fotografia była coś warta, muszą być widoczne emocje. W tym wypadku smutek, żal, tęsknota. Skorelowane z zachodzącym słońcem, chwilą zadumy, -nostalgią. Nie jestem dobry w opisywaniu, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Spróbuj grać.

No tak, nie wczułam się. Oparłam się o ścianę i spróbowałam najbardziej żalonych min, jakie mi tylko przyszły do głowy.

— Opowiedz mi, jak było, kiedy Alex po raz pierwszy cię pocałował — powiedział Manu, a ja zdębiałam.

— A co ci do tego? I czemu teraz?

— Po prostu opowiedz.

— To było na spacerze, na rynku w Krakowie... wracaliśmy z kina. Powiedział mi wtedy, że jestem pierwszą dziewczyną, przy której się tak czuje. — Miałam to przed oczami, jakby zdarzyło się zaledwie wczoraj. Nigdy tego nie zapomnę.

— Pamiętasz, jak cię przytulał? Przynosił ci kwiaty? Pisał SMS-y na dzień dobry i dobranoc?

Skinęłam, że tak. Szarik podbiegł do mnie i położył mi łeb na kolanach.

— Wiesz, że już nigdy tak nie będzie?

— Czemu mnie tak dołujesz?! Zmień temat, proszę cię — nie wytrzymałam.

— Wyobraź sobie, że idzie z tą swoją nową laską i mówi jej to samo. Całuje ją na rynku. A na dobranoc pisze jej SMS, że jest dla niego wszystkim. Ty już się nie liczysz. To było tylko złudzenie. Nie ma miłości.

— Przestań!

— Nie liczyłaś się i nie liczysz. Miłości nie ma.

Nie, tego już za wiele. Jakim prawem on mi to mówi?! Chciałam mu wygarnąć, że co z niego za przyjaciel, który najpierw podnosi na duchu i sprawia, że udaje mi się zapomnieć o tych koszmarach, a później znowu je przywołuje. Zamiast tego wybuchnęłam płaczem. Miał cholerną rację.

Próbowałam otrzeć łzy, nie chciałam, żeby znów patrzył, jak płaczę. Wtuliłam twarz w psią sierść. Szarik się przytulił, miałam wrażenie, jakby naprawdę mi współczuł.

— Popatrz na zachód. W stronę słońca.

Popatrzyłam. Kilka razy mrugnęła lampa błyskowa aparatu.

— Dziękuję. I przepraszam.

Oświeciło mnie.

— Zrobiłeś to specjalnie?! Chciałeś, żebym płakała?! Ty gnojku! — rzuciłam się na niego z pięściami. — Ty nieczuły, ty, ty... — brakło mi słów.

— Aśka, naprawdę przepraszam! Tak, chciałem, żebyś autentycznie to poczuła — bronił się. — Aua!! Wariatko, złaż ze mnie. Dla sztuki trzeba się poświęcać. Jako przyszła aktorka powinnaś to wiedzieć.

— Nie zostanę aktorką! Mówiłam ci, że już za późno!

— A wy tu co, skurwysyny niedobre?! Czego tu szukacie?! Już was tu nie ma, żebym więcej gówniarzy nie widział!

Wypisz wymaluj Jakub Wędrowycz, z długą brodą i w słomianym kapeluszu, machając zaciekle grabiami, wyrósł za nami jak spod ziemi.

— Aśka, wiejemy! Już!

No to zadarłam kiecę i lecę. Wstążka mi się rozwiązała, włosy opadały na oczy, tak że ledwo widziałam, gdzie biegnę. Obejrzałam się za siebie — pan Henryk biegł za nami! Akcja nabierała dramatyzmu, grabie były tuż-tuż. Manu pędził zaraz za mną, osłaniając trosk-liwie swój sprzęt fotograficzny, Szarik krążył w kółko i szczekał, jakby to była świetna zabawa.

W końcu krzyki: „Ja was jeszcze dopadnę, skurwysyny!” jakby zaczęły cichnąć, ale mimo to biegliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się zdyszani dopiero przy samochodzie.

I śmialiśmy się, trzymając się za brzuchy, dopóki nie zabrakło nam tchu.



— Dziewczyny! Zapraszam na naradę. Za pięć minut w kuchni — oznajmiła Karolina.

Ciekawe, o co chodzi.

Zasiadłyśmy wszystkie trzy na rozklekotanych taboretach wokół okrągłego stolika z kubkami gorącej herbaty w dłoniach i czekałyśmy.

— Otóż dzwoniła do mnie właścicielka mieszkania, pani Skowrońska. Zdaje się, że córka namieszała jej w głowie, ale to nieważne. Stanowczo żąda podwyższenia czynszu. O trzysta złotych — powiedziała wreszcie Karolina.

Zareagowałyśmy, jak należało — ogromnym oburzeniem. Nasza właścicielka była starszą panią, zdaje się, że po osiemdziesiątce, bardzo miłą i ugodową. Wiedziała, że nie dysponujemy zbyt dużymi zasobami gotówki, ale płaciłyśmy w terminie, mieszkanie było czyste i zadbane, wszyscy byli zadowoleni. Skąd ta nagła zmiana?

— Co jej powiedziałaś? — zapytałam.

— Próbowałam negocjować, mówiłam, że nie stać nas na płacenie więcej. Była nieugięta. Na nasze nieszczęście nie mamy umowy. Powiedziałam, że musimy to wspólnie omówić. Co proponujecie?

Zastanowiliśmy się. Jeśli negocjacje istotnie nie wchodziły w grę, to pozostawały dwa wyjścia: szukać innego mieszkania lub jeszcze jednej współlokatorki. Pierwsze raczej odpadało — znalezienie mieszkania w tak dobrej lokalizacji o podobnym standardzie, i do tego jeszcze tańszego, graniczyło z cudem. Ponieważ Agata potrzebowała osobnego pokoju, w którym mogła sobie spokojnie malować, tworzyć, smrodzić i paprać, padło na mnie. Miałam się przenieść do większego pokoju Karoliny, a mój malutki, przytulny pokoik zajmie jakaś nieznana nam jeszcze dziewczyna.



Wczoraj zamieściłam ogłoszenie na Gumtree, a dziś miałyśmy już cztery oglądające. Dwie stwierdziły, że pokój jest za mały, jedna miała oddzwonić w ciągu dwóch godzin, czy się decyduje, jednak przepadła bez śladu, natomiast czwartą same zniechęcałyśmy, jak się dało, bo wyglądała jak babochłop napakowany ste-rydami.

Koło osiemnastej przyszła piąta dziewczyna. I to była ta. Kamila. Zakochałyśmy się w niej po kilku minutach. Z miłym uśmiechem, słodziutka, ale nie przesłodzona, studentka drugiego roku filologii, zgadzała się na wszystko, obiecała nie przeszkadzać, nie wchodzić w drogę, dbać o porządek i ogólnie żyć z nami w symbiozie. Za niecałe dwa tygodnie ma pozwozić swoje graty. Lżej mi będzie zwalniać mój ukochany pokoik z myślą, że zamieszka w nim sympatyczna dziewczyna.

Włączyłam komputer i uruchomiłam Facebooka. Manu jest dostępny, jak dobrze. Miałam ochotę podzielić się z nim nowiną, że akcja poszukiwawcza zakończyła się sukcesem. Od naszej wspólnej wycieczki na łono natury rozmawialiśmy kilkakrotnie i chociaż na żywo nie był zbyt rozgadany, w sieci jakby otwierał się odrobinę bardziej. Nie za bardzo oczywiście, dalej niezbyt wiele o nim wiedziałam. Ale okazał się świetnym kumplem, który nie ocenia, nie wyśmiewa, za to wysłucha, pocieszy, podrzuci jakiś fajny film, czasem rozśmieszy. I zawsze miał czas, żeby zamienić ze mną choć kilka słów.

Joanna Kowalik: Heej!! Zgadnij, co mam Ci do powiedzenia?

Maniek Turowski: Czyżby znalazła się nowa towarzyszka?

Joanna Kowalik: Tak. I wygląda na to, że jest w porządku.

Maniek Turowski: No widzisz, mówiłem, że się wszystko ułoży.

Joanna Kowalik: Miejmy nadzieję. Teraz zabieram się do przeglądania ofert

pracy.

Maniek Turowski: Nie mówiłaś, że rozglądasz się za pracą. W jakiej branży szukasz?

Joanna Kowalik: Cokolwiek dla studentki bez doświadczenia. Trochę grosza by się przydało.

Maniek Turowski: A Twoja siostra? Mogłaby Ci coś załatwić, przecież robi w księgowości.

Joanna Kowalik: Udam, że tego nie przeczytałam. Wyobrażasz sobie mnie w garsonce za biurkiem? Szukam na razie czegoś dorywczego.

Maniek Turowski: OK, łapię. A co powiesz na restaurację? Wiem, że szukają kelnerek do tej nowej na Kazimierzu. Mogłabyś spróbować.

Joanna Kowalik: W sumie czemu nie, mogłaby być i restauracja. Szybko bym się wszystkiego nauczyła. Przejdę się tam jutro z CV. Dzięki!

Po ponad dwóch godzinach rozmowy, która zeszła na tematy religijno-społeczno-światopoglądowe, wydrukowałam swoje niezbyt interesujące CV i położyłam się do łóżka.



Jest dziewiętnasta, mam okropny katar i boli mnie gardło. Stoję w korku, którego końca nie widać, ponieważ znów rozkopano jedną z głównych ulic. Ile bym dała, żeby znaleźć się już w ciepłym mieszkaniu. Królestwo za herbatę. Niestety, wygląda na to, że nie uda mi się dotrzeć do domu wcześniej niż za godzinę. Z powodu nowej pracy właściwie nie czuję nóg — od miesiąca pracuję jako kelnerka w prestiżowej restauracji. Tej, której ofertę podsunął mi Manu. Nie jest to może zajęcie, o którym zawsze marzyłam, ale przynajmniej mam parę groszy na swoje wydatki i wreszcie mogę trochę zaoszczędzić na samochód, żeby nie pożyczać cały czas żółtka Agaty. Nie myślałam jednak, że tak ciężko będzie pogodzić pracę ze studiami. Mam dwa zaległe egzaminy, a niestety wieczorami jestem tak zmęczona, że zasypiam nad książkami. O jakichkolwiek spotkaniach towarzyskich, wypadach na pizzę czy do kina nie może być mowy.

O, po prawej stronie jest poczta. Dobrze się składa, bo mam przy sobie awizo, jakiś list czy inne materiały promocyjne do odebrania. Tyle że, oczywiście, nie ma gdzie zaparkować. Co tam, stanę na chodniku, to nie zajmie więcej niż dziesięć minut.

Wzięłam torebkę, zapięłam płaszcz i wysiadłam z samochodu. Na szczęście na poczcie nie było kolejki, udało mi się wszystko załatwić błyskawicznie. Oby tylko teraz udało mi się wyjechać.

O nie, to nie może być prawda. Co on sobie myśli?! Przecież nie było mnie tylko kilka minut!

Podeszłam do młodziutkiego policjanta w okularkach, niezwykle przejętego swoją misją, stojącego przy starym opłu i notującego coś skrupulatnie na karteczce.

— Jakiś problem? — zapytałam z miną niewiniątka.

— To pani samochód?

— Przyjaciółki, pożyczam od niej czasami.

— Czy zdaje sobie pani sprawę, że tutaj nie można parkować? Zastawiła pani wjazd do bramy.

— Ooo, nie może być — postanowiłam grać głupią i naiwną, podobno to skutkuje.

— Proszę pokazać dokumenty, prawo jazdy.

„A żebyś zgnił w piekle, cwelu jeden”. Dałam mu prawo jazdy, które natychmiast zaczął oglądać z każdej strony, jakby podejrzewał, że to podróbka. Z boku, z tyłu i pod światło. Tacy młodzi podobno są najgorsi, nigdy nie odpuszczają.

— Wygląda na to, że jest w porządku.

Oczywiście, że jest w porządku, idioto.

— Obawiam się, że będę zmuszony dać pani mandat.

— Za co?

— Za naruszenie zakazu postoju w miejscach utrudniających wjazd lub wyjazd, artykuł czterdzieści dziewięć, ustęp dwa, punkt jeden.

Widać, że nieźle się przygotował.

— Niech się pan zlituje, właśnie jadę do szpitala do umierającej babci. Człowiek w stresie nie jest w stanie myśleć o takich rzeczach jak krawężnik czy brama wjazdowa. Nie było mnie zaledwie kilka minut, nic się przecież nie stało. — Zrobiłam oczy jak Kot ze *Shreka*.

Od razu wiedziałam, że nie nabierze się na umierającą babcię, ale grzechem byłoby nie spróbować. Stał niewzruszenie z zaciętą miną, nadal coś notując.

— Ile? — jęknęłam zrezygnowana. Lepiej zapłacić i mieć to z głowy.

— Sto pięćdziesiąt złotych.

Załatwiłam wszystkie formalności i wsiałam do samochodu. Powinnam się cieszyć, że mi go nie odholowali, co ja bym wtedy powiedziała Agacie? Tylko że pieniądze odłożone na nowe spodnie i bluzkę poszły się paść. Byłam mocno przeziębiona, zmęczona po kilku godzinach przyjmowania zamówień i roznoszenia talerzy, jutro miałam drugi termin egzaminu z makroekonomii, do którego w ogóle się nie przygotowałam i który prawdopodobnie znowu zawalę, na co nie mogę sobie pozwolić, a teraz jeszcze straciłam półtorej stówy przez własną głupotę. To już mnie całkiem dobiło.

Dojechałam wreszcie na Kleparz, weszłam na klatkę schodową i dowlekłam się do mieszkania. W przedpokoju rzuciłam na podłogę płaszcz i torebkę, a następnie padłam wykończona na fotel. Pieprzyć egzamin, nie dam rady się

uczyć.

Agata wyszła z kuchni, pewnie myła naczynia, bo wciąż trzymała ścierkę.

— O, Asia. Wyglądasz, jakby cię walec przejechał. Zrobić ci herbaty?
A może przygotować gripex?

Kiwnęłam głową.

— Aśka, jesteś? Chodź, bo fajny film się zaczyna! — wrzasnęła Karolina.

Użyłam nadludzkiego wysiłku, aby raz jeszcze podnieść tyłek, poszłam do pokoju i opadłam koło niej na kanapę.

— Co jest, jesienna chandra? Nie martw się, będzie gorzej.

— Dzięki za pocieszenie.

Oglądałyśmy jakąś starą komedię z Jimem Carre-yem. Nie mam pojęcia, o czym był ten film, kompletnie nie mogłam się skupić. Cały czas myślałam o egzaminie zbliżającym się wielkimi krokami. Współczynniki elastyczności dochodowej popytu, niedobory rynkowe oraz produkcja i handel na zasadzie przewag komparatywnych jako sposób zwiększenia możliwości produkcyjnych gospodarki, a także błędy logiczne *post hoc ergo propter hoc*, czyli nierozróżnianie związku przyczynowo-skutkowego zjawisk od ich związku korelacyjnego, model IS-LM, krzywa Phillipsa obrazująca związek między inflacją a bezrobociem, wpływ inflacji na ilość pieniądza w obiegu lub odwrotnie, sama już nie wiem. Rzeczy, o których nie mam zielonego pojęcia, a powinnam mieć z racji swojego kierunku. Wiedziałam, że nic nie umiem, a mimo to nie mogłam się zmusić, żeby jeszcze raz przejrzeć notatki. I tak już za późno, oczy same mi się zamykały. Trudno, będę strzelać, podobno głupi zawsze ma szczęście.

Pisnął telefon.

„Dasz radę. Powodzenia. Manu”.



Dwa razy carpaccio z łososia marynowanego w pomarańczach, sałatka z grillowanym bekonem i fetą, cztery razy szarlotka na ciepło, dwa razy campari. Sprzątnąć śmieci ze stolików numer cztery i siedem, podać wino, odebrać menu. Zanieść naleśniki z serem mascarpone w polewie czekoladowej pani z rozwrzeszczanym bachorem, biec do kuchni. Umyć kieliszki i filiżanki, wrócić na salę, przyjmując zamówienie. Uśmiechnąć się do pana prezesa. Podać wodę mineralną, koniecznie niegazowaną. Pozamiatać przed wejściem, wrócić po sałatkę.

Podobnie wygląda ostatnio każde moje popołudnie — kelnereczka, czyli dziewczyna do wszystkiego. Kiedy oznajmiłam rodzicom, na co się porywam, tak jak się spodziewałam, zamiast okrzyków zachwytu doczekałam się jedynie kilku komentarzy wyburczanych pod nosem: „A czemu nie zadzwoniłaś do Olgi, przecież siostra załatwiłaby ci coś w księgowości”, „Tyle pieniędzy w edukację,

a ta woli talerze nosić”. Nawet nie próbowałam im tłumaczyć, że to nie zajęcie na całe życie, bo i szkoda nerwów. Olgi i tak nie doścignę, nie ma się co oszukiwać. No ale kurczę, małe wsparcie w pierwszych próbach usamodzielniania się by nie zawadziło...

Tymczasem, kursując między kuchnią a lokalem i dyskretnie żując gumę Orbit bez cukru, obliczałam w myślach prawdopodobieństwo zdania egzaminu poprawkowego, który skończyłam pisać zaledwie trzy godziny temu. Zadania od pierwszego do siódmego były po pięć punktów, trzech jestem pewna, a resztę rozwiązałam podobnie, jak zaznaczam liczby, grając w totka. Za zadania od ósmego do dwunastego można dostać po siedem punktów, przy czym możliwe były jedna, dwie lub trzy odpowiedzi poprawne, a punktacja wyglądała tak, że przy braku odpowiedzi otrzymywało się zero punktów, a przy zaznaczeniu chociaż jednej odpowiedzi błędnej — odejmowało dwa punkty. Zaznaczyłam odpowiedzi w dwóch zadaniach, w jednym strzelałam, a dwa pozostawiłam bez odpowiedzi. Skoro tak, to jakie są szanse, że zdam? Może rozrysuję to sobie na serwetce w formie drzewka, będzie łatwiej. Nagle moje rozważania na ten temat przerwała straszliwa fala bólu, która powędrowała aż do palców stóp, a następnie zawróciła ku górze, do samego mózgu, wprowadzając moje biedne, umęczone szare komórki w stan całkowitego paraliżu.

— Aaaaaa! — zawylałam. Guma wypadła mi na podłogę. — Kurwa mać! — Wszyscy klienci restauracji obejrżeli się w moją stronę. — Przeplacham... — Zamknęłam sobie usta dłonią i pobiegłam do toalety.

Za pomocą małego lusterka dołączonego do puderniczki udało mi się zlokalizować źródło bólu. W dolnej piątce znajdował się wielki ciemny otwór o głębokości Rowu Mariańskiego. No dobra, trochę przesadzam. Albo więcej niż trochę. Ale nie zmienia to faktu, że bolało jak cholera.

Wzięłam apap, bo cóż innego mogłam teraz zrobić, i wróciłam do roboty. Rozdałam menu rodzinie z dwójką dzieci, sprzątnęłam stolik numer trzy i wróciłam po zamówienie.

— Zdecydowali się już państwo? Co podać? — zapytałam z milutkim uśmiechem i wyciągnęłam z kieszeni notes.

— Dla dzieci będzie zapiekany sznycel cielęcy z frytkami, dwa razy — oznajmił nieco otyły jegomość.

— W porządku. A dla państwa?

— Wahamy się między polędwicą wołową w sosie z zielonego pieprzu a grzbieciem jagnięcym z rusztu. Co pani poleca?

— Ja pierdolę! — wyrwało mi się, a elegancka małżonka grubego jegomościa wzdrygnęła się zbulwersowana, dzieciaki zaś, chłopczyk i dziewczynka, zaczęły chichotać. — Przepraszam najmocniej, oczywiście polędwica będzie dobrym wyborem. Coś do picia?

— Cola dwa razy, a dla nas może jakieś wino...

— Martini Asti powinno państwu smakować — odpowiedziałam i złapałam się za usta, powstrzymując odruch wymiotny. Grubas i jego żona popatrzyli na mnie z zaskoczeniem.

— Dobrze się pani czuje?

— Tak, tak, przepraszam, proszę się nie przejmować — zapisywałam sobie zamówienie w notesiku, po czym... — Cholera, nie wytrzymaam! — Długopis wypadł mi z ręki, łzy pociekły z oczu, a policzki zapłonęły ze wstydu. Wszyscy na mnie patrzyli.

— Co to za restauracja, co tu się wyprawia?! Nie, ja tego nie będę tolerował. Chodź, Elu, poszukamy innego lokalu z normalną obsługą... — Grubas stracił cierpliwość. Tylko dzieci miały radochę. Rodzinka podniosła się z krzeseł i ruszyli do wyjścia. Pech chciał, że przy drzwiach stał mój szef i obserwował całe to zajście.

Wcielenie dobroci dla gości, postać z horroru dla pracowników, pan Kowalski złapał mnie zdecydowanym ruchem za łokieć, niemal miażdżąc mi kości, i zaciągnął do kuchni.

— Joaśka, co ty, do jasnej cholery, wyprawiasz?! Chcesz, żebym przez ciebie stracił wszystkich klientów?! — krzyczał, plując na dwa metry, wymachiwał rękami i coraz bardziej czerwieniał na twarzy. Przeróżający widok. Prawie jak Vernon Dursley wrzeszczący na Harry'ego Pottera.

— Ja przepraszam, nie chciałam... — Łzy same mi pociekły. Zaraz wylecę z hukiem z roboty, jeszcze tego mi trzeba.

— Gównu mnie obchodzi, co chciałaś. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! Co ja mówiłem o traktowaniu klientów?

— Że klient zawsze ma rację, a jeśli nie ma racji, to patrz punkt pierwszy. Zadaniem obsługi jest dbanie o klienta i sprawianie, że w przyszłości będzie korzystał jedynie z usług naszej restauracji, nie chcąc jej zamienić na żadną inną — wyrecytowałam posłusznie.

— Dokładnie tak! Więc co to miało znaczyć?! — wrzeszczał dalej.

— Bo mi przed chwilą plomba wypadła i tak mnie boli... — rozbeczałam się.

Zaległa cisza. Nawet kucharki, które gorliwie symulowały krojenie, mieszanie oraz całkowitą głuchotę podczas całej tej sceny, na chwilę zamarły. Tylko ja chli-pałam sobie cichutko. Po chwili spostrzegłam, że mój szef cały się trzęsie. Ze śmiechu.

— O Boże, Aśka — otarł chusteczką kąciki oczu. — Dawno się tak nie uśmieiałem.

A ja dawno tak się nie zdziwiłam. Dziwne poczucie humoru. Co takiego śmiesznego jest w tym, że ktoś cierpi z powodu bólu zęba? Kucharki też zaczęły

chichotać. No ale przynajmniej już nie krzyczy.

— Masz dzisiaj wolne — oznajmił, gdy już się trochę uspokoił. — Jedź do dentysty, odpocznij w domu czy co tam chcesz.

Nie wierzę własnym uszom.

— Jutro zostaniesz dłużej i odrobisz godziny. No, już cię tu nie ma. Bo zmienię zdanie.

— Dziękuję... — wyjąkałam, pozbyłam się białego fartuszka i wybiegłam z prędkością światła. Dzwonię do Marka, wreszcie komuś z rodziny na coś się przyda to, że jest ortodontą. Może uda mu się załatwić w przychodni, żeby przyjęli mnie do stomatologa bez kolejki. Kurczę, muszą mnie przyjąć bez kolejki! Przecież wieczorem idę z Mańkiem na film!



Obolała i zestresowana po torturach na fotelu dentystycznym stawiałam się jednak punktualnie przed wejściem do małego, niezbyt znanego kina. Manu już czekał. To było nasze drugie wspólne wyjście i na pewno nie ostatnie. Liczne dyskusje prowadzone na Face-booku uświadomiły mi, że oboje rozróżnialiśmy pojęcia „do kina” i „na film” i przekładaliśmy kameralną atmosferę nad wygodę i efekty specjalne typowe dla multipleksów. Podczas pierwszego wspólnego oglądania przekonałam się, że Maniek, jako jedyna ze znanych mi osób, niczego nie przeżuwał w trakcie seansu, nie wybierał filmów na podstawie reklamy, nie udawał, że śmieszą go żenujące sceny z amerykańskich komedii, nie komentował co rusz tego, co widzi na ekranie. Po prostu oglądał, przeżywał i analizował. Miałam ogromną ochotę wybrać się z nim do teatru, czekałam tylko, aż w repertuarze pojawi się coś interesującego.

Tym razem wybraliśmy się na *Drive* w reżyserii Nicolasa Windinga Refna, który już od dawna miałam chęć obejrzeć, nie tylko ze względu na boskiego Ryana Goslinga. Tak jak ostatnio wybraliśmy miejsca w ostatnim rzędzie. Usadowiliśmy się w poprzecieranych, wysłużonych fotelach i po kilku krótkich reklamach zapomnieliśmy o bożym świecie. Akcja cały czas trzymała w napięciu, film właściwie zawierał wszystko, co potrzebne, aby móc nazwać go arcydziełem: była adrenalina, emocje, tajemnica, miłość. Wszystko perfekcyjnie zmiksowane i podane w bardzo wyważony sposób. Ale jeden element zrobił na mnie szczególne wrażenie, kilka razy ciarki przeszły mi po plecach. Gdy wychodziliśmy z kina, słowa jednej z piosenek wciąż rozbrzmiewały mi w głowie i już wiedziałam, że prędko się od nich nie uwolnię.

Manu przystanął, narzucając kurtkę na ramiona, i spojrzał na mnie.

— Muzyka — powiedział.

— Muzyka — potwierdziłam.

I to był koniec naszych komentarzy do filmu. Wiedziałam, że ścieżka dźwiękowa zrobi na nim wrażenie. To było genialne uczucie: rozumieć się z kimś tak dobrze, że wystarczyło jedno słowo. Z Mańkiem nie musiałam wysilać się na rozmowę, udawać, że coś mi się podobało, bo powinno, lub nie. Oglądając filmy, oboje zwracaliśmy uwagę na te same szczegóły: grę aktorów, emocje, wyróżniającą się historię, nieszablonowe kadry lub podkład muzyczny. Efekty specjalne czy charakterystyka, zajmujące tak ważne miejsce w wielu superprodukcjach, dla nas miały drugorzędne znaczenie. Oczywiście zdarzyło się raz czy dwa, że się nie zgodziliśmy, ale dyskusja z Emanuelem to była czysta przyjemność. Nigdy mnie nie obraził, za to nieraz dał do myślenia, przedstawiając rzeczowy argument i patrząc na sytuację z perspektywy, która w życiu nie przyszlaby mi do głowy.

— Pizza? — zapytał.

— Pewnie. Ale dziś ja cię zabieram, pewnie nie znasz tego miejsca.

Szliśmy powoli, ja prowadziłam. Manu, tak jak przewidywałam, nigdy wcześniej nie słyszał o tej małej pizzerii, którą miałam na myśli. Była bardzo zmyślnie ukryta w dobudówce na tyłach kamienicy i tylko nieliczni studenci mieli o niej pojęcie. Miało to swoje plusy: nigdy nie spotykało się tam tłumów, a i ceny nie przyprawiały o zawrót głowy. Gdy zbliżaliśmy się na miejsce, rozejrzałam się na boki, gwałtownie pociąg-nęłam Mańka za rękaw i przebiegliśmy przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, a jakiś zaskoczony kierowca zatrąbił za nami wściekle.

— Zwariowałaś?! — wykrzyknął mój kompan. — Albo zginiemy, albo zaraz zapłacimy mandat.

Wiedziałam, że takie akcje nie leżały w jego naturze.

— Oj tam, przecież nie będę szła naokoło. Przejście dla pieszych jest dopiero przy rondzie.

— Wariatka. I leń — westchnął, ale już się nie gniewał.

— Niech ci będzie — zaśmiałam się i otworzyłam drzwi do pizzerii.

Samo wewnątrz nie zachwycało, ale było ciepło i przytulnie. Oczywiście wybrałam miejsce przy kominku, ogień tak przyjemnie grzał w plecy i pachniało drewnem. Zerknęliśmy do karty dań. Mieli tutaj pizzę na cienkim cieście, czyli takim, jakie lubiłam najbardziej.

— Cztery sery? — upewnił się Manu.

— Cztery sery — potwierdziłam. Wspomniałam mu kiedyś, jaką lubię najbardziej, a on znów zapamiętał moje słowa. Przywołaliśmy kelnerkę i zdecydowaliśmy się jeszcze na piwo.

Czekając na zamówienie, rozglądałam się po wnętrzu i może trochę niegrzecznie zlustrowałam grupkę studentów. Jedną dziewczynę chyba kojarzę z wykładów, zdaje się, że jest z mojego roku. Kilka osób wyciąg-nęło notatki i próbowało się uczyć, pewnie do egzaminów poprawkowych, ale niezbyt im to

wychodziło. Skąd ja to znam — zawsze gdy siedzi się ze znajomymi, każdy, nawet najgłupszy temat okazuje się ciekawszy i ważniejszy od czekających notatek. Chociaż nie, cofam to... akurat w mojej grupie większość osób zawsze była świetnie przygotowana, a ja z trudem się z nimi porozumiewałam. Te obserwacje przypomniały mi, że rok akademicki zbliża się wielkimi krokami, już niedługo będę musiała wrócić do uczelnianej rzeczywistości i wcale nie zanosi się na to, że będzie przyjemnie. Wiedziałam, że mam spore zaległości. Pocieszała mnie tylko myśl, że chociaż po zajęciach będę miała z kim miło spędzać czas.

W końcu kelnerka postawiła przed nami talerze. Sięgnęłam po nóż, widelec i zaczęłam kroić, ale zaraz się poddałam. Roztopiony ser mocno się ciągnął, cienkie i kruche ciasto stawiało opór sztuccom. Borze szumiący, przecież nie będę się wygłupiać, nie jestem na audiencji u prezydenta. Wzięłam kawałek pizzy do ręki i wgryzłam się w niego mocno, nie przejmując się ciekącym po brodzie sosem pomidorowym. -Mańkowi też ściekał sos.



— Pani Kowalik.

— Tak, panie doktorze?

— Dlaczego nie ma pani przed sobą treści omawianych zadań?

— Yyy... zapomniałam wydrukować...

— Cóż, cieszymy się, że nie zapomniała pani o zajęciach i zaszczyciła nas swoją obecnością. Proszę skorzystać z uprzejmości koleżanki i przeczytać zadanie trzecie.

Uwziął się stary dziad. Już czwarte zajęcia z rzędu zaczyna ode mnie, jakby nie było na sali ponad trzydziestu innych osób. Wzięłam kartkę od Moniki, prawdopodobnie jedynej oprócz mnie obecnej tutaj osoby, która nie wykazywała jakiegokolwiek zainteresowania matematyką, i zaczęłam czytać:

— „Jak długo można z kapitału rentowego wysokości dwudziestu tysięcy złotych wypłacać rentę kwartalną z góry w wysokości tysiąc osiemset złotych, przy kapitalizacji półrocznej złożonej z dołu i rocznej stopie siedem i sześć setnych procent. Rozstrzygnąć problem ostatniej renty: a) niepełnej, b) zwiększonej. Po jakim czasie kapitał na koncie wyniesie tysiąc trzysta złotych? Rozstrzygnąć problem niepełnej liczby wypłat”.

— Wspaniale. Zapraszam panią do tablicy.

Wzięłam kalkulator, podeszłam do tablicy, wypisałam dane i tutaj nastąpił kres moich możliwości. Jak zwykle.

— Pani Joanno, ja wiem, że to zadanie nie jest specjalnie ekscytujące, ale proszę kontynuować. Zapewniam panią, że jest na tej sali więcej osób zainteresowanych wynikiem, nie tylko prowadzący.

Milczałam. Bo co miałam mu powiedzieć? Że nie mam pojęcia, co w ogóle powinnam policzyć? Jak zacznę się tłumaczyć, że musiałam odrobić godziny i pracowałam wczoraj do późna w restauracji, a po powrocie do mieszkania od razu padłam na łóżko, ten stary piernik tylko mnie wyśmiej. W jego mniemaniu student to takie zmyślne stworzenie, które nie musi jeść, pić, wszystko wytrzyma i wszystkiego jest w stanie się nauczyć.

— Zakładam, że to nie brak wiedzy, ale wrodzona nieśmiałość nie pozwala pani podzielić się z nami rozwiązaniem. Panie Pawle, proszę wesprzeć koleżankę.

— Oczywiście, panie doktorze. — Kujon w pierwszym rzędzie aż się palił do odpowiedzi. — Po pierwsze, należy ustalić względną stopę procentową, tak aby okres stopy procentowej był równy okresowi kapitalizacji. Jeśli decydujemy się na model jednorodny, należy wyznaczyć stopę równoważną, która skróci okres kapitalizacji. Następnie wyznaczamy „q” i wstawiamy to do wzoru na przyszłą wartość wkładów po n-okresach wypłat, oczywiście z góry. Z tego równania, upraszczając i później logarytmując obie strony, wyznaczamy „n”, które u nas oznacza liczbę półroczy. Jeśli chodzi o pierwszą część zadania, to by było na tyle.

— Wyśmienicie. Jak widzimy, pomijając mniejszość, której się nie da nauczyć matematyki, większości idzie o wiele lepiej. Pani Kowalik, proszę pokazać, że nie jest pani wyjątkiem od reguły — powiedział wykładowca i uśmiechnął się pod wąsem.

— Niestety, obawiam się, że nie potrafię. Nie pamiętam wzoru — przyznałam się, bo i po co dłużej to ciągnąć. Chciałam tylko móc wrócić na swoje miejsce w ostatnim rzędzie i schować się przed tym pogardliwym wzrokiem przyszłych bankierów i biegłych rewidentów.

— Tak przypuszczałem. Codziennie rano budzę się z nadzieją, że może coś w pani postawie się zmieniło i wreszcie zaskoczy mnie pani odrobiną wiedzy. Ale widocznie ten dzień jeszcze nie nadszedł. Niech pani siada.



Pieprzę tę uczelnię. Mam dość. Semestr dopiero co się zaczął, a tu już punkty ujemne na matmie, nie ma szans, żebym zdała ją w pierwszym terminie. Dzięki Bogu, że przynajmniej mam dzisiaj wolne popołudnie. O, gdzieś leci *Love the way you lie*. Cholera, przecież to mój telefon.

— Czego? — warknęłam.

— Cześć, Aśka, tu twoja siostra. Słuchaj, mam sprawę, odebrałabyś Anię z przedszkola? Udało mi się dostać do Skowrońskiego, wiesz, ten specjalista od zdrowego żywienia, normalnie cud, że akurat dzisiaj zwolniło się miejsce, i jadę zaraz po pracy. To weźmiesz ją, tak? Wpadnę po nią wieczorem. A właściwie mogłaby prznocować u ciebie? Myśleliśmy z Marczykiem, żeby wyskoczyć dziś

na miasto. Jesteś kochana, dzięki, pa, pa!

Tak właśnie wyglądają standardowe rozmowy z moją siostrą. Nigdy nie zapyta, co u mnie słychać. Zero siostrzanej troski. Dzwoni, jak coś ode mnie chce, i rozłącza się, zanim zdążę zaprotestować. No ale co biedne dziecko jest temu winne, że ma takich zapracowanych rodziców i nie ma kto się nim zająć? Obieram cel: Bajkowe Królestwo — prywatne przedszkole artystyczne i lecę.

Po kwadransie dotarłam do przedszkola i nie powiem, spacer dobrze mi zrobił, bo ochłonęłam trochę po traumatycznych przeżyciach pod tablicą. Weszłam po schodkach i wpadłam na miłą przedszkolankę, którą znałam już z poprzednich wizyt.

— Dzień dobry, pani pewnie po Anusię? Zaraz ją przyprowadzę, a może chce pani wejść i zobaczyć, co dzisiaj stworzyła? Dzieci właśnie kończą prace na wystawę *Moja rodzina*.

— Pewnie, bardzo chętnie.

Weszłam do bajecznie kolorowej sali z wielkim, okrągłym stołem, wokół którego siedziało dziesięcioro dzieci w wieku od trzech do pięciu lat, przyodzianych w foliowe fartuszki, i z zapalem pokrywało plakatówkami rozłożone wszędzie kartki oraz siebie nawzajem. Ania, jak tylko mnie zobaczyła, zerwała się z miejsca i rzuciła w moim kierunku, wyciągając przed siebie umoczone w zielonej farbie łapki i wrzeszcząc:

— Ciociaaa! Namalowałam twój portret! Chodź, zobacz.

Na szczęście pani Krysia wykazała się refleksem i złapała ją, zanim moja wymalowana siostrzenica zdążyła zarzucić mi ręce na szyję i upaść całą bluzkę.

W czasie, kiedy Ania była poddawana nieprzyjemnemu zabiegowi mycia rąk i twarzyczki oraz przygotowywana do wyjścia, ja zajęłam się oględzinami tego, co miało być moim portretem. Malunek przedstawiał wielką, ciemną plamę, pewnie moje włosy, spod której wystawały jakieś linie krzywe, które przy odrobinie wyobraźni można było uznać za kończyny. „Ma dziecko talent” — pomyślałam z dumą. „Jeszcze będzie z niej Picasso. Przecież ma dopiero cztery lata”.

Wyszliśmy na aleję 29 Listopada i na przystanek akurat przyjechał autobus dwieście pięćdziesiąt siedem. Świetnie, podjedziemy sobie na Kleparz. Wsiadliśmy i zajęliśmy miejsce przy oknie, wzięłam Anię na kolana. Uwielbiam to dziecko. Jako jedyna w rodzinie ma śliczne, ciemne loczki, podobne do moich. Nigdy nie odmówiłam Oldze, gdy prosiła mnie o opiekę nad małą, bo grzeczniejszego dziecka nie ma na całym świecie. Ani mądrzejszego, miłszego i słodszy.

Kiedy weszliśmy do bloku, na klatce schodowej usłyszałam dziwny hałas. Dobiegał z naszego piętra. Karolina i Agata? Przecież ich nie było, obie miały wolne i pojechały do swoich rodziców na kilka dni. Sąsiadka? To starsza pani z trzema kotami. Z każdym kolejnym stopniem hałas się wzmacniał. Zaczęłam się

bać.

Otworzyłam drzwi naszego mieszkania i to, co ujrzały moje oczy, omal nie przyprawiło mnie o atak serca. W mieszkaniu na cały regulator leciało jakieś umcy, umcy i było siwo od dymu papierosowego. Mimo wczesnej jeszcze godziny kilku zupełnie już pijanych facetów zaśmiewało się do łez, oglądając spektakularnie wymiotującą blondynkę. Na najnowsze arcydzieło Agaty. Potłuczone kieliszki i przewrócone kaktusy wskazywały na to, że zabawa musiała być przednia. A w środku tego wszystkiego w mini i zielonym staniczku podrygiwała Kamila. Nasza nowa -współlokatorka.

Co mam zrobić? Wyrzucić ich wszystkich z mieszkania? Staralam się ocenić trzeźwo sytuację. Sama raczej nie dam rady. No i kłócenie się z pijanymi nie miało większego sensu. Dzwonić po policję? Przypomniałam sobie, że za mną stoi przerażona czterolatka ze łzami w oczach. Nie ma czasu, żeby czekać na policję. I ja nie mam siły. Jechać do rodziców? Za daleko.

Wzięłam Anię na ręce, zatrasnęłam drzwi i już chciałam dzwonić po taksówkę, gdy uświadomiłam sobie, że nie mam przy sobie więcej niż pięć złotych. Trudno. Idziemy na tramwaj. Kierunek: aleja Pokoju.



Manu wyglądał na zaskoczonego, gdy nas zobaczył. Dwie zupełnie przemoczone i zapłakane istotki.

— Maniek, ja przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale w mieszkaniu Kamila urządziła niezłą imprezę, zawałam matnę, siostra mnie poprosiła, żebym zajęła się Anusią, i w ogóle nie wiedziałam, co robić... — beczałam, stojąc na progu, a Ania mi z zapalonym wtórowała.

— Przecież wy jesteście całkiem mokre. Wchodźcie, no już.

Jak zwykle nie wypytywał, nie pocieszał na siłę, zaczął działać. Wziął nasze mokre bluzy, pokazał, gdzie co jest w łazience, dał ręczniki. Na szczęście Ania miała w plecaczku zapasową piżamkę i ulubionego misia. Kiedy wykąpałam ją w gorącej wodzie, Manu już czekał z herbatą i kanapkami. Sama wzięłam prysznic i przebrałam się w pożyczoną bluzę. Leżała na mnie idealnie.

Wyszłam z łazienki i przyglądałam się przez kilkanaście sekund Ani i Mańkowi, zanim mnie zauważyli. Siedzieli razem w fotelu, na kolanach mieli stos figurek — chyba aniołki. Manu coś opowiadał ścisłym głosem, a Anusia słuchała z szeroko otwartymi usteczkami, biorąc do rączek kolejne figurki. Słodki i ciekawy widok — rzadko się zdarzało, by tak swobodnie się czuła przy dopiero co poznanych osobach, szczególnie gdy nikogo z rodziny nie było w pobliżu. Uśmiechnęłam się do nich.

— Chyba pora spać — powiedziałam.

Ania, już dość porządnie zmęczona, wyjątkowo nie protestowała. Manu udostępnił jej swoją wersalkę w oddzielonej cienką ścianką części swojej kawalerki.

— Dziękuję — szepnęłam mu do ucha. Co ja bym bez niego zrobiła.

Dopiero teraz miałam okazję, żeby bliżej obejrzeć jego mieszkanie. Wcześniej byłam tu raz czy dwa, ale tylko na kilka sekund, by oddać płytę czy podrzucić ciasto, które jakimś cudem mi wyszło.

Mieszkanie, ciasne i zagracone, po głębszym przestudiowaniu coraz bardziej zaczynało mnie intrygować. Oprócz typowych mebli i sprzętów — komputera, akcesoriów fotograficznych, książek (nawiasem mówiąc, miałam ochotę je wszystkie wypożyczyć), jedną ścianę zajmował regał, a na nim, od podłogi aż po sam sufit, stały drewniane, szklane, szmaciane, porcelanowe figurki aniołów. Kolejna ściana to obrazki. Również anioły, czasem jakieś krajobrazy.

— Skąd...? — zapytałam.

— Tata — odpowiedział jednym słowem.

Nie zamierzałam odpuścić. Chciałam wreszcie czegoś się o nim dowiedzieć. On znał prawie każdy szczegół moich relacji rodzinnych. Zapytałam najdelikatniej, jak potrafiłam:

— On nie żyje, prawda?

Kiwnął głową.

— Wiem od twojej babci.

Znowu kiwnął. Usiedliśmy na dywanie. Już myślałam, że nic z tego, kiedy wreszcie zaczął mówić:

— Kiedy tata żył, dużo jeździliśmy w czwórkę. Z mamą. Egipt, Grecja, Hiszpania, Francja, no i oczywiście Anglia i Irlandia. Już nigdy nie będzie tak samo i żaden widok nie jest mi w stanie zrekompensować tych chwil spędzonych razem. Ale zostawiłem sobie pamiątki z tych podróży — anioły. To było takie hobby taty, anioł na każdą okazję, anioł z każdego miejsca, które się odwiedziło. Niektóre zrobiliśmy własnoręcznie. Mówił: „Kiedy jest ci smutno, kiedy jest źle, one zawsze są przy tobie. Troszczą się i ochraniają swoimi skrzydłami. Nie wahaj się prosić ich o pomoc”. Może to głupie, ale ja wierzę, że tak właśnie jest. I przypominają mi tatę. — Manu otarł łzę wierzchem dłoni i przerwał na chwilę. Objęłam go ramieniem i słuchałam dalej. — Pewnie chciałabyś coś wiedzieć o mojej matce. Dlaczego nie ma jej przy mnie. Była dziennikarką, naprawdę świetną w swoim zawodzie. Jeździła po całym świecie, między innymi dlatego tak dużo zwiedzaliśmy, znała każde miejsce warte zobaczenia. — Czekałam, aż powie więcej. — Kiedy przeżyła swoją pierwszą wielką miłość i wyszła za prostego chłopaka, właściwie wszyscy byli w szoku. W końcu porzuciła karierę, zmieniła pracę na o wiele spokojniejszą, aby zamieszkać w Krakowie i wychowywać swoich dwóch synów. Utalentowana dziennikarka stała się wzorową żoną i matką. Miłość

i rodzina były dla niej najważniejsze. Twierdziła, że praca ją zmęczyła, a to my dawaliśmy jej szczęście. Aż do czasu tego koszmarnego wypadku, który wywrócił nasze życie do góry nogami. Zaledwie tydzień po pogrzebie wyjechała do Londynu, gdzie przyjęto ją z otwartymi ramionami. Wciąż pamiętano jej talent i doświadczenie. Już pierwszego dnia posypały się propozycje pracy, które natychmiast przyjmowała, starając się zapomnieć o swoich synach i odcinając się od Polski. Pisała: „Nie mogę spojrzeć wam w oczy. Jesteście zbyt podobni do swojego ojca. To tak bardzo boli. Przepraszam”. Tym sposobem straciliśmy z bratem oboje rodziców niemal równocześnie i jesteśmy skazani tylko na siebie. Było ciężko, okropnie ciężko, ale brat mnie nie zostawił, to trzeba mu przyznać. Zamieszkaliśmy razem, a gdy sam rozpocząłem studia, pomógł mi znaleźć własne mieszkanie. W końcu dzięki pieniądzą regularnie przysyłanym przez matkę stać nas było na to. Tylko że pieniądze nigdy nie zastąpią rodziny.

Ryczałam jak bóbr. Jaki wstyd... Ja myślałam, że moje problemy z matką, porzucenie przez Alexa i nieco męcząca rodzina to koniec świata.

Siedzieliśmy przytuleni kilka minut w kompletnej ciszy. Oboje się uspokoiiliśmy i mogliśmy rozmawiać dalej.

— Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że było ci tak ciężko. I przepraszam za moją reakcję, nigdy nie wiem, co powiedzieć, żeby kogoś podnieść na duchu — zaczęłam, wciąż jeszcze pociągając nosem.

— Nie szkodzi. Dziękuję za wysłuchanie.

— A ja dziękuję za zaufanie. Doceniam to, że mi powiedziałeś.

Manu podniósł się z podłogi, podszedł do szafy i wygrzebał z samego dna spore pudełko po butach. W środku były zdjęcia. Oglądaliśmy jedno po drugim. Manu z tatą puszczają samoloty. Tata z Patrykiem. Obaj bracia w basenie. Mama. Cała czwórka na tle piramid. Patryk z psem. Manu z mamą. Mama i tata wyglądający na najszczęśliwszą parę pod słońcem. Już starsi chłopcy, tuż po meczu piłkarskim. Maniek do każdego zdjęcia starał się dorzucić kilka słów komentarza, mówił, kiedy i gdzie zostało zrobione. Płakał i już nawet się z tym nie krył.

— Był moim najlepszym przyjacielem. Chciałem być taki jak on. Twardy, zaradny, ale w środku złote serce — mówił o tacie. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to jest, że tacy dobrzy ludzie żyją tak krótko. Dlaczego Bóg zabrał akurat jego? — Nie było w głosie Manu buntu ani żalu. Tylko ogromny smutek.

— Słyszałam o teorii, że każdy ma na ziemi jakąś misję do spełnienia, jakąś rolę do odegrania, każdego też spotykamy z jakiegoś określonego powodu. Smutno to brzmi, ale może twój tata wypełnił swoją misję?

— Może. Zawsze lepiej myśleć w ten sposób, niż że był to przypadek, chwila nieuwagi bezmyślnego kierowcy.

— Pewnie, że lepiej. Zresztą on wcale tak całkiem nie umarł. Wciąż żyje w twoich wspomnieniach. W sercu. I ty dobrze wiesz, że zostanie tam na zawsze.

Długo jeszcze siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Obudził nas pisk Ani. Była dziesiąta rano.



Urodziny Agaty. Po ciężkich przejściach z nową współlokatorką, sprzątaniu całego mieszkania i stresującym tłumaczeniu się właścicielce (Bogu dzięki, wrócił jej rozsądek — powiedziała, że zależy jej na spokoju i zachowaniu mieszkania w jednym kawalku, obniżyła czynsz do poprzedniej kwoty, a ja mogłam wrócić do swojego pokoiku) solenizantka zażyczyła sobie zwykłego babskiego wieczoru. Wręczyłyśmy jej więc razem z Karoliną przepiękną skórzaną torebkę i butelkę białego wina, a następnie po wysłuchaniu oczekiwanych okrzyków zachwytu wszystkie trzy przywdziałyśmy szlafroczi, zrobiłyśmy sobie perfekcyjny manicure i zasiadłyśmy na kanapie, by pożreć ptasie mleczko zakupione na promocji w Carrefourze.

Po trzech odcinkach średnio wciągającego serialu zaczęła się zwykła babska pogawędka zakrapiana winem. Karolina pochwaliła się, że na portalu randkowym poznała jakiegoś faceta, że już dość długo z nim konwersuje i nawet niezłe się dogadują. Chce się z nim spotkać. Obejrzałyśmy jego zdjęcia i przeczytałyśmy co ciekawsze fragmenty rozmów. Wszystkie trzy stwierdziłyśmy, że jest zupełnie słodki i miły, a wady zapewne ujawnią się w najbliższej przyszłości. Następnie przedyskutowałyśmy po raz tysięczny status Agaty, która była zatwardziałą singielką i jak zwykle zaklinała się, że żaden facet nie jest jej do szczęścia potrzebny.

— A ty? — Karolina zwróciła się do mnie.

— Co ja? — nie załapałam.

— Jak wam się układa?

— Ale... komu? — zdziwiłam się.

— No jak to komu? Tobie i Mańkowi. — Karolina się zniecierpliwiła.

Zastrzeła mnie tym pytaniem. One myślą... co myślą?! Że my... razem?!

— Przecież my ze sobą nie jesteśmy! I nie będziemy, nic między nami nie ma! — zapewniłam ją gorąco.

— Chcesz mi powiedzieć, że jego wizyty co najmniej dwa razy w tygodniu, spacerki, rozmowy na Facebooku i Skypie, SMS-y to jest nic? Nie wciskaj mi tu ciemnoty!

— Słuchaj no, jesteśmy kumplami. Bardzo dobrze nam się rozmawia, rozumiemy się i mogę na niego liczyć. I tyle.

— A przedwczoraj? Pomagał sprzątać, a później siedzieliście w pokoju ze cztery godziny! Rozmawialiście, tak? A o czym tak gołąbeczki gruchały, jeśli można wiedzieć? — Karolina nie odpuszczała.

— O *Desiderata of Happiness*. I filmach z wątkiem samobójstwa — powiedziałam, zgodnie z prawdą.

— A... aha. Wy tłumacz jeszcze sposób, w jaki on na ciebie patrzy — zaproponowała.

— Jak znowu patrzy?! — Zaczynałam mieć dość tego przesłuchania.

— No tak, no... no tak, jakby... Agata, pomóż!

— Jak Wokulski na Łęcką — podpowiedziała posłusznie Agatka, a Karolina przytaknęła, zadowolona z porównania.

— Wy chyba żartujecie! To wino wam w głowach namieszało! — zaprotestowałam gwałtownie. — Po pierwsze, coś się wam przywidziało, bo nigdy nie zrobił i nie powiedział nic, co by mogło sugerować, że jest mną zainteresowany, po drugie, ani ja po rozstaniu z Alexem, ani on nie mamy na razie ochoty na żadne związki.

— Może jest nieśmiały — zasugerowała Agatka.

— Owszem. Ale znamy się już na tyle, że bym wiedziała, gdyby coś do mnie czuł. I zapewniam was, moje drogie, że jesteśmy i będziemy tylko przyjaciółmi. — To powinno zakończyć dyskusję.

— A ja tam swoje wiem — powiedziała Karolina, która oczywiście musiała mieć ostatnie słowo. — I radzę ci mieć oczy szeroko otwarte. Szkoda by go było, trochę cichy, ale miły z niego facet.

Wychyliłyśmy jeszcze po jednym kieliszku i rozeszłyśmy się do swoich pokoi. W głowie mi szumiało, ale nie jestem pewna, czy to od nadmiaru alkoholu, czy od kotłujących się myśli.



Kto ma czelność dzwonić o dziewiątej rano w wolny dzień! Zamorduję! A, to Manu.

— Śniło mi się, że spaceruję po zanzibarskiej plaży, a ty mnie obudziłeś, więc lepiej niech to będzie coś ważnego. Inaczej ci nie daruję — przywitałam go lekko zaspanym głosem.

— Sorry, Aśka, naprawdę. Muszę cię o coś prosić, to ważne. Spotkamy się?

Brzmiał jakoś niewyraźnie. Kurczę, to chyba faktycznie jakaś sytuacja alarmowa.

— Dobra. Za godzinę w „Pychotce”.

Siedemdziesiąt minut później siedziałam w kawiarni, popijając latte, i próbowałam wyciągnąć z Emanuela, o co chodzi.

— I? Jaki jest powód, dla którego wyciągnąłeś mnie z łóżka?

— To skomplikowane — odparł, niczego nie wyjaśniając.

— No, domyślam się. Mów, ale już — ponagliłam go.

— Patryk się oświadczył. Albo raczej chce się oświadczyć. Dzisiaj. Powiedział mi — wyduśił wreszcie z bardzo zbolałą miną.

— To świetnie! Chłopie, twój brat się żeni! Z tą Baską, tak?

Manu pokiwał głową, ale bez jakiegokolwiek entuzjazmu.

— Widzę, że się nie cieszysz. Mówże, o co chodzi.

— On planuje zrobić w sobotę imprezę z okazji tych zaręczyn. Najbliższa rodzina, trochę znajomych. W sumie jakieś trzydzieści, czterdzieści osób. Już chyba nawet zarezerwował lokal. Rozumiesz, Aśka, ja nie mogę tam iść! — Był autentycznie przerażony.

— Czekaj, ja dalej nie pojmuję. Co jest takiego strasznego w pogratulowaniu bratu i małej imprezce?

— Z naszej rodziny będziemy tam tylko ja i Patryk. I może babcia, jeśli brat ją namówi na przyjazd. Nikogo więcej nie mamy, będzie za to cała rodzina Baški. Dla mnie to całkowicie obcy ludzie. Nienawidzę siedzieć wystrojony w marynarkę i odpowiadać na te same pytania: „Jak ci idzie na studiach?”, „Jakie masz plany?”, „Czym się interesujesz?”. Ja za nimi nie przepadam, oni za mną też i raczej się to nie zmieni.

— Oj tam, nie jesteś zupą pomidorową, żeby wszyscy cię lubili. Nie da się znaleźć wspólnego języka z dosłownie każdym.

— Owszem, nie da się. Jednak zwykle, uprzejme stosunki powinno chyba dać się utrzymywać, ale nie z nimi. Nie, gdy mnie tak przepytują — westchnął.

— Nie przesadzasz trochę? Wiem po sobie, że takie pytania są męczące, ale wkrótce to będzie też twoja rodzina. Może czas przełamać lody, trochę się zintegrować? Czasami wystarczy uśmiech i odrobina chęci — zasugerowałam.

— Wiesz, już nie tylko o to chodzi. Oni wiedzą, że ja bardzo przeżyłem ten... wypadek. Nienawidzę, jak ludzie się nade mną litują. Jak patrzą na mnie tym wzrokiem, jak głaszczą po głowie, jak mówią, że im przykro — wyduśił.

— Nie bronię ich, bo wiem, że ludzie potrafią być upierdliwi, ale nie przyszło ci do głowy, że oni naprawdę się o ciebie troszczą?

— Guzik prawda. Na pewno nie jest im przykro. Udają, że żal im biednej sieroty, bo tak wypada. Co kogoś obchodzi moje życie? Wiem, co myślą naprawdę, bo to widać. I słyhać, jak szepczą, gdy tylko się odwrócę. Według nich jestem pierdołą i ofiarą losu, która nie potrafi się pozbierać po śmierci ojca. — Manu się rozgadał. — Bo pięć lat to wystarczająco, żeby się z tym pogodzić. Powinienem być jak mój brat, który w tym czasie rozkręcił niezły biznes i znalazł kobietę swojego życia. Słowem, stanął na nogi i niezły się urządził. Powinienem zachowywać się jak większość młodych ludzi, patrzeć optymistycznie w przyszłość, rozwijać pasje, zawierać nowe znajomości. Tak, ja też wiem, jaki powinienem być. Jestem tego w stu procentach świadomy. Staram się, próbuję z fotografią, ale jestem, jaki jestem. Zawsze mam wrażenie, że rodzina Baški

zaprasza mnie na wszystkie okazje i święta z litości — westchnął i opadł na krzesło, jakby ta przemowa bardzo go zmęczyła.

Faktycznie, nieciekawie. Wiem po swojej rodzinie, że trudno komuś pokazać, ile naprawdę jest się wartym, jeśli wszyscy już z góry mają o tobie wyrobione zdanie. Mogłabym mu doradzić, żeby pokazał im, że się mylą, ale kim ja jestem, żeby dawać takie rady? W końcu sama nie miałam tyle odwagi, żeby przekonać rodziców do aktorstwa, i Manu dobrze o tym wiedział.

Siedzieliśmy tak kilka minut, a może dłużej, nic nie mówiąc. W końcu przerwałam ciszę.

— Manu, cieszę się, że mi o tym powiedziałeś. Ale czuję się bezradna. Jak mogę pomóc w tej sytuacji? Chyba musisz z nimi porozmawiać, nie wiem, jakoś stopniowo przekonywać ich do siebie i siebie do nich.

— Chodź ze mną na tę imprezę — powiedział, a ja zdębiałam. Nie spodziewałam się tego. — Proszę cię. Jako przyjaciółka, oczywiście. Pewnie będę musiał powiedzieć parę słów, wznieść jakiś toast. Będzie mi łatwiej w twoim towarzystwie. I nie wyjdę na takiego pierdołę, zobaczą, że też mam swoje życie i znajomych.

Zastanowiłam się. W końcu co mi szkodzi? Maniek tyle razy mi pomagał, że ja też mogę zrobić coś dla niego. Poznanie jego brata i kilka godzin zabawy nie powinny być takie złe.

— Dobra — powiedziałam. — Ale nic za darmo. Zabierzesz mnie w przyszłym tygodniu do kina na *Czarnego łabędzia*. Od dawna chcę to obejrzeć.

— Umowa stoi — uśmiechnął się.

— I wiesz co? Dla mnie nie jesteś pierdołą. Powiedziałabym nawet, że całkiem niezłe sobie radzisz.



Mam na sobie nieśmiertelną małą czarną i okropnie niewygodne szpilki, a Agata właśnie kończy robić mi dość mocny makijaż z obficie wytuszowanymi rzęsami w stylu Kim Kardashian. Włosy wyjątkowo postanowiłam dzisiaj upiąć, bo, jak mi wszyscy mówią, z upiętymi wyglądam dojrzalej. Wstyd się przyznać, ale po kilku rozmowach na Facebooku z wyraźnie podenerwowanym Mańkiem sama zaczęłam się stresować i cały mój optymizm co do tego spotkania gdzieś uleciał. Miałam teraz wrażenie, że idziemy walczyć z bandą potworów, które tylko marzą o tym, żeby nas pożreć żywcem.

Agata, nie mniej przejęta ode mnie, zgodziła się zostać szoferem i zawiozła nas pod sam lokal. W samochodzie wiele nie mówiliśmy, bo i nie byliśmy w nastroju do rozmów. Kurczę, kto to słyszał tak się denerwować przed małą imprezą?!

Na miejscu okazało się, że lokal jest bardzo elegancki, składa się z kilku połączonych ze sobą sal i ma duży parkiet oraz scenę, na której już rozkładał swój sprzęt wynajęty zespół. Przy wejściu młody chłopaczek odebrał od nas płaszcze i zaprowadził do największego stołu. Znaleźliśmy swoje karteczki z imionami — mieliśmy zająć miejsca naprzeciwko Patryka i jego narzeczonej. Jeśli tak wygląda „mała imprezka”, to aż strach pomyśleć, jakie będzie wesele...

Ponieważ narzeczonych nijak nie mogliśmy na razie wypatrzeć, zaczęłam rozmowę z dziewczyną, która okazała się jakąś kuzynką Baśki, a Manu rozmawiał z jej chłopakiem. Ucieszyłam się, że tak szybko wpadliśmy na kogoś sympatycznego.

Moje szczęście jednak nie trwało długo, bo po kilku minutach na horyzoncie pojawił się Patryk. Nie, to nie o niego chodzi. Wyglądał całkiem w porządku. To Baśka.

Jasny gwint.

To naprawdę ona?!

I co ja, do jasnej anielki, mam teraz zrobić?!

— Maniek, musimy wyjść. Ja muszę wyjść — wyszeptałam mu gorączkowo.

— Co? Aśka, nie żartuj. Przedstawię cię.

— Ale ja nie mogę...

Jednak na jakąkolwiek ucieczkę było już za późno, bo właśnie do nas podeszli. „Uspokój się” — powiedziałam sobie w myślach. „Może cię nie pozna”.

— O, proszę, kogo ja widzę?! Asia! Co za niespodzianka! — A jednak poznała.

— No nie może być — odpowiedziałam z ponurą miną. — Joanna. — Podałam Patrykowi rękę.

— Patryk. Miło mi poznać. Dużo o tobie słyszałem, i to same dobre rzeczy. — Puścił do mnie oko. — Ale, chwileczkę, moje panie, wy się znacie?

— Oczywiście. Jak mogłabym zapomnieć tę słodką dziewczynkę z kółka teatralnego? Nic się nie zmieniłaś — powiedziała piękna młoda kobieta o wroście i figu-rze modelki, błysnęła olśniewającym uśmiechem, a ja mimo swoich dwudziestu kilku lat i dojrzałej fryzury poczułam się jak kurdupel. — Wciąż marzysz, aby zostać aktorką?

— Studiuję ekonomię — odburknęłam i chyba zabrzmiało to trochę niegrzecznie. — A ty czym się zajmujesz? — zapytałam, aby trochę zatuszować złe wrażenie.

— Jestem projektantką mody — obwieściła dumnie, a ja miałam ochotę trzasnąć ją w twarz i zetrzeć z niej ten nadęty uśmiech.

Manu chyba wyczuł, że coś jest nie tak, bo przeprosił i odciągnął mnie na bok.

— Aśka, gadaj, co jest grane.

— Nie tu... mogą usłyszeć. Chodź do szatni.

Gdy znaleźliśmy względnie wygodną kryjówkę wśród rzędów kurtek i płaszczy, zaczęłam mówić.

— Chodziłyśmy z Bašką do tej samej podstawówki, ona była dwie klasy wyżej. Obie udzielałyśmy się w kółku teatralnym, za które był odpowiedzialny między innymi jej wujek. Wierz mi, ona kiedyś nie wyglądała tak jak teraz, była przeraźliwie chuda, nosiła okulary i aparat na zębach. I nie miała za grosz talentu aktorskiego, ale była niesamowicie ambitna i zawsze uwielbiała być w centrum uwagi. Dzięki wujkowi i rodzicom, którzy mieli bzika na punkcie swojej córeczki, zawsze udawało jej się dostawać najlepsze role w szkolnych przedstawieniach — powiedziałam jednym tchem.

— I o to chodzi, tak? Że ona dostawała role, na które ty zasługiwałaś? — próbował się domyślić.

— Nie tylko. Kiedy byłam w czwartej klasie, nasza szkoła postanowiła zorganizować akcję charytatywną, chodziło o zebranie jak największej sumy pieniędzy dla chorych dzieci. Głównym wydarzeniem miał być spektakl wystawiany na prawdziwej scenie, w teatrze. To było wielkie przeżycie dla wszystkich dzieciaków, mieliśmy wystawiać *Kopciuszka*. Zorganizowano współpracę z zawodowymi aktorami, był prawdziwy casting. Wyobraź sobie, jaka byłam szczęśliwa, kiedy dostałam główną rolę! Baśka też oczywiście się o nią starała, ale punktem kulminacyjnym spektaklu była scena, podczas której Kopciuszek tańczy z księciem na balu, a ona ma słuch jak noga od stołu i zero wyczucia rytmu. Po prostu byłam lepsza — mówiłam dalej, a Maniek słuchał cierpliwie. — Przygotowania ruszyły pełną parą, miałam już gotową sukienkę, tekst znałam na pamięć, do premiery zostały dwa dni. Nawet rodzicom udzielił się mój entuzjazm i czekali z niecierpliwością. I wiesz, co się stało? W szkole najlepsza przyjaciółka Baški podstawiła mi nogę na schodach. Miałam szczęście, że skończyło się na złamanym nosie i kilku siniakach. Oczywiście wszyscy uznali, że to był wypadek. Wyobraź sobie moje rozczarowanie, kiedy się dowiedziałam, że nie mogę wystąpić! Dziwnym trafem Baśka знаła całą moją kwestię na pamięć i oczywiście ogromnie mi współczując, łaskawie zaoferowała, że mnie zastąpi. — Gotowało się we mnie, gdy o tym mówiłam.

— A to ci zołza... nie miałem pojęcia, że takie z niej ziółko... — Manu nie krył zaskoczenia. — W takim razie wcale się nie dziwię, że nie byłaś zachwycona na jej widok.

— Że nie byłam zachwycona to mało powiedziane. Najgorsze jest to, że ona mnie traktuje z góry.

— Hmm, nie znam jej za dobrze, ale racja, traktuje ludzi z dystansem. Nie tylko ciebie. I co my teraz zrobimy? Nie mam sumienia zmuszać cię, żebyś siedziała tam z nią cały wieczór — powiedział.

— Obiecałam, że będę tu z tobą dzisiaj i słowa dotrzymam. Nie chcę psuć nastroju twojemu bratu, dlatego postaram się być miła i się nie przejmować. OK? W końcu się jej oświadczył, czyli musi mieć też jakieś dobre cechy. Może się zmieniła — powiedziałam, nie bardzo wierząc w to, co mówię.

Maniek chyba też nie wyglądał na przekonanego, ale co mieliśmy zrobić? Wygrzebaliśmy się ze sterty płaszczy, zanim ktoś mógłby wpaść na pomysł, żeby zacząć nas szukać, i wróciliśmy na salę. Tam zostałam przedstawiona kilkudziesięciu osobom, automatycznie już wyszczerzałam zęby w uśmiechu i powtarzałam: „Nie, nie jesteśmy parą. Przyjaźnimy się” i „Studiuję ekonomię”. Właściwie z ulgą usiadłam przy stole.

Podano pierwsze danie i następne chwile mijały zupełnie bezstresowo. Zespół zaczął przygrywać dla rozgrzewki znane kawałki, ludzie zajęli się jedzeniem i nikt się na nas nie gapił. Staralam się nie patrzeć na Baškę, co ułatwiła mi moja sąsiadka — również studiowała na mojej uczelni i dość szybko udało nam się znaleźć wspólny temat.

W pewnym momencie Patryk wstał i poprosił o ciszę. O, będą toasty.

— Witam wszystkich — zaczął przemówienie. — Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że jestem najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. A to wszystko za sprawą tej pięknej kobiety... — mówił dalej, ale nie mogłam go słuchać, bo Manu szturchał mnie pod stołem.

— Co?! — zniecierpliwiałam się. Oj, chyba za głoś-no to powiedziałam. — O co chodzi? — zapytałam już szeptem.

— Nie mogę znaleźć kartki z gratulacjami. Musiała mi gdzieś wypaść z kieszeni. Nie widziałaś jej? — zapytał coraz bardziej zdenerwowany.

Sprawdziłam pod stołem, rozejrzałam się, ale kartki ani śladu.

— Nie ma rady, musisz improwizować — powiedziałam.

— Dobrze, że pilot nie zginął...

— Jaki pilot? — zdziwiłam się.

— A, zapomniałem ci powiedzieć. Przygotowałem dla nich małą niespodziankę. — Zamilkliśmy, bo Patryk najwyraźniej skończył mówić. Wszyscy unieśli kieliszki z szampanem, rozległy się brawa. Czas na Mańka. Zacisnęłam mocno kciuki. Kto jak kto, ale ja wiedziałam, ile kosztuje go publiczne wystąpienie.

— Witam! — Chrząknął. — Jako brat Patryka chciałbym złożyć serdeczne gratulacje. — Zakaszłał nerwowo. — To niezwykle szczęście odnaleźć swoją drugą połowę i moc... — cisza — dzielić z nią życie...

Zaciął się. Kurczę, jak mu pomóc?!

— Mojemu bratu się to udało. Jestem z niego dumny...

Otworzyłam pod stołem torebkę, wyjęłam notes i zaczęłam szybko przerzucać kartki w poszukiwaniu pozapisywanych w przyływie natchnienia

złoty myśli. „Przyjaciele są jak...”, nie, to nie. „Jeśli jest noc, musi...” też nie. To nie to, tamto nie... A, to się nada. Wyrwałam kartkę i wcisnęłam Mańkowi do ręki.

— Czytaj — szepnęłam.

Spojrzał zdziwiony, przebiegł tekst oczami i jakby mu ulżyło.

— „Łatwo znaleźć składniki miłości, ale wszystko zależy od tego, jak się je miesza. Potrzeba ogromnej pracy. [...] Po pierwsze, trzeba umieć rozumieć i akceptować. Potem trzeba być najlepszym przyjacielem. Zawsze. Trzeba pracować nad pokonywaniem tego, czego w tobie nie lubi druga osoba. Potrzeba wielkiego serca, mimo że tak łatwo jest po prostu być małym człowiekiem w tak wielu sytuacjach... Czasami iskra zapalająca miłość jest z ludźmi od początku. Ale wielu tę iskrę bierze za płomień, który — jak uważają — będzie trwał wiecznie. To dlatego tak wiele ognia i żaru serc ludzkich po prostu się wypala i w końcu gaśnie. Nad prawdziwą miłością trzeba pracować diabelnie ciężko”¹. Moi drodzy, z całego serca życzę wam, aby ogień waszej miłości nigdy się nie wypalił. Abyście w szczęściu i zdrowiu pielęgowali dzielące was uczucie. Bo „w chwili, gdy poczujesz w sercu miłość i doświadczysz jej głębi, odkryjesz, że dla ciebie świat nie jest już taki sam, jaki był do tej pory”². Wypijmy za zdrowie Patryka i Basi!

Rozległy się brawa.

— A teraz mała niespodzianka. Pozwoliłem sobie przygotować krótki filmik na pamiątkę kilku lat znajomości naszej szczęśliwej pary.

Na ścianie pojawiły się najpierw zdjęcia Patryka, później Baški. Dwa krótkie filmiki, jeden chyba z sylwestra zeszłego roku, a jeden z ich wakacji. Później ich wspólne zdjęcia. Oczywiście na każdym uśmiechnięci i wpatrzeni w siebie. Podkładem muzycznym była piosenka *Never let me go* Florence and the Machine. Całość robiła bardzo przyjemne wrażenie. Gdybym nie znała Baški, powiedziałabym, że to wspaniała dziewczyna i tylko im pozazdrościć. Wszyscy patrzyli urzeczeni, widziałam, jak Patryk bezgłośnie mówi do brata „Dzięki”. Udało się!

Kolejne osoby z rodziny narzeczonej wygłaszały toasty, mniej lub bardziej poruszające, ale ich nie słuchaliśmy.

— Aśka, nie wiem, jak ci dziękować. Uratowałaś mnie przed kompromitacją.

— Daj spokój. Ważne, że się udało, w połączeniu z filmikiem zgrabnie ci to wyszło i wszyscy są zadowoleni — powiedziałam. — I tak wisisz mi kino.

— Ale skąd wytrzasnęłaś na poczekaniu taki tekst? — Nie mógł się nadziwić.

— Jak by to powiedzieć... nie śmieję się. — Nie wiem, po co to powiedziałam, bo znałam go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że mnie nie wyśmiej. — Wiesz, co to jest deklaracja misji życiowej? Może mieć różne formy, ja

wybrałam po prostu zwykły notes, w którym zapisuję wszystkie cytaty i złote myśli, na które gdzieś się natknęłam i mi się spodobały. To ma motywować do działania, podnosić na duchu, pocieszać, w zależności od potrzeb. Notes zwykle mam przy sobie i zaglądam do niego, jak mnie najdzie chandra.

— Gdzieś słyszałem o czymś takim. Ale w życiu bym nie przypuszczał, że uratuje mi życie — przyznał Manu.

Zespół grał coraz żywiej, ludzie zaczęli wstawać i wychodzić na parkiet. Czekałam cierpliwie, aż Manu poprosi mnie do tańca, ale powoli traciłam nadzieję. Widać jakoś się do tego nie palił, a ja nie miałam zamiaru przesiedzieć całego wieczoru. Sama go wyciągnęłam.

— Asia, ja nie...

Nie dałam mu dokończyć, złapałam go za jedną rękę, drugą położyłam na swojej talii i już byliśmy na środku.

Prawda jest taka, że wcale nie jestem wyjątkową tancerką. Nie mam za dobrego wyczucia rytmu, nie łapię w mig nowych kroków, nie potrafię ruszać się ani z wdziękiem, ani z niewymuszoną pewnością siebie. Tańczę raczej przeciętnie, ale lubię to. Trzymiesięczny kurs tańca towarzyskiego, na który chodziłam razem z Karoliną, w zupełności wystarczył, żebym poznała podstawowe kroki salsy, cza-czy i kilka efektownych obrotów. I od tej pory postanowiłam, że nie będę podpierała ścian na żadnej imprezie. Zresztą wierzę, że wszystkiego można się nauczyć — aktorka właściwie musi.

A Manu mnie bardzo pozytywnie zaskoczył. Tak, oczywiście mówił, że nie potrafi, że źle się czuje, jak inni na niego patrzą, był spięty. Ale po kilku kieliszkach i przetańczonych piosenkach szło nam coraz lepiej. W końcu odkryliśmy, że znamy te same kroki, jesteśmy nieźle dopasowani i zaczęliśmy się naprawdę dobrze bawić. Miło było patrzeć, jak ten do tej pory zamknięty w sobie chłopak się śmieje, jak jego brat patrzy na to z zadowoleniem. Cieszyłam się razem z nimi. Jako przyjaciółka, oczywiście.

Po kilku godzinach zabawy i kolejnym toaście poczułam, że chyba jestem trochę wstawiona. Albo bardziej niż trochę. Powinnam przystopować, bo jeszcze narobię sobie i Mańkowi wstydu. Gdzie on się w ogóle podział? A, tańczy z przyszłą bratową.

Wtedy przyszedł mi do głowy iście szatański pomysł. Wiem, że nie powinnam, wiem, że to nie na miejscu, że mogę zepsuć zabawę. Ale chęć zemsty była silniejsza. Kiedy, jeśli nie teraz?

Weszłam po schodkach za scenę i jakimś cudem zlokalizowałam gitarzystę. Wyszeptałam mu na ucho, o co mi chodzi, on kiwnął głową, że się zgadza, i czmychnęłam, zanim ktokolwiek mógłby mnie zauważyć. Wróciłam do stolika bardzo z siebie zadowolona i czekałam na rozwój wydarzeń.

Manu wrócił, ale był tak zdyszany i wstawiony, że na szczęście nie zauważył

mojego diabelskiego uśmiešku, bo pewnie próbowalby to powstrzymać. Wokalista tymczasem poprosił wszystkich o ciszę.

— Widzę, że dobrze się państwo bawią, i oczywiście bardzo nas to cieszy. A teraz czas na niespodziankę. Doszły nas słuchy, że przyszła panna młoda ma niezwykle talent wokalny i chciałyby się nim z nami podzielić, a przede wszystkim ze swoim narzeczonym, któremu zadedykowała tę piosenkę. Basiu, zapraszamy na scenę! *I will always love you!*

Mina Baški, to przerażenie malujące się na jej twarzy — bezcenne. Teraz ani wygląd, ani eleganckie ciuchy, ani elokwencja jej nie pomogą. Nie miała jak się od tego wymigać. Przecież nie powie, że to pomyłka i że nie zaśpiewa dla przyszłego męża. Jestem genialna. Naprawdę świetnie to rozegrałam.

Patrzyłam, jak wchodzi pomalutku i ostrożnie na scenę, jak chwyta drżącymi rękami mikrofon, jak próbuje zachować twarz, wiedząc, że zaraz zostanie zdemaskowana i pogrążona. Muzyka zaczęła grać. I popłynęły pierwsze dźwięki będące istną męką dla uszu. Jej śpiew przypominał pianie koguta. Nikt nigdy tak nie zmasakrował tej piosenki. Ale trzymała się dzielnie, trzeba to przyznać. Patryk próbował się uśmiechać. Goście z uprzejmości również, ale gdzieś tam dało się dostrzec zdegustowaną minę lub usłyszeć niepocholebny szept. Już nie była najjaśniej świecąca gwiazdka, jej mankamenty ujrzały światło dzienne.

— To ty? — szepnął do mnie Maniek.

Kiwnęłam głową. To za *Kopciuszka*.

Jesteśmy kwita.



Znów odbierałam Anię z przedszkola. Niedobra matka z tej mojej siostry, mała więcej czasu spędza w mieszkaniu studentów niż we własnym domu. Nie omieszkam wygarnąć jej tego przy najbliższej okazji. Kiedy tylko dotarliśmy na miejsce, Karolina i Agata natychmiast porzuciły przeglądanie sterty notatek.

— Anusia! Chodź, pomożesz mi malować ściagi. — Agata też była w niej zakochana.

— Zrobię ci kanapki. Z czym chcesz, kochanie? Z szynką czy z serkiem? — To Karolina.

— Z serkiem — odpowiedziałam.

— Nie ciebie się pytam, małpo. Soczku też chcesz?

— A masz z guaraną? Albo z kaktusem? — spytała Ania. Ostatnio miała fioła na punkcie egzotycznych owoców i dziwnie brzmiących nazw.

— Eee, nie. A pomarańczowy może być?

— Dobra, niech będzie — zgodziła się moja siostrzenica i poszła do pokoju.

Ja niestety musiałam sama zrobić sobie podwieczorek. Wypiłam gorącą

herbatę, parząc sobie język i podniebienie, i poszłam się zdrzemnąć, tak na dwadzieścia minut. Później spróbuję ogarnąć tę cholerną matematykę.



— Ciocia! Ładne? Specjalnie dla ciebie narysowałam!

O Matko Przenajświętsza, jak się przestraszyłam! Kurczę, gdzie ja jestem, co tu robi Ania i która w ogóle jest godzina? Musiałam porządnie zasnąć. Spojrzałam nieco przytomniej na Anusię i na trzymany tuż przed moim nosem rysunek.

— To jest konik, a na nim siedzi książę. On jedzie do królowy, będzie ją całował — wyjaśniła mi Ania.

— Śliczny konik. I książę też. — Już miałam wstać, kiedy moją uwagę przyciągnął jeden szczegół. Czemu książę wyglądał jak milion dolarów?

— Ania, skąd wzięłaś ten papier?

— Leżał tam na stoliku. — Wskazała paluszkami miejsce w pokoju najbardziej ogarnięte przez chaos i nieporządek. — Myślałam, że ci niepotrzebne.

Przetarłam zaspane oczy i poddałam rysunek bliższym oględzinom. To był jakiś dodatek do gazety — przegląd krakowskich lokali, restauracji wraz z opiniami i ocenami klientów. Na pierwszej stronie znajdował się wywiad z właścicielem otwartej zaledwie dwa tygodnie temu restauracji, która, sądząc po ocenach, zrobiła prawdziwą furorę. Odszukałam nazwisko właściciela — Michał Zieliński, lat dwadzieścia osiem. Nic mi to nie mówiło. Ale to zdjęcie...

Motyłki w brzuchu.

To musi być on.

Z gardła wydobył mi się dziki okrzyk.

— Iii!

A później nastąpił nieoczekiwany atak hysterii; płakałam i śmiałam się na przemian. Kątem oka udało mi się zauważyć, że dziewczyny stoją w drzwiach i z naprawdę głupimi minami obserwują to całe widowisko. Biedna Ania w ogóle nie wiedziała, co się dzieje. Kiedy już przestałam podskakiwać i walić poduszką o ścianę, Karolina podeszła i delikatnie wyjęła mi z ręki wywiad, który cały czas kurczowo ściskałam. Usiadły z Agatą na podłodze, rozprostowały wymięty papier i zaczęły czytać. Cholera, chyba dalej nie załapały.

— Patrzcie na zdjęcie — odpowiedziałam, dalej podskakując.

— Ma oczy jak Ryan Gosling — niezbyt odkrywczo stwierdziła Agata.

Karolina przeanalizowała, podrapała się po rudej czuprynie, walnęła Agatę w łeb i...

— Aaa!

Teraz już szalałyśmy wszystkie trzy. Odańczyłyśmy dziki indiański taniec z podskokami i krzykami, a następnie dziewczyny rzuciły się na mnie

z pocałunkami i uściskami.

Przypomniałam sobie o małej siostrzenicy, która siedziała zapomniana na podłodze z usteczkami wygiętymi w podkówkę. Wzięłam ją na ręce i ucałowałam z całych sił.

— Ciocia znalazła bardzo fajnego pana, którego poznała dawno temu i później już się z nim nie widziała, wiesz? I dlatego tak się cieszy. I to dzięki tobie go znalazła. — Taka prawda, ten dodatek mógł leżeć w papierach jeszcze z miesiąc, a później mogłabym go przez przypadek wyrzucić. Aż się wzdrygnęłam na samą myśl.

— A co to za pan? Może to ksiązę? — zapytała.

— Tak, cukiereczku, to może być ksiązę. — Uśmiechnęłam się i ucałowałam ją jeszcze raz. — Ale mam prośbę, potrafisz dotrzymywać tajemnic? Nie mów nic mamusi o tym panu, dobrze? To będzie taka nasza tajemnica.

Kiwnęła poważnie główką. Lepiej, żeby Olga nic nie wiedziała, przynajmniej na razie.

Przeniosłyśmy się do pokoju Agaty, gdzie było więcej miejsca. Karolina przyniosła kieliszki i butelkę sylwestrowego szampana, a następnie zaczęła przesłuchanie.

— Mówiłaś, że ten facet był Amerykaninem, tak?

Kiwnęłam głową.

— I nazywał się Michael? To jak w takim razie wytłumaczysz to, że jest tutaj w Krakowie, otworzył restaurację i ma na imię Michał?

— Michał, Michael to prawie to samo... Mówiłam wam, że nie powiedzieliśmy sobie, kim jesteśmy. Ja udawałam modelkę, on aktora, dobrze się bawiliśmy tego wieczoru i tak miało zostać — powiedziałam, ale jedna rzecz dała mi do myślenia. On wiedział, że jestem z Polski. Mimo to rozmawialiśmy cały czas po angielsku, a ja nie wyłapałam żadnego obcego akcentu. Mówił, jakby to był jego ojczysty język. Czemu?

— Jesteś pewna, że to on? — zapytała Agata.

Popatrzyłam jeszcze raz na zdjęcie. Wspomnienia były jak żywe. Tak, to on.

— Jeśli mu się spodobałaś, to czemu nie przerwał tego udawania? Czemu nie powiedział, że też jest stąd, nie poprosił o numer? — Kolejne pytania.

Euforia minęła, zaczęłam analizować. W lipcu byłam pewna, że Michał (Michael?) jest całkowicie poza moim zasięgiem, więcej tego faceta nie zobaczę i będę musiała się z tym pogodzić. Że fajnie było, ale się skończyło. Teraz się dowiaduję, że jest nie tylko z Polski, ale i z Krakowa. I mogę go spotkać. Ale czemu w takim razie nigdy nie próbował się ze mną skontaktować? Miałam wrażenie, że coś między nami zaiskrzyło. A może dla niego to nic nie znaczyło?

— Za dużo tych pytań. Plan jest następujący: jutro obczajamy restaurację. Panie, zapraszam was na kolację w „New York Dream”!



Wszystkie trzy stoimy w szlafrokach i gorączkowo przerzucamy sterty ciuchów piętrzących się na kanapie i podłodze. W co my się mamy ubrać? Ze znalezionych w internecie opinii wynika, że restauracja nadaje się zarówno na elegancką kolację, jak i niezobowiązujące spotkanie przy filiżance kawy. Mam się zrobić na bóstwo czy raczej sprawiać wrażenie, jakbym znalazła się tam przypadkiem? Upiąć włosy i się umalować czy postawić na naturalność? A co, jak go tam nie będzie o tej porze? Panika, panika, panika!

— Stop! — Karolina przejęła pałeczkę. Jak dobrze. — Ogarnijmy się. Ubieramy się ładnie i elegancko, ale bez przesady. To nie audiencja u papieża, tylko babskie pogaduchy przy winie. Malujemy się tylko odrobinę mocniej niż na co dzień. Sprawiamy wrażenie, że nie wiemy, kto jest właścicielem, przyszliśmy z ciekawości, bo ktoś nam to miejsce polecił, może być jakaś ciotka, i chciałyśmy się same przekonać, jak tam jest. Włosy rozpuszczone, francuski manicure i odrobina różu na policzki. Wykonać!

Czterdzieści pięć minut później, już gotowe, wsiadałyśmy do zamówionej taksówki. Denerwowałyśmy się wszystkie, nie mam pojęcia, która z nas najbardziej. A co, jeśli Michał tam będzie, ale mnie nie pozna? Albo pozna i robi się niezręcznie? Albo wyleję na siebie sos, a on wtedy mnie zobaczy? A jeśli... chyba zaraz zwymiotuję.

Kilkanaście minut jazdy w pełnej napięcia ciszy i znalazłyśmy się przed restauracją. Z zewnątrz — nic szczególnego. Ale kiedy tylko przekroczyłyśmy próg, zrozumiałam, skąd te wszystkie słowa zachwytu.

Znalazłyśmy się w Nowym Jorku. Dosłownie. Lokal był wyraźnie podzielony na kilka odseparowanych części, każda doskonale oddająca klimat jednej z pięciu głównych dzielnic. Największe wrażenie robił oczywiście Manhattan. Ponieważ na zewnątrz było już ciemno, wejście do głównej sali dawało uczucie podobne do zderzenia ze ścianą migających światełek. Wszystko takie ogromne, ogłupiające, tłumy ludzi, samochody, zalew obrazów, dźwięków i kolorów, a w tym wszystkim ja. Poczulałam się taka malutka i nie na miejscu. Szłyśmy dalej labiryntem przecinających się idealnie pod kątem prostym alejek pomiędzy stolikami, a nad naszymi głowami górowały wieżowce niczym ciemne, masywne olbrzymy, niżej schody prowadzące do eleganckich kamienic z brązowej cegły, stacje metra, bogate sklepy i żółte taksówki, zupełnie jak w filmach Woody'ego Allena. Popatrzyłam na Agatę, która bez powodzenia próbowała udawać, że jej opadająca szczeka to wyraz umiarkowanego zainteresowania. Były i Central Park, i Empire State Building, i nowojorskie muzea, i finansowa Wall Street, i rozrywkowy Times Square, i artystyczne Soho, i cały Brooklyn. To

wszystko za sprawą ogromnych, po mistrzowsku wykonanych zdjęć rozmieszczonych w bardzo przemyślany sposób oraz oświetlenia, mebli i dekoracji dobranych zgodnie z charakterem poszczególnych części miasta.

Wybrałyśmy spokojniejszą East Village — miejsce, gdzie można coś zjeść i posłuchać muzyki. Na szczęście znalazł się dla nas wolny stolik. Z głośników, jak należałoby się spodziewać, wydobywały się spokojne melodie piosenek Elli Fitzgerald. Byłyśmy tak zachwycone, że nie ma sensu nawet tego komentować. Przekartkowałam menu i proszę — kolejny szok! Znajdowało się tam dosłownie wszystko. Od frytek i coli, przez chińszczyznę, makarony i pizzę, po ekskluzywne obiady, wyszukane desery i wykwintne alkohole.

Niestety, byłyśmy wszystkie tak ogłupiałe i podniecone, że niewiele mogłyśmy przełknąć. Zamówiłyśmy same przystawki i butelkę wina na rozluźnienie. Jadłyśmy i piłyśmy najwolniej, jak się dało, ukradkiem się rozglądając. Nie mówiłyśmy prawie nic, tak że dla kogoś z zewnątrz mogłoby to wyglądać jak spotkanie pożegnalne, stypa, topienie smutków w winie czy sesja terapeutyczna kobiet zmagających się z depresją.

Po prawie dwóch godzinach takiego siedzenia zaczęło mi jakby odrobinę szumieć w głowie, Ella Fitzgerald przestała zachwycać, zaczęła wręcz irytować, a ja poczułam, jak powoli wkrada się między nas zniecierpliwienie. Gdzie się podział Michał? Czyżbyśmy wybrały złą porę i nie było go w tej chwili w restauracji? Gdyby tu był, na pewno bym go zauważyła. Spojrzałam bezradnie na dziewczyny.

— Co robimy? — spytałam.

— Albo go tu nie ma, albo nie pokazuje się na sali. Może być w toalecie, szatni, kuchni, na zapleczu i rozmawiać z personelem. Stawiam na to ostatnie, w końcu lokal dopiero co został otwarty i wątpię, czy jakikolwiek właściciel w pierwszych dniach zostawia wszystko samopas — odpowiedziała całkiem rozsądnie Karolina.

— Więc co robimy? — powtórzyłam pytanie.

— Najprościej byłoby po prostu zapytać kelnerkę, czy właściciel gdzieś tu jest, i powiedzieć, żeby go poprosiła. Jeśli nie chcesz teraz z nim rozmawiać, może udałoby się od kogoś z personelu wydębić jego numer telefonu, adres, cokolwiek.

— Nie! — zaprotestowałam. — Mówiłam wam, chcę, żeby to wyglądało na spotkanie przypadkiem. Jestem ciekawa jego reakcji, czy mnie w ogóle pamięta. Nie mogę ot tak podejść do niego albo zadzwonić i zapytać, czy pamięta supermodelkę z Chorwacji.

— Na codzienne kolacje w restauracji nie mamy ani czasu, ani pieniędzy — przypomniała Agata. — Trzeba działać.

— Możemy przejść się po restauracji. Jakbyśmy szukały toalety. I może któraś coś zobaczy — zasugerowałam.

— Plan nie jest głupi. Dobra, jedna zostaje przy stoliku, a dwie idą szukać. Agata, zakładam, że wolisz zostać. Aśka, ty idziesz do toalety. Ja pójdę do szatni, udam, że zostawiłam coś w płaszczu. Weź telefon, w razie czego będziemy dzwonić. — Karolina przejęła ster.

No i poszłyśmy. Doskonale wiedziałam, gdzie jest toaleta, strzałki w odpowiednich miejscach wyraźnie o tym informowały, ale postanowiłam udawać mało spostrzegawczą i specjalnie poszłam w przeciwnym kierunku. Minęłam Central Park, zatrzymałam się na chwilę przy zdjęciach zrobionych ze szczytu Emp-ire, zerknęłam na prawo i lewo, zawróciłam, przeszłam jeszcze raz koło naszego stolika, Agata dała mi znak, że niestety nic, i poszłam tym razem już w stronę toalety. Oczywiście męskiej.

Uchyliłam drzwi i zajrzałam ostrożnie — nie chciałam nadzieć się na jakiegoś półnagiego starszego faceta, ale w środku nie było nikogo. Zajrzałam dalej, żeby się upewnić, kiedy ktoś położył mi rękę na ramieniu. Pis-nęłam ze strachu i odwróciłam się szybko.

— Panienska tu czegoś szuka? — zapytał sympatycznie wyglądający staruszek.

— Eee... nie. Próbuję znaleźć damską toaletę, wie pan może, gdzie się znajduje? — jakoś wybrnęłam.

— Toż to przecież drzwi obok. Ciężko pomylić, tu sama panienska widzi, że same pisuary — oznajmił dziadunio, a ja spiekłam raka. No tak. Ale nie powiem mu, że szukam właściciela w toalecie. Zresztą Bogu dzięki, że go tam nie było, teraz to do mnie dotarło. Jak bym wytłumaczyła Michałowi, co tutaj robię?

Wtem zadzwonił mój telefon. Byłam tak zdenerwowana, że miałam problem z naciśnięciem odpowiedniego klawisza, żeby odebrać.

— Halo?! — wrzasnęłam.

— Aśka, on tu jest!! Jakie ciacho, normalnie nie wytrzymam! — Karolina piszczała do telefonu.

— Gdzie?! — zaczęłam się rozglądać. — Nie widzę!

— Wszedł przed chwilą i poszedł gdzieś na tyły, bo ja wiem, chyba do kuchni. Dziewczyno, on naprawdę wygląda jak gwiazda, ja nie mogę! — Kurczę, pierwszy raz słyszę, żeby Karolina tak się zachowywała.

— Idę tam — oznajmiłam.

— Przecież cię tam nie wpuszczą — przytomnie zauważyła koleżanka.

— Coś wymyślę. Tylko zerknę, sprawdzę, czy to na pewno on. Później się zastanowię, jak zaaranżować spotkanie, żeby wyszło jak najbardziej naturalnie. — Rozłączyłam się i tym razem wyruszyłam na poszukiwanie kuchni.

Chwilę mi zajęło zlokalizowanie drzwi z napisem „Staff only”, bo były całkiem zmyślnie ukryte za wnęką w ścianie. Jak tam wejść, żeby mnie nie wyrzucili? Myśl, myśl... Mam!

Weszłam pewnym krokiem, niestety nie uszłam nawet dwóch metrów, kiedy groźnie wyglądający Meksykanin, cały w tatuażach, zagroził mi drogę.

— Czego pani tutaj szuka? To miejsce tylko dla personelu, proszę wrócić na salę — powiedział bardzo stanowczo.

Ha, byłam na to przygotowana.

— Ale ja jestem z personelu, nie poinformowano pana? Joanna Kowalik, miło mi. Wcześniej pracowałam u pana Kowalskiego w restauracji „Retro Style” jako szef kuchni, a dzisiaj miałam się tutaj spotkać z panem Michałem Zielińskim, żeby wprowadził mnie w nowe obowiązki — powiedziałam z uprzejmym uśmiechem. Z „Retro Style” nawet nie skłamałam, tylko tego szefa kuchni sprytnie sobie dodałam. — Zdaje się, że go jeszcze nie ma. W takim razie, żeby nie tracić czasu, pozwoli pan, że się tutaj rozejrzę. — Minęłam zdezorientowanego Meksykanina i ruszyłam, cały czas dyskretnie się rozglądając.

Zajęte kucharki i zabiegane kelnerki w locie porywające kolejne talerze nawet nie zwróciły na mnie uwagi. Prześlizgiwałam się ostrożnie, cudem unikając zderzenia z jakimś parującym półmiskiem i deserem składającym się głównie z bitej śmietany. Aż nagle...

Jest! Natychmiast schowałam się za regałem wypełnionym po brzegi garnkami i sztuczkami. Przesunęłam stertę patelni o kilka centymetrów, żeby poprawić sobie widoczność. Rozmawiał z jakimś drobnym chłopaczkiem, który notował coś w zeszytiku. Święty Boże, jak ten facet się prezentuje! W czarnej koszuli z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi nonszalancko dwoma guzikami wyglądał jak młody bóg. Tym razem nie przesadzam. Jeszcze do tego lekko zmierzwił włosy... co za gustowne połączenie ekstrawagancji i elegancji. Wpatrywałam się bez słowa i kontemplowałam. Nie zauważyłam nawet, że odprawił chłopaczka i zaczął iść w stronę regału.

Aaaa! Co ja mam zrobić?! Uciekać?! Odwróciłam się gwałtownie i właśnie w tej chwili doświadczyłam bliskiego kontaktu z czekoladowym puddingiem, którego większa część wylądowała na jednej z moich najlepszych bluzek. Cholera! Dziewczyna przede mną wpatrywała się w moją bluzkę przerażonym wzrokiem.

Dokładnie w tym momencie usłyszałam:

— Dżoaaana?

Znów zrobiłam gwałtowny półobrót, poczułam, że tracę równowagę, i z impetem grzmotnęłam łepetyną o kant blatu. I nastąpiła ciemność.



Wykład. Wywody niskiego profesorka na temat różnic pomiędzy analizą fundamentalną a techniczną mocno mnie drażniły i nie pozwalały się skupić na znacznie ważniejszych sprawach, a mianowicie na rozpamiętywaniu wczorajszego

wieczoru, dlatego zainstalowałam w uszach słuchawki, zapuściłam Lanę Del Rey i pograżyłam się we własnych myślach.

Ostatni raz zdarzyło mi się stracić przytomność, a właściwie zemdleć kilka lat temu, kiedy byłam świadkiem poważnego wypadku drogowego i widziałam, jak wyciągano ofiary ze zmasakrowanego samochodu. Widocznie wczorajszy upadek i emocje w kuchni musiały mieć podobne natężenie, bo inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Kiedy się ocknęłam, ujrzałam nad sobą trzy zatroskane twarze. Pierwsza myśl: jestem w niebie. Moje ukochane przyjaciółki, do tego nieziemsko przystojny facet patrzący na mnie z prawdziwym przejęciem — czego chcesz więcej? Leżałam więc na prowizorycznej kanapie zrobionej ze zsuniętych razem krzeseł i uśmiechałam się zadowolona.

— Chyba nic jej nie jest.

— Dość mocno uderzyła się w głowę, może na wszelki wypadek zadzwonić po pogotowie?

— Czekaj chwilę, może coś powie. Aśka, żyjesz?

Uśmiechnęłam się szerzej. Jak oni się o mnie martwią!

— Małpo, przestań się szczerzyć! Powiedz coś! — Karolina sprowadziła mnie na ziemię.

— Chyba żyję — mruknęłam. — Będę wstawać.

Przyjaciółki podtrzymały mnie i pomogły wrócić do pionu. Zakręciło mi się w głowie, z tyłu poczułam pulsujący ból. Poza tym, zdaje się, że byłam cała. Michał podał mi zawinięty w ściereczkę lód.

Jasność myślenia wróciła i wraz z nią pojawił się okropny wstyd. Chciałam się zapaść pod ziemię. Siedzę w poplamionej bluzce, nie wiadomo co w ogóle robiłam w kuchni i na dodatek spektakularnie tracę przytomność. A mieliśmy się spotkać mimochodem i zamierzałam zrobić świetne wrażenie. Jak to jest, że im bardziej człowiekowi na czymś zależy, tym bardziej się to musi spieprzyć? Na tym chyba polegają prawa Murphy'ego. No tak: „Jeżeli coś może się nie udać, to się nie uda”. Szlag by to trafił!

— Jak dobrze, że nic ci się nie stało. Niczym się nie martw, twoje koleżanki już mi wszystko wyjaśniły.

Co one mu powiedziały?! Nieważne, później je przepytam.

— Panie pozwolą, poczęstunek na koszt restauracji.

To był prawdziwy dżentelmen. Zaprowadził nas do najwygodniejszego stolika w najbardziej zacisznym miejscu, zamówił chyba połowę pozycji z menu i zabawiał nas do końca wieczoru, tak że prawie udało mi się zapomnieć o niefortunnym początku. A najbardziej urzekło mnie to, że doskonale pamiętał nasze wakacyjne spotkanie. Mówił, że gdy tylko się pożegnaliśmy, natychmiast zaczął żałować, że nie powiedział mi prawdy o tym, kim jest, i nie poprosił

o numer telefonu. Ponieważ nie wiedział o mnie prawie nic i szanse, że kiedyś mnie znajdzie, były bliskie zera, próbował zapomnieć, ale mimo to ciągle wracał myślami do tamtego wieczoru. Patrzył mi w oczy, mówił, jak się cieszy, że mnie widzi, i że jestem jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał. Dziewczyny słuchały oniemiałe, a ja byłam coraz bardziej rozanielona. Tak właśnie ten wieczór miał wyglądać! I idealny finisz — zaprosił mnie na randkę. Pojutrze.



Galeria Krakowska, poziom zero, godzina dziesiąta trzydzieści cztery. Znalazłam się tu dziś dzięki niezwyklej hojności mojego szefa, który dwa dni temu wreszcie zasilił moje konto i zgodził się dać mi wolny dzień, oraz dzięki niezrównanej sile przekonywania Karoliny, która twierdziła, że stare dzinsy i rozciągnięty czarny golf zdecydowanie nie nadają się na randkowanie z takim facetem, i musiałam przyznać jej rację.

Szłyśmy z Karoliną wzdłuż wystaw, nie spiesząc się, podziwiając i komentując jesienne kolekcje. Agata odmówiła towarzyszenia nam podczas zakupów, bo, jak sama to określiła, przeżywała renesans wiary w swoje twórcze możliwości i koniecznie dziś musiała zacząć malować nowe dzieło zatytułowane *Mroczna impresja*. Dość dziwnie... W każdym razie nieważne, poszłyśmy bez niej. Od czasu do czasu którejś z nas wyrывało się leciutkie westchnienie, gdy zobaczyłyśmy coś szczególnie ładnego, a co stan naszych funduszy od razu wykluczało. Aż do momentu, kiedy znalazłyśmy się przed witryną, nad którą rzucał się w oczy napis „Zara”.

Z wystawy spoglądał na mnie, uśmiechając się zachęcająco, odziany w przepiękny płaszcz manekin. Naprawdę zachęcająco i bynajmniej nie tak, jak uśmiecha się moja mama, gdy zachęca do zjedzenia zupy pomidorowej. Również się uśmiechnęłam, po czym spojrzałam na cenę i mój uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił. Cena była zabójcza. Wyobraziłam sobie siebie ubraną w tenże płaszcz i spacerującą po Manhattanie. „Nie — powiedziałam sobie — nie stać cię na to”. Manekin uśmiechnął się jakby szerzej. Miałam wrażenie, że zaraz zejdzie z podwyższenia, złapie mnie za rękę i pociągnie do przymierzalni. Karolina przyglądała mi się z zainteresowaniem, chyba obstawiała w myślach, czy wejdę do tego sklepu, czy nie. No oczywiście, że wejdę. Muszę przynajmniej przymierzyć to cudo.

Znalazłam swój rozmiar, narzuciłam płaszcz na ramiona i stanęłam przed lustrem. Leżał idealnie. Odpowiedniej długości, w modnym w tym sezonie kolorze, przylegał tam, gdzie powinien, marszczył się i zwisał tam, gdzie trzeba, sprawiał, że czułam się elegancko, kobieco i modnie. Oświeciło mnie. Dokładnie taki płaszcz miała na sobie Emma Watson jakiś czas temu w odsłonie jesienno-zimowej

kampanii Burberry. Pamiętam, że nie mogłyśmy z Agatą oderwać wzroku od tych zdjęć, a ich autorem był bodajże sam Mario -Testino. Palicho cenę, biorę go.

Po dwóch kolejnych godzinach spacerowania po trzech poziomach galerii udało mi się zaopatrzyć w nowe spodnie, śliczny kremowy sweterek, botki na niewysokim obcasie i kilka kompletów seksownej bielizny. No bo jak niby mam paradować w nowych cudownych ciuszkach, być słodka i uwodzicielska, mając świadomość, że pod spodem noszę sprane majtki z szatańskim kotkiem z *Hello Kitty*? Kiedy na ostatnim już stoisku wpadła mi w oko piękna popielata bluzka, chyba jedwabna, i podeszłam z nią do kasy, moja karta cichutko zaprotestowała, informując mnie, że niestety, ale na koncie brak środków. No tak, można się było tego spodziewać. W końcu jestem biedną studentką, wciąż wspieraną finansowo przez rodziców, a oszczędności na czarną godzinę nie chciałam ruszać. Dzisiejsze zakupy, jeśli chodzi o ilość wydanych pieniędzy, przebiły nawet ostatnie Boże Narodzenie. Z ciężkim sercem odwiesiłam bluzkę na miejsce i już miałam wyjść ze sklepu, kiedy Karolina wcisnęła mi do ręki sześćdziesiąt złotych, dokładnie tyle, ile mi brakowało.

— Masz — powiedziała. — Potraktuj to jako prezent na urodziny. Ta bluzka jest tego warta.

— Dzięki, jesteś kochana! — Cmoknęłam ją w policzek, zaskoczona i ucieszona, bo bluzka naprawdę była boska. Wyobraziłam sobie, jak siedzę z Michałem w drogiej restauracji, albo nawet w „New York -Dream”, w tej właśnie bluzce, a on nie może oderwać ode mnie wzroku...



Wykorzystałam wreszcie kartę promocyjną, prezent od mamy, zapewniającą mi darmową wizytę u fryzjera oraz manicure i pedicure. Trzymałam ją od kilku miesięcy w portfelu, czekając, aż nadarzy się jakaś szczególna okazja. Bardziej szczególnej okazji nie mogłam sobie wyobrazić.

Wracając do mieszkania, przejrzałam się w jednej z witryn sklepowych. Po prostu przepięknie. Loki lśniły i wreszcie układały się tak, jak powinny, do tego lekki makijaż podkreślający głębię spojrzenia, zafundowany przez miłą panią kosmetyczkę. Wyszczrzyłam się do swojego odbicia, a ono natychmiast odwzajemniło uśmiech, wyrażając aprobatę. „Piękna z ciebie kobieta” — powiedziałam sobie. „Młoda, miła, piękna i inteligentna. I światowa. Kiedyś, gdy skończysz te okropne studia i już zapomnisz o cyferkach i wykresach, zrobisz międzynarodową karierę jako aktorka, a kobiety z całego świata będą usychać z zazdrości, patrząc na twojego mężczyznę”. Odwróciłam się na pięcie z gracją kobiety światowej i...

— Przepraszam pana najmocniej! Nic się panu nie stało? Zaraz panu pomogę

— paplałam, zbierając swoje torby z zakupami. Może jednak nie poruszam się z taką gracją jak modelki na wybiegu, ale cóż, jestem pewna, że one też nie od razu potrafiły chodzić w szpilkach.

Odwróciłam się, chcąc pomóc wstać mężczyźnie wciąż siedzącemu na ziemi i oszołomionemu zderzeniem. Święty Michale Archaniele, czemu nie uchroniłeś mnie przed tym nieszczęściem?! Czemu takie rzeczy muszą się przytrafiać właśnie mnie? Czemu, jeśli już koniecznie muszę na kogoś wpadać, nie może to być miły pan w średnim wieku, który w takim wypadku powiedziałby: „Nie szkodzi, nic się nie stało” i poszedłby spokojnie w swoją stronę, tylko to musi być akurat on?!

Z ziemi pomału zbierał się Alex. Wyglądał jak kupa nieszczęścia. Jak takie biedne, zakompleksione stworzenie... Dokładnie tak, jak w moim idealnym scenariuszu. W takim razie dlaczego zrobiło mi się go żal? Nie! „Nie może ci być żal, pamiętaj, co ten gnojek ci zrobił!” Przyglądałam spódnicy, poprawiłam włosy i przypomniawszy sobie, że przecież jestem kobietą światową, spojrzałam na niego z góry, rzuciłam:

— Cześć — i, tym razem już naprawdę z gracją, znowu się odwróciłam i zaczęłam iść w przeciwną stronę.

— Asia.

Zatrzymałam się. „Nie odwracaj się. Przecież on cię zdradził, do jasnej cholery!”

— Asia, chciałbym z tobą porozmawiać.

Odwróciłam się.

— Nie mamy o czym rozmawiać. — Nie ma mowy, nie okażę mu ani odrobiny litości.

— Wiem, że jesteś na mnie wściekła, i masz do tego pełne prawo. Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała. Proszę, daj się zaprosić na kawę i wyjaśnić kilka rzeczy.

— Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Przepraszam, ale się spieszę. — Chciałam odejść, ale zagroził mi drogę.

— Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale zablokowałeś mój numer. Kilka razy byłem u ciebie, ale trudno cię ostatnio zastać w mieszkaniu, a twoje koleżanki za każdym razem próbowały poderżnąć mi gardło. Asia, to dla mnie bardzo ważne.

Dziwne, dziewczyny nic mi nie mówiły, że Alex chciał mnie widzieć. Pewnie wołały mi oszczędzić nerwów, kochane.

— Kończ waść, wstydu oszczędź, bo zaczyna to przypominać kabaret. Z nami koniec i nic tego nie zmieni. Żegnam.

— Wiem, że na to nie zasługuję, ale poświęć mi dziesięć minut. Później, obiecuję, dam ci spokój i więcej mnie nie zobaczysz. Proszę.

O nie, nie dam się nabrać. Doskonale znam tę minę. Zawsze taką robił, gdy chciał coś ode mnie wysępić. Moment... on naprawdę ma łzy w oczach? Pewnie

udaje. Masz być twarda. Przecież on nie potrafi udawać. Cholera, zaraz sama się rozplącę.

— OK, dziesięć minut i ani sekundy dłużej. Chodźmy do „Słodkiego Kącika”.

Zła na siebie, że w kluczowym momencie nie potrafiłam wykazać się silną wolą, weszłam do kawiarni i kierowana przyzwyczajeniem, już miałam usiąść tam gdzie zwykle, przy stoliku pod oknem. Na szczęście się pohamowałam i zajęłam stolik na końcu sali. Alex jak zawsze zamówił sobie espresso, a dla mnie cappuccino z pianką.

— Asia, wysłuchaj mnie do końca i mi nie przerywaj, dobrze? Później możesz dać mi w zęby, zmieszać mnie z błotem, co tylko chcesz. Ale posłuchaj.

Skinęłam, że się zgadzam. Trudno, niech stracę, posłucham go te dziesięć minut. I ani sekundy dłużej. Wypiłam łyk kawy.

— Pamiętasz, jak się poznaliśmy? To było u Adama, zaprosił wtedy chyba połowę ludzi z liceum. Miałaś na sobie taką śliczną niebieską sukienkę i włosy jeszcze dłuższe niż teraz, prawie do pasa. Od razu cię zauważyłem i pomyślałem: „Przepiękna dziewczyna. Muszę ją poznać”. Nawiasem mówiąc, pięknie dzisiaj wyglądasz.

Zauważył! No proszę.

— Rozmawiałaś wtedy z Kaśką, to ona nas sobie przedstawiła. Poprosiłem cię do tańca, ale ty odmówiłaś. Nie zrezygnowałem, poprosiłem cię później jeszcze raz i tańczyliśmy dwa razy, leciało akurat *She's like the wind*. Nasza piosenka, pamiętasz?

Pewnie, że pamiętam. Na pierwszą randkę dałam mu się zaprosić dopiero dwa miesiące później, ale przez cały czas miałam w głowie wspomnienie tej piosenki.

— Asia, dzień, w którym cię poznałem, był najszczęśliwszym dniem w moim życiu. „W chwili, gdy poczujesz w sercu miłość i doświadczysz jej głębi, odkryjesz, że dla ciebie świat nie jest już taki sam, jaki był do tej pory”. Wiem, że znasz ten cytat.

Oczywiście, że znam, sama mu go podsunęłam na naszą pierwszą rocznicę. I miałam go zapisanego w notatniku — podsunęłam go też Mańkowi podczas toastu na imprezie jego brata. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że on go będzie pamiętał. To ja miałam pamięć do takich sentymentów, nie on. Cóż, miło z jego strony.

— A to pamiętasz? Twój pierwszy wiersz. Napisałaś go specjalnie dla mnie, gdy siedzieliśmy późnym wieczorem pod Wawelem, to było tuż przed moim wyjazdem na praktyki za granicę. Nie mogłaś się pogodzić z tym, że będziemy musieli rozstać się na jakiś czas, byłaś wtedy strasznie smutna.

Wyciągnął z portfela zmięty kawałek papieru, w który pakowane są ciastka

w cukierni. Rozprostował go i podsunął mi pod nos. Miejscami trudno było odczytać moje niezbyt wyraźne pismo:

Dla A.

*pulsuje rytmem cicha melodia
smutnym sennym brzemieniem
w wieczornym chłodzie wędną marzenia
odlatują w niebyt i wspomnienie
szeleszczą trącane zimnym wiatrem
pożółkłe liście spełnionych snów
na nagiej gałęzi otulony cieniem
czyha świat — wszelaki wróg
ciepłymi kroplami płyną nuty
schowane w dłoniach ciche dźwięki
srebrna mgła drży z tęsknoty
za znajomym szeptem pamięci
zabierz mnie tam gdzie nikt nas nie odnajdzie
okryj ciepłem swych myśli słów słodkich smakiem
chodź ze mną tam gdzie trwa niemijanie
gdzie zachwyty maluje się w chmurach jasnym światłem*

Czułam, że jeszcze moment i się rozkleję. Alex, mój twardziel, który okropnie wstydził się publicznego okazywania uczuć, też cały czas miał łzy w oczach i byłam pewna, że nie udawał.

— Asia, z całego serca przepraszam cię za to, co zrobiłem. Kiedy spotkałem Agnieszkę, nie wiem, co mnie podkusiło. Ona jest twoim całkowitym przeciwieństwem. Nie myślałem racjonalnie, wygłupiłem się. Cały czas myślę o tym, jak się zachowałem wtedy w restauracji i później. Jest mi okropnie przykro, że tak cię potraktowałem. Z Agnieszką koniec, to pusta lala i nie wiem, jak w ogóle mogłem na nią spojrzeć, mając u boku taką piękną i wartościową kobietę. Postąpiłem jak największy skurwiel. Czy jest jakaś szansa, żebyś mi wybaczyła?

Piękne przeprosiny, prawda? Jestem pod wrażeniem. Teraz powinnam powiedzieć, że tak, wspaniałomyślnie wybaczam, przytulilibyśmy się, Alex pocałowałby mnie i kupił mi wielki bukiet czerwonych róż, a później żylibyśmy sobie razem długo i szczęśliwie. Tylko że w życiu nie ma happy endów.

— Przykro mi, ale nie. Alex, między nami nigdy już nie będzie tak jak dawniej. Wiesz, że nawet gdybym ci wybaczyła, zawsze już będę pamiętać o tym, co zrobiłeś. W tej chwili nie potrafię być nawet twoją przyjaciółką.

Posmutniał jeszcze bardziej, ale w końcu czego on się spodziewał? Że po kilku miesiącach wróci, błagając o przebaczenie niczym syn marnotrawny, a ja go przyjmę z otwartymi ramionami? Fakt, wzruszyłam się wspomnianiem naszych wspólnych chwil, to było niezłe zagranie. Ale nie dam się. Karolina byłaby ze mnie

dumna. No i właściwie uświadomiłam sobie, że już nic do niego nie czuję. Żadnych motyli w brzuchu, żadnego drżenia, wyparowała nawet chęć, żeby mnie przytulił, o czym marzyłam jeszcze przez kilka tygodni po rozstaniu. Teraz wiedziałam, że to nie była tęsknota za nim, ale za przytulaniem samym w sobie — trudno tak nagle odzwyczaić się od czegoś, co kiedyś miało się na każde zawołanie.

Mówiłam dalej:

— I już pomijając tę historię z Agnieszką... Alex, my nie byliśmy razem szczęśliwi. Ja nie byłam szczęśliwa. Będąc z tobą, ciągle musiałam z czegoś rezygnować, a przecież nie na tym związek ma polegać. — Wyrzuciłam z siebie w końcu to, czego wcześniej, będąc z nim, otwarcie powiedzieć nigdy nie miałam odwagi, a co ciągle mnie męczyło.

Zdaje się, że wiedział, o co mi chodzi.

— OK, rozumiem. Ale mimo to chciałbym się z tobą od czasu do czasu spotkać i porozmawiać. Asia, ja cię potrzebuję. Jeśli nie jako dziewczyny, nie jako przyjaciółki, to chociaż jako zwykłej znajomej. Proszę.

— Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

— Asia, przez wzgląd na te wszystkie miłe chwile, które spędziliśmy razem, proszę, nie skreślaj mnie całkowicie ze swojego życia. Ja...

— Nie, już nawet nie chodzi o to, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Alex, ja zaczynam nowe życie. Poznałam innego mężczyznę. Nie jestem i już nigdy nie będę osobą, którą znałeś.

Włożyłam szalik, pozbierałam torby z nowymi ciuchami i wyszłam z kawiarni, zostawiając swojego eks w stanie całkowitego osłupienia. W sumie dobrze się stało, że na niego wpadłam i pogadaliśmy: teraz mogę uznać ten rozdział za definitywnie zamknięty.



Godzina osiemnasta pięćdziesiąt siedem. Biegam po mieszkaniu w nowym sweterku i botkach, Agata podaje mi kolejne komplety biżuterii, a Karolina wygląda przez okno częściowo ukryta za firanką. Nerwy? Trochę. Ale bardziej podniecenie... i chyba wreszcie szczęście! O, domofon. Jaki punktualny!

Obie życzyły mi powodzenia i kazały zwracać uwagę na każdy najdrobniejszy szczegół, żebym później w swojej relacji niczego nie pominęła. Narzuciłam na ramiona nowy płaszcz i zesłam na dół.

Michał czekał przed blokiem oparty o czarny samochód. Prezentował się jak zwykle perfekcyjnie; dziś miał na sobie džinsy i czarną marynarkę. Uśmiechnęłam się na powitanie, a on jak dżentelmen starej daty pocałował moją dłoń i powiedział, co należało:

— Boże, Joanno, jak ja za tobą tęskniłem. Wyglądasz cudownie.

— Dziękuję — odpowiedziałam i zarumieniłam się niczym skromna panienka.

— Ponieważ mamy wyjątkowo ciepły październik, proponuję spacer. Mam nadzieję, że ci to odpowiada.

Oczywiście, że odpowiadało. Na razie Michał otworzył i przytrzymał mi drzwi czarnego... mniejsza z tym, jaka to marka. Ale samochód z dużym prawdopodobieństwem był wart więcej niż dom moich rodziców — jeszcze nie widziałam tak luksusowego wyposażenia. Przed oczami stanął mi psujący się żółtek Agaty i musiałam stłumić chichot. Pojechaliśmy w okolice rynku. Tam Michał zaparkował, wysiedliśmy i powoli ruszyliśmy przed siebie.

Znów byłam pod wrażeniem, jak swobodnie mi się z nim rozmawiało. Było dokładnie tak jak w Chorwacji — zabawnie, przyjemnie, a przy tym z nutką flirtu. Na razie rozmawialiśmy głównie o mnie, Michał pytał prawie o wszystko, oczywiście w granicach dobrego wychowania. Ja natomiast chętnie odpowiadałam, starając się unikać koloryzowania, jak to miałam w swojej naturze. Tym razem chciałam być szczerą. Opowiedziałam mu o swoich studiach, pracy w restauracji, przyjaciółkach, nakreśliłam mu pobieżnie obraz mojej rodziny. Zależało mi na tym, aby poznał mnie taką, jaka jestem naprawdę, bez żadnego udawania — jeśli właśnie taka mu się spodoba, to będzie szczyt szczęścia. Jak na razie wszystko przebiegało idealnie; niczym się nie wystraszył ani nie wyglądał na zniechęconego. A nawet wręcz przeciwnie, zdaje się, że dobrze się bawił, bo oboje straciliśmy poczucie czasu. Dopiero zmarznięte dłonie i burczenie w żołądkach przypomniały nam, że jest już dość późno i najwyższy czas na kolację.



Druga randka, trzecia randka... Karolina, widząc, jak się szczerzę, stwierdziła, że zakochanie i choroba psychiczna to właściwie jedno i to samo. Ale co ja poradzę — każdy wieczór z Michałem był po prostu idealny. Tak starannie wybierał miejsca, dbał, bym dobrze się bawiła, raz nawet powitał mnie z ogromnym bukietem... Wyglądało na to, że moje niby nierealne marzenie o księciu zaczęło się spełniać. Jak się nie cieszyć?

Podczas kolejnego spotkania, już po obejrzeniu genialnego przeglądu kabaretów, Michał zaproponował, żebyśmy tym razem zjedli kolację u niego. Lekko wzdrygnęłam się na to „sam na sam”, bo zaraz dodał:

— Oczywiście, później dopilnuję, żebyś bezpiecznie wróciła do domu.

Po chwili namysłu stwierdziłam, że kolacja u niego to w sumie niezły pomysł — byłam ciekawa, gdzie i jak mieszka, i oczywiście chciałam go jak najlepiej poznać, a przecież nie od dzisiaj wiadomo, że mieszkanie wiele mówi o człowieku.

Podczas jazdy przyglądałam się ciekawie przeróżnym gadżetom i tak się skupiałam na przeżywaniu najszcześniejszych chwil w życiu, że nawet nie zwróciłam szczególnej uwagi na to, dokąd jedziemy. Zdaje się, że minęliśmy dzielnicę Krowodrza, ale głowy nie dam sobie uciąć. Dziewczyny mnie zamordują.

Celem naszej podróży okazał się nowo wybudowany, duży, ekskluzywny apartamentowiec. Widziałam oferty mieszkań sprzed roku i słabo mi się zrobiło, gdy pomyślałam o ich cenach. Kurczę, ten facet musiał być naprawdę nadziany. Teraz właśnie otwierał przede mną drzwi i gestem zapraszał mnie do windy z ogromnym lustrem w srebrnej ramie. Poczułam się trochę nieswojo. Jak się powinnam zachowywać w tym całym luksusie? Udawać, że nie robi na mnie wrażenia, czy zachwycać się wszystkim dookoła? Czyżby nadchodziła panika?! Może powinnam uciekać, póki mogę?!

Niestety albo na szczęście na ucieczkę zabrakło mi czasu, bo drzwi windy się otworzyły i moim oczom ukazał się urządzony w sposób modernistyczno-minimalistyczny hol prywatnego apartamentu. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to szklany stół ozdobiony gigantycznym bukietem kwiatów, białe skórzane fotele sprawiające wrażenie zupełnie nieużywanych i abstrakcyjne czarno-białe grafiki w antyramach. Coś miękkiego i futrzanego otarło się o moje nogi. Spojrzałam w dół. Piękny rudy kot rasy maine coon przyglądał mi się z zainteresowaniem.

Michał podrapał kota za uchem.

— To Winston, najbardziej upierdliwy kot w całym Krakowie. Ale lubię tego gada, ty też go na pewno polubisz.

Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości, kot wydawał się bardzo sympatyczny. Czy ja już gdzieś wspominałam, że to moja ulubiona rasa? Moje obawy jakby się zmniejszyły, w końcu „Człowiek jest cywilizowany na tyle, na ile potrafi zrozumieć kota”³.

— Wejdz, na pewno jesteś głodna. Zjemy kolację, a później pokażę ci mieszkanie.

Zaprowadził mnie do salonu. Poczułam się jak w pałacu Królowej Śniegu — prawie wszystko było tutaj śnieżnobiałe. Ściany, wersalka wyłożona pluszowymi poduchami, lampy, stół, krzesła, dywanik. Aż strach czegokolwiek dotknąć, żeby nie pobrudzić. Na tle tej bieli wyraźnie odcinał się wielki czarny telewizor oraz rośliny przypominające palmy.

Michał odsunął mi krzesło i usiadłam przy stole już nakrytym do kolacji. Talerze i serwetki oczywiście były białe, świeczki również. Mój mężczyzna zniknął gdzieś na kilka minut, podczas których miałam okazję lepiej się wszystkiemu przyjrzeć, po czym wrócił z parującym półmiskiem i butelką czerwonego wina. Z przyzwyczajenia zerknęłam na etykietkę — chianti.

— To indyk z grzybami w śmietanie, jedno z niewielu dań, jakie potrafię

samodzielnie przyrządzić. — Wskazał na półmisek. — Często się, mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

— Dziękuję, nie wiem, co powiedzieć... To wszystko jest takie niesamowite i nowe dla mnie. W ogóle dziękuję za zaproszenie... — zaczęłam się jąkać.

— Nie gadaj głupot i nie dziękuj, bo nie masz za co. To dla mnie przyjemność gościć cię tutaj. Nawet nie wiesz, jak dobrze jest mieć cię w końcu przy sobie — powiedział Michał, z wprawą rozlewając wino do kieliszków, a ja się zarumieniłam. Dla tylu komplementów warto było iść do fryzjera i kosmetyczki.

— Za nas — wzniosł toast.

Stuknęliśmy się kieliszkami, upiliśmy po łyku wina i zabraliśmy się do jedzenia. Było przepyszne, czego nie omieszkałam powiedzieć. Ten facet to po prostu ideał.

— A teraz opowiadaj — zaproponowałam. — Wiesz już o mnie całkiem sporo, teraz twoja kolej.

— Jak sobie pani życzy. Od czego mam zacząć?

— Może od tego, skąd jesteś. Jakoś nie do końca pasujesz mi do Krakowa. I skąd pomyśl na „New York -Dream”? — zadałam wreszcie najbardziej nurtujące mnie pytania.

— Masz rację, nie jestem stąd. Mój ojciec jest Amerykaninem, mama była z Krakowa. Ich historia to prawdziwa *love story*, myślę, że będziesz miała okazję ich poznać, a wtedy na pewno cię nią uraczą. Po ślubie oboje przenieśli się do Nowego Jorku. Mój ojciec zaczynał wtedy obiecującą karierę jako prawnik i doradca finansowy i nie zamierzał z niej zrezygnować. Mama jednak zawsze tęskniła za Polską, a szczególnie za Krakowem. Tutaj miała rodzinę i przyjaciół, trudno więc się temu dziwić. Starła się w miarę możliwości wracać tutaj często, a kiedy ja się urodziłem, zabierała mnie ze sobą. Chciała, żebym pokochał Polskę równie mocno jak ona, a jeśli nie, to przynajmniej poznał swoją drugą ojczyznę. — Przerwał na chwilę. — A ja faktycznie polubiłem to miejsce. Im byłem starszy, tym bardziej narastało we mnie uczucie, że coś będę musiał wybrać. Uczyłem się w Stanach, ale prawie każde wakacje spędzałem w Polsce u krewnych. W końcu, ku rozczarowaniu ojca, powiedziałem, że zostaję w Krakowie.

— Co takiego szczególnego jest w tym mieście, że okazało się dla ciebie ważniejsze niż Nowy Jork? Ludzie tutaj marzą raczej o tym, żeby wyjechać.

— Szczerze? Sam nie wiem. Może atmosfera, mili ludzie, których poznałem. Chyba też zgiełk i anonimowość wielkiego miasta, jakim jest Nowy Jork, na co dzień zaczęły mnie męczyć. A może po prostu serce tak mnie poprowadziło.

Coś mi mówiło, że to nie wszystko.

— Ktoś był w Nowym Jorku, mam rację? — zapytałam najdelikatniej, jak potrafiłam.

— Widzę, że przed tobą nic się nie ukryje. Tak, była dziewczyna. Ale to już

skończone i, jeśli pozwolisz, to nie chcę do tego wracać — odpowiedział Michał. — Co do pytania o „New York Dream”, to nie mogłem sprowadzić Nowego Jorku do Krakowa, ale mogłem stworzyć tutaj swój mały świat. Coś mi mówiło, że ta restauracja to będzie strzał w dziesiątkę. Ludzie lubią nowości, oryginalność, lubią luksus i lubią czuć się jak gwiazdy, nawet jeśli im do nich daleko. Postanowiłem, że im to dam i zrobię z tego swój sposób na życie. Przekonałem rodziców do tego pomysłu, przedstawiłem im gotowy plan, a oni zgodzili się wesprzeć mnie finansowo. Nie było łatwo, wcześniej pracowałem trochę jako architekt, ale o gastronomii nie miałem za dużego pojęcia. Tym bardziej się cieszę, że wszystko się udało i nie zawiodłem rodziców — dokończył z uśmiechem.

— Że się udało, to mało powiedziane. To prawdziwy sukces, nie wyobrażasz sobie, jakie wrażenie zrobiło to miejsce na mnie i moich przyjaciółkach! — powiedziała, a Michał, jak każdy facet, przyjął pochwały z dumą. — Zaraz... jeszcze jedna rzecz mi nie pasuje. Skąd masz polskie nazwisko? Nie wmówisz mi chyba, że „Zieliński” brzmi jak zza Atlantyku.

— To panińskie nazwisko mojej matki. Używam go tu w Polsce, bo tak po prostu jest łatwiej i wygodniej, niż za każdym razem tłumaczyć ludziom, skąd jestem — wyjaśnił.

— No proszę! Czyli dalej nie wiem, jak się nazywasz — stwierdziłam.

— Michael Simmons, do usług. — Ukłonił się i pocałował mnie w rękę.

Skończyliśmy jeść i zaoferowałam, że pomogę sprzątnąć naczynia. Taka wymówka, żeby obejrzeć resztę mieszkania, bo muszę przyznać, że ta nowoczesność zaczęła mnie jakby fascynować. Wzięłam więc talerze i poszłam za Michałem do kuchni.

Gdy tylko przekroczyłam jej próg, stwierdziłam, że moja mama byłaby zachwycona. Nowoczesne sprzęty, naczynia przeróżnych wielkości i kształtów, wszystko rozmieszczone i poustawiane tak, by zapewnić maksymalną wygodę gotującemu. Jednak największe wrażenie robiła ściana na prawo od wejścia — od dołu do samej góry zajęta była przez butelki z winem, poustawiane według rodzaju i rocznika na specjalnie przystosowanych do tego drewnianych półkach.

— Które teraz pani sobie życzy? — zapytał Michał.

— Hmm... ty wybierz. — Ja nie byłam w stanie tego zrobić, wybór był zbyt duży.

Michał otworzył więc kolejną butelkę i napełnił kieliszki. Znacie pewnie ten stan, kiedy każde wypowiedziane słowo wydaje się okropnie śmieszne i człowiek po prostu nie może się powstrzymać. W każdym razie dobre wino właśnie tak działa, przynajmniej na mnie. A już na pewno w większych ilościach. Przeszło mi przez myśl, że moja konsumpcja wina w ostatnich czasach musi się już zbliżać do pewnej alarmującej granicy, ale szybko wypchnęłam tę myśl ze swojego umysłu. Bawmy się!

Przenieśliśmy się z powrotem do pokoju, gdzie Michał włączył muzykę, i zaśmiewaliśmy się do łez, wspominając najgłupsze pomysły z dzieciństwa i najbardziej żenujące wpadki. W tym akurat byłam mistrzem. Boże, jak ja się świetnie bawiłam i czułam przy tym facecie! To był jeden z najbardziej udanych wieczorów w moim życiu. Po raz kolejny zadawałam sobie pytanie: czyżby marzenia naprawdę się spełniały? Aż trudno w to uwierzyć.

I nagle mnie pocałował. Tak po prostu wsunął rękę w moje loki, przyciągnął lekko do siebie i pocałował. Najpierw delikatnie. Ziemia pode mną zawirowała, a w brzuchu zatańczyły tysiące motyli. Później mocniej. Jeszcze trochę i uniosę się nad ziemię. Ale Michał na tym poprzestał, odsunął się i odgarnął mi kosmyk opadający na czoło.

— Jesteś niesamowita — powiedział, patrząc mi w oczy.

„Ty też jesteś niesamowity” — dodałam w myślach. Po czym mój wzrok padł na stojący na jednej z półek zegarek elektroniczny. Wskazywał godzinę pierwszą trzydzieści dwie. Spędziliśmy razem ponad sześć godzin?! Niemożliwe!

Zerwałam się na równe nogi. I lekko zachwiałam, ale na szczęście udało mi się utrzymać równowagę.

— Wiesz, która jest godzina?! — prawie krzyknęłam. — Już od dawna powinnam być w domu, dziewczyny pewnie wychodzą z siebie.

— Owszem, zrobiło się późno. Ale sama przyznaj, że nieźle ten czas spędziliśmy. — Zamyślił się. — Co powiesz na jeszcze jeden kieliszek?

Zmusiłam mój zamroczony alkoholem umysł do myślenia. Jutro jest sobota, nigdzie mi się nie spieszy. Jestem wstawiona... nawet bardzo. Czy kolejnym kieliszkiem nie przedobrzę i nie narobię po nim żadnych głupot? Kurczę, jestem studentką, na litość boską — studenci raczej nie zaprzatają sobie głowy takimi sprawami, a ja myślę jak własna babcia. A może... Michał ma nadzieję na coś więcej i liczy, że wino nieco poluzuje moje zasady? A figę! Nie pójdę z facetem do łóżka po zaledwie kilku randkach, choćby był nie wiem jak czarujący. Zresztą to dżentelmen. A gdyby tak faktycznie nagiąć zasady? Coś mi się miesza... nie ma sensu myśleć, w tym stanie myślenie tylko szkodzi.

— Zgoda — powiedziałam więc. — Jeszcze jeden.

— W takim razie zaczekaj momencik.

Michał poszedł do kuchni, a ja oparłam głowę o zagłówek kanapy i wsłuchałam się w muzykę. Zrobiło mi się jakoś tak błogo i powieki zaczęły opadać...

Ja latam! Ktoś mnie niesie? Schody, piętro, wąski korytarz. Jakiś pokój.

— Mam nadzieję, że będzie ci tutaj wygodnie — usłyszałam jak przez mgłę i poczułam, że Michał pocałował mnie delikatnie w czoło. — Dobranoc, moja księżniczko.



Cieężko mi... nie mogę oddychać... Co jest? Otworzyłam oczy. Aha, to Winston. Kocur siedział mi na brzuchu i bawił się moimi włosami. Musiałam się wczoraj nieźle upić i zasnąć. Ale wstyd! Chyba do niczego między nami nie doszło, to na pewno bym pamiętała. Podrapałam kota za uszami i rozejrzałam się po pokoju. Przez szparę w zasłonach wpadały promienie słońca, odbijały się od kryształowych świeczników i tworzyły na suficie niesamowitą grę światła. Na stoliku przy łóżku znalazłam zegarek — było już pięć po dziesiątej! Wygramoliłam się spod koldry, narzuciłam na ramiona mięciutki biały szlafrok i wsunęłam stopy w białe kapcie, które znalazłam tuż przy łóżku. Jestem chyba w pokoju gościnnym. Pomieszczenie było całkowitym przeciwieństwem salonu. Zdecydowanie mniejsze, pomalowane na ciepłutki kremowy kolor i wyposażone w eleganckie drewniane meble było bardzo przytulne. Centralne miejsce zajmowało łóżko z baldachimem i całą masą poduszek. Na lewo od wejścia znajdowały się rozsuwane drzwi do garderoby, a dalej — drzwi do prywatnej łazienki. Moje zmęczone i piekące oczy zdążyły zarejestrować jeszcze prześliczne witrażowe lampy, pewnie oryginalny Tiffany, i fakt, że w mojej skrzynce czekało sześć nieprzeczytanych wiadomości. Później się tym zajmę... Teraz wyruszyłam na zwiedzanie dalszej części mieszkania i poszukiwanie Michała.

W pokoju naprzeciwko drzwi były uchylone, więc zajrzałam do środka i od razu nabrałam przekonania, że to musi być jego sypialnia. Wszystko utrzymane było w tonacji biało-czarnej. Łóżko, telewizor, laptop, sprzęt grający oraz coś na wzór nieźle wyposażonej siłowni pod przeciwległą ścianą. Jednak Michała tutaj nie było. Wycofałam się po cichutku i zesłam schodami w dół, do salonu. Po wczorajszym wieczorze wszystko zostało sprzątnięte, a białe sprzęty lśniły w dziennym świetle, aż musiałam zmrużyć oczy. Na lewo od wejścia, o ile dobrze zapamiętałam, znajdowała się kuchnia, a dochodzące stamtąd odgłosy wskazywały na to, że ktoś w niej był.

Weszłam do kuchni, gdzie ku swojemu zaskoczeniu natknęłam się na okrągłą kobietę w średnim wieku, z zapałem szorującą talerze. Na mój widok uśmiechnęła się od ucha do ucha, co sprawiło, że jej twarz zaczęła przypominać księżyc w pełni, taki jak w bajkach dla dzieci.

— Witaj, dziecinko! Joanna, tak? Wypałaś się? Michaś bez przerwy o tobie mówił. Siadaj tu, zaraz dostaniesz grzanki z dżemem, lubisz? Kawa też zaraz będzie. — Zarzuciła mnie potokiem słów, a ja nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Wgramoliłam się więc posłusznie na wysokie barowe krzesło i usiadłam przy blacie.

— Oj, przepraszam cię, nie przedstawiłam się, jestem Marta. Wpadam tu

dwa, trzy razy w tygodniu, sprzątam, czasem coś ugotuję. Dobrze mu zrobi, jak od czasu do czasu skosztuje swojskich, domowych obiadów. Indyk ci smakował? — zapytała, stawiając przede mną talerz ze śniadaniem.

— Dziękuję. Indyk był przepyszny. — Michał nic nie wspominał o milej pani, która dla niego gotuje...

Marta, widząc moją minę, roześmiała się.

— Pewnie ci skurczybyk powiedział, że sam ugotował, tak?

Skinęłam głową.

— No to już wiesz, że lubi się chwalić. Co jak co, ale gotowanie nie jest jego mocną stroną. Cud, że w tej jego restauracji wszystko jest jadalne. Kolację to ja wczoraj wstawiłam gotową do piekarnika. Tylko mu nie wspominaj, że ci powiedziałam. Niech sobie myśli, że jest taki przebiegły. — Puściła do mnie oko i obie się -zaśmiałyśmy.

Już ją polubiłam. Przypominała mi sympatyczną ciocię, która kojarzy się z pysznym ciastem z rodzynekami, bajkami na dobranoc i godzinami spędzonymi wspólnie na placu zabaw.

— Wie pani może, gdzie jest Michał? — zapytałam między jednym a drugim kęsem grzanki.

— Po pierwsze, nie pani, tylko Marta, a po drugie, nie mam pojęcia, gdzie on poleciał. Wyszedł jakieś piętnaście minut temu i powiedział, że wróci najpóźniej za godzinę. Możliwe, że pojechał po coś do restauracji. Jeszcze kawy?

— Wystarczy, dziękuję. — Wstałam. — Może w takim razie pójde się trochę ogarnąć, zanim wróci...

— Idź, dziecko, i ubierz się ciepło, bo okropnie dzisiaj zimno. Mamy już jesień jak się patrzy — powiedziała i wróciła do szorowania.

Dzięki Bogu, że w torebce bez dna noszę zwykle podstawowe akcesoria i kosmetyki do makijażu. I dzięki temu, kto wymyślił malutkie próbki mieszczące się w kosmetyczce. Nie chciałabym, aby Michał już teraz widział mnie nieogarniętą, rozczochraną i śmierdzącą alkoholem.

Po dwudziestu minutach wyszłam z łazienki nieco odświeżona, z delikatnym makijażem w odcieniach brązu i złota. I zaraz za drzwiami natknęłam się na swojego mężczyznę.

— Ślicznie wyglądasz, Joanno. Jak się spało? — zapytał, przyciągając mnie do siebie. Ciekawe, jakich on używa perfum, genialny zapach.

— Bardzo dobrze, dziękuję. I przepraszam, nie wiem, jak to możliwe, że zasnęłam...

— Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak słodko wyglądasz, kiedy śpisz.

Zarumieniłam się i zmieniłam temat.

— Zdażyłam poznać twoją gosposię, kiedy cię nie było.

— I jak ci się spodobała?

— Przemiała osoba, do tego niesamowicie gotuje — zaśmiałam się. —
A teraz byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś odwiózł mnie do domu.

— Już się robi.



Tak jak się spodziewałam, najpierw dostałam solidny opieprz. Że znikam, nie dzwonię, przepadam, nie odpisuję na SMS-y, a współlokatorki się martwią i nie mogą spać. Później zostałam zmuszona do złożenia stosownych wyjaśnień, czemu nie wróciłam na noc, i zapewniania, że poza pocałunkiem oczywiście do niczego między nami nie doszło. Następnie zostałam zbombardowana milionami pytań, na które starałam się odpowiedzieć jak najbardziej wyczerpująco. Moje zeznania przerywane były całymi salwami ochów i achów, a także innymi okrzykami typu „Żartujesz?!”, „Niemożliwe!”, „Naprawdę?!”. Mnie samej ciężko było uwierzyć w to, co opowiadam, nawet chwilami się zastanawiałam, czy mój skacowany umysł nie płata mi jakichś figli.

— Podsumowując: mieszkanie ma ogromne i nowoczesne, gosposię do sprzątania i gotowania, drogi samochód, bardzo dobrze prosperującą restaurację, zachowuje się jak dżentelmen, wygląda bosko, jest inteligentny, zabawny i świetnie całuje — zakończyłam.

— Przecież już takich nie ma. — Agata poszła do siebie, wciąż kręcąc głową z niedowierzaniem. — Dawno wymarli.

Przez resztę południa szczęście tak mnie rozpierało, że nie mogłam usiedzieć na miejscu. Trzy razy zabierałam się do matematyki i analizy wskaźnikowej małych i średnich przedsiębiorstw, ale w końcu sama musiałam przyznać, że nie miało to wielkiego sensu. Moje myśli wciąż krążyły wokół wczorajszego pocałunku i zastanawiałam się, kiedy będzie następny raz. Bo tego, że Michał zadzwoni i umówi się ze mną znowu, byłam pewna. Kiedy odwoził mnie, pocałował mnie w policzek i sam mi to obiecał. Miałam ochotę wykrzyknąć całemu światu, że życie wcale nie jest takie szare, długie i do dupy, że marzenia się spełniają i przyzwoici faceci są jeszcze na tym świecie. Z kim oprócz moich przyjaciółek mogłabym się tym swoim szczęściem podzielić? Manu, oczywiście. On miał jechać dzisiaj z Patrykiem do babci, przypomniałam sobie, że wspominał o tym podczas naszej ostatniej rozmowy na Facebooku. Czyli wróci jak zwykle dopiero późnym wieczorem. Więc kto?

Mama! Pojadę do rodziców. Jestem genialna. Głupotą byłoby się z nią już teraz dzielić nowinami, bo zaraz domagałaby się zaproszenia i przedstawienia Michała, a na to, moim zdaniem, było jeszcze o wiele za wcześnie. Ale dawno moich rodziców nie odwiedzałam, a i może załapię się na pyszny domowy obiadek.

Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Ogarnęłam się czym prędzej, złapałam kluczyki do żółtka Agaty tak zajętej tworzeniem nowego arcydzieła, że nie było szans, aby zauważyła brak samochodu, i pojechałam do rodzinnego gniazda.

Nawet silnik żółtka nieoczekiwanie gasnący na środku skrzyżowania nie był w stanie mnie dzisiaj zdenerwować. Tak samo jak lekki ból głowy, deszcz, jadący przede mną w ślimaczym tempie samochód z przyczepką i uświadomienie sobie, że nie zabrałam prawa jazdy. W moim organizmie wczoraj wytworzyło się tyle endorfin, że ich zapas prawdopodobnie wystarczyłby mi na kilka ładnych lat. Mojego doskonałego samopoczucia nie pogorszył nawet fakt, że przed domem rodziców stało sobie nowiutkie audi należące do męża Olgi. Zaparkowałam obok i zadzwoniłam do drzwi.

— Asia? Coś się stało? — zapytała mama, stojąc na progu z autentycznie przerażoną miną.

Hmm, nie takiego powitania się spodziewałam.

— Czemu coś miałoby się stać? Pomyślałam sobie po prostu, że was odwiedzę — stwierdziłam i wyszczerzyłam zęby. — Nie cieszysz się?

— Oczywiście, że się cieszę. Tylko to trochę dziwne... Kiedy to ostatnio sama z siebie do nas przyjechałaś, hę? Nawet dodzwonić się do ciebie jest ciężko.

Nic nie powiedziałam, bo fakt, że za często w domu nie bywam. A z tym dzwonieniem... winna. Przyznaję się, specjalnie czasem nie odbieram telefonu. Ale czy codzienne telefony tylko po to, aby sprawdzić, czy szczęśliwie dotarłam do domu po zajęciach, to nie nadmiar matczynej troski? Odpowiedzcie sobie sami. Tylko brak odzewu był w stanie nieco przystopować to trochę uciążliwe zjawisko.

Tymczasem pozbyłam się butów i weszłam do salonu, gdzie przed telewizorem odpoczywała reszta rodziny.

— Asia! — Tata zerwał się na równe nogi. — Coś się stało?!

Nie no, słowo daję, tego już za wiele. Czy nikt w tym domu nie cieszy się na widok drugiej córki?!

— Nic się nie stało. Chciałam was odwiedzić — powtórzyłam i znowu się wyszczerzyłam.

— A ty z czego tak się cieszysz? — nie omieszkała zapytać Olga, potrząsając przy tym głową, abym przypadkiem nie przeoczyła tego, że podcięła włosy i zrobiła sobie grzywkę. Nawiasem mówiąc, nieźle wyglądała, ale oczywiście jej tego nie powiedziałam.

À propos pytania, na końcu języka miałam: „A co ci do tego?”, ale dziś akurat przepelniała mnie miłość bliźniego i zamiast tego przyznałam:

— Mam dobry humor, po prostu.

— Dziwne. Czyżby wreszcie udało ci się rozwiązać zadanie przy tablicy bez błędu? A może tak ekspresowo roznosiłaś talerze, że szef postanowił dać ci podwyżkę?

Miła, prawda? Sarkazm to jej specjalność. W normalnych okolicznościach odpyskowałabym albo nawet doszłoby do rękoczynów. Tyle że dziś nie tak łatwo mnie sprowokować.

— Nic z tych rzeczy, siostrzyczko. Piękną jesień mamy w tym roku. — Palnęłam głupotę, bo akurat od wczoraj pogoda znacznie się pogorszyła, deszcz głośno bębnił o parapet, a termometr pokazywał nie więcej niż pięć stopni. Tata i siostra popatrzyli na mnie z minami mówiącymi: „Tej to chyba coś się w głowie przewracało” i wrócili do oglądania jakiegoś fascynującego programu na temat nowoczesnej medycyny na Discovery. Próbowałam oglądać z nimi, ale znów trudno mi się było skoncentrować.

Poszłam do kuchni, gdzie mama w wielkim garnku mieszała zupę ogórkową. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że dobrze zrobiłam, przyjeżdżając. Jako studentka i osoba pracująca popołudniami na co dzień żywiłam się głównie zapiekankami, drożdżówkami, kanapkami z żółtym serem i prawie zapomniałam już, jak smakuje prawdziwy, trzydaniowy domowy obiad.

— Masz, porozkładaj. — Mama wcisnęła mi do ręki garść sztucców i stosik talerzy. — Obiad zaraz będzie gotowy.

Kilka minut później siedzieliśmy już wszyscy przy owalnym stole. Wszyscy — czyli ja, rodzice, Olga i Anusia, która przybiegła z drugiego pokoju, zarzuciła mi ręce na szyję i o mało mnie nie udusiła. Kochane dziecko oznajmiło wszystkim, że jestem jej „najlepszą cicią”. Dowiedziałam się, że Marek mimo soboty musiał jechać do przychodni, bo zdarzył się jakiś nagły wypadek i był tam niezbędny, ale może dołączy do nas na podwieczorek. Olga pochwaliła się, że jako najbardziej obiecująca osoba w trzydziestoosobowym zespole w przyszłym tygodniu jedzie na darmowe szkolenie do Warszawy. Tata jak zwykle ponarzekał na bolący kręgosłup, a mama na częste bóle głowy. Mnie przepytano, jak sobie radzę na uczelni, czy niczego mi nie brakuje i czy nowa praca mi się podoba. Podsumowując, całkiem zwykłe i nawet przyjemne popołudnie w rodzinnym gronie. Po drugim daniu mama nałożyła nam na talerzyki mój ulubiony sernik z rodzynkami i wróciliśmy przed telewizor.

Małej Ani program na Discovery chyba za bardzo nie interesował (tak jak i mnie), bo plątała się po pokoju i nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Przyszło mi do głowy, żeby zagrać z nią w jakąś grę, porysować lub pobawić się w chowanego, ale zanim zdążyłam cokolwiek zaproponować, sama do mnie podeszła.

— Ciociu?

— Tak, kochanie?

— Jak tam twój książkę?

Ożeż kurczę! Mała pamiętała, jak piszczalam na widok zdjęcia Michała w gazecie.

Wszyscy natychmiast odwrócili głowy w moją stronę, zapominając zupełnie o postępującym rozwoju medycyny.

— Eee, jaki książę? Nie ma żadnego księcia — próbowałam udawać głupią, jak to zwykle robię w niezręcznych sytuacjach.

— Jaki książę? — uczepiła się Olga.

Nie zadziało.

Dokonałam w myślach szybkiej kalkulacji. Czy dobrze znam Michała? Nie, ale całkiem sporo już o nim wiem. Czy związek z nim ma jakąkolwiek przyszłość? Tak, zdecydowanie. Taką mam nadzieję. Czy jest to facet, którego mogłabym przedstawić swojej rodzinie? Może jeszcze nie teraz... ale zdecydowanie tak.

OK, karty na stół.

— Od niedawna spotykam się z pewnym mężczyzną. Nazywa się Michał Zieliński, ma dwadzieścia osiem lat, ogromne i nowoczesne mieszkanie, gosposię do sprzątania i gotowania, drogi samochód, bardzo dobrze prosperującą restaurację „New York Dream”, pewnie o niej słyszeliście, zachowuje się jak džentelmen, wygląda bosko, jest inteligentny i zabawny — wyrzuciłam z siebie jednym tchem i czekałam na reakcję.

— Słucham? Czy ja dobrze usłyszałam? — wreszcie odezwała się mama. — Spotykasz się z kimś?

— Tak, mam, dobrze usłyszałaś.

Stałam na środku salonu w swoim domu rodzinnym, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogę powiedzieć. A cała moja rodzina w komplecie siedziała przede mną stłoczona na nieco wytartej skórzanej kanapie, najwyraźniej czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Asia żartuje, prawda? Niestety, siostrzyczko, tym razem żart ci nie wyszedł, nie denerwuj rodziców. Myślałam, że już wyrosłaś z tych dzieciennych gier.

Powstrzymałam się, żeby zachować spokój i nie wygarnąć Oldze, co myślę o tym jej wyniosłym tonie. Przeginała. Zamiast tego wyciągnęłam z torebki wizytówkę Michała oraz dodatek do gazety z przeglądem restauracji i podałam rodzicom na dowód prawdziwości moich słów. Czytali pomału i uważnie, podając sobie ozdobioną wizerunkiem księcia na koniu kartkę z rąk do rąk i oglądając papier z każdej strony.

— To nie jest żart, mówię wam. Spotkałam go pierwszy raz podczas tego tygodnia w Chorwacji. Rozmawialiśmy, spędziliśmy miły wieczór. A teraz spotkaliśmy się ponownie.

Kurczę, czemu patrzą na mnie, jakbym właśnie im oznajmiła, że po prawie dwudziestu dwóch latach życia w przykładowej katolickiej rodzinie wychodzę za mąż za Egipcjanina, zostanę jego czwartą żoną i dopiero co doznałam objawienia, że światłem mojego życia jest islam? Czy to takie dziwne, że po Alexie spotykam

się z kimś nowym? Chyba nie jestem aż tak straszna, żeby wszyscy faceci uciekali na mój widok gdzie pieprz rośnie?

Do mamy chyba wreszcie coś zaczęło docierać, bo zapytała:

— I mówisz, że on ma restaurację? I że mu się podobasz?

— Tak, mam, dokładnie tak.

Jak należało się spodziewać, posypał się grad pytań o Michała; kim są jego rodzice, gdzie dokładnie mieszka, co lubi, a czego nie, jak to możliwe, że udało mu się samodzielnie rozkręcić własny biznes, jak się dogadujemy, jak dokładnie się poznaliśmy itepe, itede. Oldze mina coraz bardziej rzedła, mama i tata byli coraz bardziej przejęci, a ja szczęśliwa, że to z siebie wyrzuciłam i poszło jako tako. Wreszcie padło pytanie, na które od jakiegoś czasu czekałam:

— To kiedy, Asiu, zaprosisz do nas tego kawalera?

— Nie wiem, mam, spotykamy się dopiero od niedawna — odpowiedziałam. — Ale obiecuję, że postaram się jak najszybciej — dodałam, jak należało, aby zapewnić sobie święty spokój.

Herbatka, telewizor, zabawa w chowanego i ani się obejrzałam, jak na zewnątrz zrobiło się całkiem ciemno. Czas się żegnać, Olga z Anusią też zaczynały się zbierać, bo na Marka już nie było co czekać. Tylko że tym razem to ja byłam w centrum uwagi. Całkiem miłe uczucie.



— Skarbie, dokąd chciałabyś pójść w przyszły weekend? Jestem do twojej dyspozycji — stwierdził Michał po naszym półgodzinnym słodzeniu sobie do słuchawki.

— Mogę wybrać? — zdziwiłam się. Właściwie za każdym razem to on dokądś mnie zabierał i coraz bardziej zaskakiwał. Miałam wrażenie, że zna Kraków o wiele lepiej ode mnie, chociaż to ja mieszkałam w tym mieście dłużej. Podobało mi się też to, że jest tak zdecydowany i pewny siebie, jednak danie mi wolnej ręki od czasu do czasu było fajną odmianą.

— Oczywiście. Co tylko chcesz.

— Wszystko, co tylko chcę? — upewniłam się. — I nie będziesz narzekał, nawet jeśli ci się nie spodoba?

— Nooo... tak. Co tylko chcesz — powtórzył, choć już mniej pewnie.

Znakomicie. Doskonale wiedziałam, czego chcę. W tym tygodniu wystawiali *Mewę* Czechowa, a ja z mojego zaufanego źródła miałam informację, że bilety jeszcze są dostępne.

— W takim razie pójdziemy do teatru. Co ty na to?

Usłyszałam westchnienie.

— Skoro tego właśnie chcesz, to OK. A na co, jeśli mogę spytać?

— Na *Mewę*.

— Niewiele mi to mówi, ale wierzę, że dobrze wybrałaś. Prześlij mi szczegóły SMS-em, dobrze? Muszę kończyć, dojeżdżam do restauracji.

— Jasne. Do zobaczenia!

Czym prędzej uruchomiłam laptopa i zarezerwowałam bilety. Jak szaleć, to szaleć: miejsca na balkonie na pierwszym piętrze wciąż były wolne, pal licho cenę. Kiedy to ja ostatnio byłam w teatrze? Nie potrafiłam nawet sobie przypomnieć. Z Mańkiem wybieraliśmy się nie raz, a jakoś zawsze w końcu stawało na kinie. Sama nie lubiłam wychodzić — dobrze było mieć do kogo się odezwać, oczekując na rozpoczęcie sztuki, tak samo jak podzielić wrażeniami po zakończeniu. Zresztą... sztuka ma wartość jedynie wtedy, gdy można się nią z kimś podzielić, czy to jako autor, czy choćby jako odbiorca.

W dzień naszej randki włożyłam wysłużoną małą czarną, do tego żakiet, szpilki i zrobiłam mocniejszy niż zwykle makijaż. Zupełnie nie rozumiałam ludzi, którzy do teatru wybierali się w swoich codziennych ciuchach. Sztuka, szczególnie z wyższej półki, wymagała należytego szacunku. Dotyczy to zwłaszcza Teatru imienia Juliusza Słowackiego — tak znanej i zasłużonej sceny. A nawet jeśli kogoś niezbyt obchodzi realizacje arcydzieł dramaturgów i znalazł się tam zupełnie przypadkiem, to już samo okazałe wnętrze teatru powinno niejako wymusić odpowiednią postawę. Czerwone dywany, bogato zdobione sufity, złote żyrandole i... dzinsy? Nie ma mowy.

Michał przyjechał po mnie sporo przed czasem, a ponieważ wieczór był bardzo ciepły, zaproponowałam, żebyśmy się przeszli.

— W takim razie mamy czas, żebyś opowiedziała mi, o co chodzi w tej sztuce. Będę się lepiej orientował — poprosił.

— Proszę bardzo. To jest czteroaktowy dramat, chociaż sam Czechow opisuje swoją sztukę jako komedię. Być może chodziło mu o komedię w sensie przewrotności ludzkiego losu... zresztą nieważne. Opowiem ci co nieco o głównych bohaterach, ale bez zdradzania akcji, dobrze? Inaczej stracisz całą zabawę.

— Zamieniam się w słuch.

Akurat dwudziestominutowy spacer był w sam raz, żeby nakreślić mojemu facetowi sylwetki Ireny Arkadiny, Konstantego Triepiewa, Borysa Aleksiejewicza Trigorina i Niny Zariecznej. Omijając zręcznie nierówności chodników, opowiadałam:

— Czechow skonstrastował różne postawy względem sztuki: mamy schematyczne myślenie Arkadiny, trudną drogę do sukcesu Triepiewa i marzenia o sławie młodziutkiej Niny. Sama zastanawiam się nad interpretacją tytułu. Chyba najbardziej pasuje mi to, że mewa symbolizuje tu wolność, decydowanie o samym sobie...

Michał tylko od czasu do czasu mi przytakiwał, jednak niewiele pytał i wtrącał od siebie. Rozumiałam, że dla niego to wszystko może być mało interesujące, jednak dzielnie starał się słuchać moich wywodów. Liczyłam po cichu, że ze względu na znakomitą obsadę i grę aktorską na najwyższym poziomie sztuka porwie i jego. Nie powiedziałam tego na głos, ale dla mnie *Mewa* miała szczególne znaczenie: identyfikowałam się z Niną, która również marzyła o byciu aktorką, chciała się uczyć, popełniać błędy, aby w końcu zająć na sam szczyt.

Budynek teatru było widać z daleka, wieczorem jest przepięknie oświetlony. Gdy dotarliśmy i zajęliśmy nasze miejsca, jakieś dwie trzecie widowni było już wypełnione. Uwielbiałam tę atmosferę oczekiwania, gdy człowiek się zastanawia, co też się rozgrywa za kulisami. W końcu kurtyna poszła w górę, a ja odpłynęłam.

Że byłam zachwycona, to mało powiedziane. Każdy z aktorów doskonale wczuł się w rolę i choć scenografia była dość uboga (wnętrze dworku), to same burzliwe dialogi wystarczyły, żeby mnie porwać. Niestety, nie mogłam powiedzieć tego samego o Michale; zerkalam na niego od czasu do czasu i widziałam, że walczył z ziewaniem i opadającymi powiekami. Gdy przedstawienie nareszcie dobiegło końca, na twarzy chłopaka odczytałam ogromną ulgę. To prawda, że akurat w tym utworze zabrakło wartkiej akcji, całość skupiała się raczej na poglądach bohaterów i relacji między nimi... no ale przecież była scena zazdrości, próba samobójcza Konstantego... serio, jak można się przy tym nudzić? „Cóż, każdy ma inne upodobania” — powiedziałam sobie w myślach. Michał przynajmniej nie narobił mi wstydu, tak jak kiedyś Alex, który potrafił żuć gumę i śmiać się w najmniej odpowiednich momentach (raz nawet wykrzyknął: „Patrz, jakie ten gość ma rajtuzy!”, wskazując aktora wychodzącego na scenę), co przyciągnęło zgorszzone spojrzenia wszystkich wokół. Szanował to, że teatr i kino to moja pasja, i tego nie wyśmiewał. Doceniałam to. Szkoda mi jednak było, że nie mogłam podyskutować z nim na temat tego, co właśnie obejrzelśmy. Nawet nie próbowałam pytać, czy mu się podobało, bo wiedziałam, jaka byłaby odpowiedź.

— Dokąd teraz pani sobie życzy? — zapytał, gdy już znaleźliśmy się na zewnątrz. — Może drinka?

— Czemu nie? — Zgodziłam się i ruszyliśmy w kierunku dobrze nam już znanego baru.

Reszta wieczoru upłynęła nam podobnie jak zawsze: piliśmy, flirtowaliśmy, żartowaliśmy niezobowiązująco. Tak jak poprzednim razem w tym miejscu zajęliśmy stolik na samym końcu sali. Podobało mi się, że nie było tu głośniejszej muzyki ani tłumów, dzięki czemu dawało się spokojnie porozmawiać. Oboje wyraźnie się rozluźniliśmy i jak zwykle po pewnej dawce alkoholu zrobiłam się bardziej bezpośrednia.

— Zmęczyłam cię dziś tą *Mewą*, prawda? — zapytałam.

— Prawda — przyznał Michał. — Dlatego chcę rewanżu.

— Jakiego rewanżu? — wystraszyłam się. Czego on może chcieć w zamian?
— Myślisz, że puszczę ci płazem prawie trzy godziny słuchania dialogów na temat sztuki? W kolejny weekend pobawimy się po mojemu — oznajmił, bardzo z siebie zadowolony.

— Powiedz wreszcie, o co chodzi! — ponagliłam go.

— Pójdziemy na gokarty. A później na paintball. Stoi?

— Stoi — odparłam bez namysłu. — Tak skroję ci tyłek, że jeszcze się zdziwisz.

— Nie mogę się doczekać.

I chyba faktycznie nie mógł, bo cieszył się jak dziecko na samą myśl o dobrej zabawie. Coś w tym chyba jest, że faceci nigdy nie dorastają.



Niestety, z powodu przybywających obowiązków na uczelni i godzin, które musiałam odrobić w pracy, nie miałam okazji ponownie spotkać się z Michałem, a nasze planowane rozgrywki na torze kartingowym musiały zostać przełożone na bliżej nieokreślony termin. Michał też — zdaje się — był dość mocno zapracowany. Za to dzwonił codziennie wieczorem zapytać, jak minął mi dzień, i zapewnić, że myśli o mnie cały czas. Słodkie, prawda? O wiele łatwiej jest sobie radzić z codziennymi wyzwaniem, mając świadomość, że komuś na nas zależy, i po wyczerpującym dniu, już leżąc w ciepłym łóżku, można się temu komuś wyżalić przez telefon, pośmiać i życzyć dobrej nocy. Jesteśmy umówieni na jutro, Michał obiecał mi, że spędzimy ze sobą wieczór i nadrobimy cały ten czas, kiedy nie mogliśmy się widzieć. Mówił, że dokądś mnie zabierze i to będzie niespodzianka. Nie mogę się doczekać.

Jeszcze pół godziny i będę wreszcie mogła wyjść z pracy. Po umyciu każdego kolejnego talerza zerkałam na zegarek. Prawie nie czułam nóg, byłam zmęczona, ale mimo to w świetnym nastroju. Mam plan prosto po pracy pojechać do Mańka. Zaniedbałam go ostatnio, nie pamiętam już, kiedy dłużej rozmawialiśmy. Potrzebowałam nowego słuchacza, bo Karolina i Agata, choć początkowo chętne poznać każdy aspekt mojej obiecującej znajomości, teraz zaczynały mieć dość mnie i moich zachwyków.

Jeszcze dziesięć minut... talerz... talerz... osiem minut... kieliszki... pięć minut... trzy talerze... dwie minuty... szklanka... i koniec! Kilkanaście minut później dzwoniłam do drzwi małego mieszkania przy alei Pokoju.

Dzwoniłam i dzwoniłam, aż Manu wreszcie mi otworzył.

— Asia? — zdziwił się.

Szlag, czemu ludzie zawsze tak się dziwią na mój widok?

— No ja, ja. A któżby inny? Takie dziwne, że wpadłam odwiedzić kumpla?

— odpowiedziałam i weszłam, zrzucając po drodze buty. Chciałam jak zwykle rozwalić się na kanapie, poprosić o coś do picia i zapytać, co tam ciekawego czytał ostatnio lub czy powstały jakieś nowe fotografie, na które mogłabym rzucić okiem. Tyle że na kanapie nie było ani skrawka wolnego miejsca. O ile to mieszkanie zawsze było nieco ciasne i zagracone, o tyle dzisiaj panował tu po prostu okropny bajzel, a przykurzone anioły spoglądały na to wszystko ze swojego regału z dezaprobatą. Dopiero teraz przyjrzałam się przyjacielowi — on też był jakiś niedzisiejszy. Taki... stłamszony?

— Co się dzieje? — zapytałam prosto z mostu.

— Nic. Co się ma dziać? — odpowiedział, udając, że jest tak, jak mówi. Ale udawanie mu nie wyszło.

— Maniek, widzę, że coś nie tak. Mów.

— Wszystko OK, naprawdę. Nie mam ostatnio humoru, tyle.

Aha, czyli teraz mamy przed sobą tajemnice. Co jak co, ale potrafię odróżnić zwykły brak humoru od przewlekłego stanu zniechęcenia do życia spowodowanego konkretną sytuacją. OK, nie nalegam. Sam w końcu powie, jak zawsze.

Zrzuciłam część ciuchów i książek na podłogę i usiadłam. „O! Jonathan Carroll! Miło, że Manu czyta książkę, którą mu poleciłam”. Widziałam, że przyjaciel jest nie w sosie i pewnie należałoby poświęcić mu nieco więcej uwagi, tym bardziej że naprawdę nie miałam pojęcia, co się ostatnio u niego działo, ale moje szczęście tak mnie przepęśniało, że nie potrafiłam powstrzymać się od ciągłego uśmiechania i w zasadzie chciałabym tylko o tym mówić. Maniek nie wiedział wiele o mojej znajomości z Michałem — opowiadałam mu kiedyś, że spotkałam cudownego faceta w Chorwacji i spędziłam z nim równie cudowny wieczór. Kiedy w zeszłym tygodniu napisałam mu maila, że znalazłam tego faceta, nie bardzo chciał w to wierzyć. OK, czas nadrobić zaległości.

Zaczęłam opowiadać. To wszystko, co zrelacjonowałam rodzinie, co moje przyjaciółki słyszały setki razy i znały niemal na pamięć. Opisując Michała, nie mogłam się powstrzymać od superlatywów. Mówiłam i mówiłam, odrobinę rozczarowana faktem, że Manu poza zadaniem kilku pytań nie wykazuje większego entuzjazmu. Gdzie ochy i achy? No cóż, nie był kobietą. Ciekawa byłam męskiej opinii, co on, patrząc z boku, może myśleć o naszej znajomości. Ale on jakoś nie był skory do mówienia.

— Oczy ci błyszczą, gdy o nim mówisz — powiedział wreszcie.

— I?

— I co?

— No, powiedzże coś więcej. Co o tym myślisz? Czy on nie jest cudowny? — dopytywałam.

— Z tego co mówisz, wynika, że najwyraźniej tak — powiedział i znowu zamilkł.

— Maniek, co jest z tobą, do cholery? — zirytowałam się. — Pamiętasz, jak mówiłeś, że po Alexie zasługuję na kogoś lepszego? No i chyba lepiej trafić nie mogłam. Czemu nie cieszysz się ze mną?

— Asia, cieszę się. Naprawdę — powiedział. — Ale pomyśl sama. Ile razy się z tym gościem spotkałaś? Raz na wakacjach, kiedy oboje udawaliście kogoś innego, raz w restauracji i byliście na zaledwie kilku randkach.

— Co sugerujesz? Że go nie znam? Że źle robię? Nie rozumiem.

— Pamiętasz, co mówiłaś, gdy Alex z tobą zerwał? Że im bardziej człowiek się angażuje, im więcej od siebie daje drugiej osobie, tym łatwiej go zranić. Że mimo uczuć i emocji, które w nim buzują, powinien jednak zostawić jeden procent mózgu na przemyślenia, przynajmniej do czasu, gdy będzie pewny, że może tej osobie w pełni zaufać.

— Owszem, mówiłam tak. Ale, Maniek, z Michałem to jest coś wyjątkowego. Czuję to, rozumiesz? Nie chcę myśleć. To jest zupełnie wyjątkowe i chcę, by to trwało.

— Pewnie, każdy z nas chce wierzyć w prawdziwą, idealną miłość. Najlepiej od pierwszego wejrzenia. Ale życie to nie bajka...

— Nie mogę, zaczynasz mnie denerwować — przerwałam. — Chyba zapomniałeś, co sam kiedyś mówiłeś. Że taka miłość musi istnieć. Że tylko stawiając wszystko na jedną kartę, można się przekonać, czy warto. Zapalony idealista. Czemu nie możesz przyjąć, że właśnie to mi się przytrafia? Czemu musisz mnie sprowadzać na ziemię i wszystko psuć?! — prawie wykrzyczałam.

— Bo się o ciebie martwię. Nie chcę, byś znowu płakała przez jakiegoś palanta.

Powiedział to takim tonem i tak spojrzał mi w oczy, że dostałam gęsiej skórki. Czyżby Karolina i Agata miały rację? Czy on coś, tego, do mnie?!

Nie. Na pewno nie. To mój przyjaciel, najlepszy kumpel i to całkowicie normalne, że się o mnie martwi. Schowałam swoją dumę do kieszeni i nieoczekiwanie dla samej siebie powiedziałam:

— Przepraszam.

— Za co? — zdziwił się.

— Za to, że ostatnio nie dzwoniłam i cię zbywałam. Żeby nie wiem co przeżywała, nie wolno zapominać o starych przyjaciołach. I przepraszam, że teraz się zdenerwowałam. Masz cholerną rację. Chyba z trudem mi przychodzi tłumienie uczuć i rozsądne myślenie, tym bardziej że to wszystko jest jak sen, z którego nie chcę się obudzić. Jak spełnione marzenie.

— Asia, wiem. „*When you're in love, what can go wrong?*”⁴, no nie? Ciężko myśleć racjonalnie. Ja cię tylko proszę, byś była ostrożna bez względu na to, jaki Michał jest cudowny i co do niego czujesz. Obiecasz mi to? — poprosił.

— Obiecuję. — Zaśmiałam się i poczochnęłam mu włosy. — I o wszystkim

będę cię informować, masz to jak w banku. Teraz mów wreszcie, co u ciebie.

— Nie jest dobrze. Babcia źle się ostatnio czuje — westchnął. — Kaszle coraz więcej, ma mniej siły. Dwa razy zesłała. Boję się, że niedługo przestanie sobie radzić sama.

— Kurczę, nie wiedziałam... Można jakoś pomóc? — Pomyślałam o pysznych pierogach i ciepłym uśmiechu babci Aurelii i autentycznie się zmartwiłam.

— Problem w tym, że niewiele można zrobić. Patryk próbował ją namówić, żeby zamieszkała z nim i z Bašką, mają naprawdę duże mieszkanie, więc nawet by sobie nie przeszkadzali. Łatwiej byłoby się nią zaopiekować, do lekarza niedaleko. Ale babcia się uparła i nawet nie chce o tym słyszeć. Mówi, że nie zostawi swojej chatki, spędziła tam ponad połowę swojego życia i tam umrze.

— To faktycznie nieciekawie. Ale staruszki tak już chyba mają, że nie lubią zmian. A jak się uprą, to koniec.

— Żebyś wiedziała. Staramy się z bratem jeździć do niej częściej, pomagając, ile się da. Dzwonimy codziennie. Oprócz siebie nawzajem tylko ona nam została. — Manu zwiesił głowę. — Pytała o ciebie ostatnio — dodał.

— Żartujesz? Pamiętała mnie? — Nie spodziewałam się, że babcia zapamięta mnie po jednej wizycie na wakacjach.

— I to jeszcze jak. Jeśli masz ochotę, to możesz się ze mną zabrać, gdy będę do niej jechał następnym razem. Ucieszy się.

— Pewnie, że pojedę! Możesz zadzwonić i przekazać babci, że zamawiam pierogi i szarlotkę! — powiedziałam z entuzjazmem i z zadowoleniem stwierdziłam, że na twarzy Mańka wreszcie pojawił się uśmiech.

— A teraz chyba czas się zbierać. Szykowały się trzy kolokwia w tym tygodniu, odrabiałam godziny w restauracji i już padam ze zmęczenia i niewyspania, a jutro Michał szykuje jakąś niespodziankę. Obiecał, że zabierze mnie w jakieś świetne miejsce. — Wstałam i ruszyłam do drzwi. — Zadzwoń, jak będziesz się wybierał do babci.

— Zadzwonię.

Uścisnęliśmy się i już miałam wyjść, gdy Manu wyszeptał, prawie niedosłyszalnie:

— Asia? Brakowało mi ciebie.



Siedziałam na supernudnym wykładzie z finansów publicznych i z braku lepszego sposobu na zabicie czasu scrollowałam Facebooka. Wiem, że później będę tego żałowała, bo w pobliżu nie było nikogo życzliwego, kto mógłby mi udostępnić notatki. Same kujony, które nie znały wyrażenia „bezinteresowna

pomoc”. Być może prowadząca zlituje się i zamieści w internecie chociaż slajdy...
O, mam jakąś wiadomość.

Maniek Turowski: Chcesz iść jutro na koncert? Mam kilka biletów.

Joanna Kowalik: Więcej szczegółów proszę.

Maniek Turowski: Zespół No Excuses, grają w klubie Studio, tam przy AGH. Start o dziewiętnastej.

Joanna Kowalik: Nie słyszałam o nich. Warto?

Maniek Turowski: Jak diabli, dobrzy są. Niedawno zaczęli, grają stare kawałki, między innymi Beatlesów.

Joanna Kowalik: A skąd Ty masz bilety?

Maniek Turowski: Idę jako fotograf.

Joanna Kowalik: Aaaa... czyli będziesz biegał wkoło z aparatem?

Maniek Turowski: Można tak to ująć.

Maniek Turowski: Ale spokojna głowa, dla Ciebie też znajdę czas :)

Joanna Kowalik: W takim razie stoi. *See you!*

Maniek Turowski: Do zobaczenia!

Nie powiem, żeby to był dobry pomysł. Wciąż miałam kolosa do poprawki, a pan Kowalski na pewno nie będzie zachwycony, gdy przedstawię mu informację, że chcę zamienić się godzinami pracy z koleżanką. Ale ludzie, należy mi się! I tak dawno nie wychodziłam z Mańkiem, wstyd mi było po naszym ostatnim spotkaniu, że tak go zaniedbałam. Chciałam nadrobić z nim ten czas, dobrze się bawić, odpocząć, naładować baterie. Randki z Michałem były idealne pod każdym względem, ale randka to jednak nie to samo co luźny wypad z przyjacielem. Każdy tego od czasu do czasu potrzebuje. W dzień koncertu włożyłam ulubione dzinsy, trampki, luźną koszulkę i związałam loki w koński ogon. Lubiłam siebie w tym wydaniu, fajna alternatywa dla eleganckich randkowych zestawów i nudnego czarnego uniformu, który nosiłam w pracy.

Do Studia przyszłam sama, Manu miał być wcześ-niej, żeby przygotować sprzęt i zrobić kilka próbnych fotek. Choć wewnątrz lokalu już się zapełniało i zaczynało być coraz bardziej tłoczno, to bez trudu go namierzyłam — kręcił się pod sceną i coś ustawiał na tym swoim wypasionym canonie. Miał na sobie swój ulubiony granatowy T-shirt i szarą bluzę z kapturem, a na szyi dyndała mu plakietka. Był tak skupiony, że w pierwszej chwili w ogóle mnie nie zauważył. Klepnęłam go w ramię.

— Cześć — przywitałam się.

— Siema! Sorki, mam tu jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

— *No problem.* — Wiedziałam, jak bardzo zależy mu na tym, aby jego prace były perfekcyjne. — Nie przejmuj się mną i rób, co musisz. Pogadamy po koncercie — powiedziałam i poszłam poszukać wolnego miejsca z jak najlepszym widokiem.

Udało mi się, dopadłam krzesło zaraz na wprost sceny. Do koncertu zostało tylko kilka minut, ale wyglądało na to, że rozpoczęcie może się trochę opóźnić. Muzycy wciąż nie byli gotowi, chyba mieli jakieś problemy z oświetleniem. Nie przeszkadzało mi, że będzie trzeba poczekać; przyglądałam się wchodzącym studentom, ochroniarzom, chłonełam atmosferę. No i obserwowałam Mańka przy pracy. On chyba sam sobie nie zdawał sprawy, jak dobry był jako fotograf, szczególnie jeśli chodzi o reportaż. Przemykał jak cień pod ścianami, wciskał się w każdą dziurę, ale nie przeszkadzał, trudno go w ogóle było zauważyć — zupełnie jak doświadczony reporter. Byłam pewna, że zdjęcia z koncertu będą wyśmienite, bo Maniek potrafił to, co potrafi niewielu: nie tylko zrobić zdjęcia dobre technicznie, ale też uchwycić na nich emocje.

W końcu członkowie No Excuses wyszli na scenę. Pozytywnie mnie zaskoczyli, nie spodziewałam się, że debiutujący zespół będzie się zachowywał tak swobodnie, a zarazem profesjonalnie. Mieli też niesamowite poczucie humoru, sypali żartami jak z rękawa i bez żadnego wysiłku angażowali publiczność do zabawy. Trzech chłopaków i jedna dziewczyna — wokalistka. Tak jak zapowiadał Manu, zaprezentowali kilkanaście znanych piosenek, klasyki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ale we własnej interpretacji. Przyjemnie się ich słuchało, wróżyłam im świetlaną przyszłość. W pewnym momencie zupełnie się zatraciłam — razem ze wszystkimi śpiewałam, kołysałam się, podskakiwałam do rytmu. Dawno tak dobrze się nie bawiłam. Jako ostatnią piosenkę zagrali *Imagine* Lennona — śpiewana przez drobniutką blondynkę brzmiała zupełnie inaczej, a jednak ciarki przeszły mi po plecach. Magiczne słowa, magiczny głos... piękne. Nagle poczułam, że ktoś za mną stoi.

— Piękne — usłyszałam szept. Manu był tuż za mną.

— Piękne — potwierdziłam.

Słuchaliśmy oboje, ja oparłam głowę na ramieniu przyjaciela. Jak słusznie założyłam, Manu zrobił sobie przerwę od pstrykania zdjęć. Są chwile, których nie ma sensu uwieczniać za wszelką cenę, trzeba je po prostu przeżywać, chłoneć całym sobą. Praca nie ucieknie, zresztą byłam pewna, że całą kartę w aparacie ma już zapełnioną genialnymi kadrami. Piosenka dobiegła końca, a publiczność, jak można się było spodziewać, zażądała jeszcze jednego kawałka na bis. Nagle poczułam, że mój smartfon wibruje w kieszeni dzinsów. Zerknęłam szybko na wyświetlacz — Michał. Manu chyba też zerknął mi przez ramię, bo nagle się odsunął.

— Muszę odebrać — powiedziałam. — Zaraz wrócę.

— Jasne. Nie spiesz się — odparł i zmarszczył czoło. Czy mi się zdawało? Trochę tu było ciemno. Nieważne, zamienię dwa słowa ze swoim facetem i za moment będę z powrotem. Koncert się skończy i pewnie pogadamy z Mańkiem przy piwie jak za starych dobrych czasów. Wyszłam na korytarz, przy toaletach

było odrobinę ciszej i odebrałam połączenie.

— Skarbie? Co tam tak głośno? — zapytał zaniepokojony głos w słuchawce.

— Jestem na koncercie...

Moment zamienił się w trochę dłuższy moment, ale co ja poradzę? Nie widzieliśmy się od kilku dni i nie sposób było ot tak się rozłączyć. W końcu jednak umówiliśmy się na kolejny weekend, pożegnaliśmy się i wróciłam na swoje miejsce. Zespół nadal grał, publiczność nie odpuszczała, głośno domagała się kolejnych bisów. Ale gdzie jest Maniek? Rozglądałam się, ale nigdzie nie mogłam go dostrzec. Nie było go ani pod sceną, ani na tyłach. Ostatnia piosenka w końcu przebrzmiała, członkowie No Excuses uklonili się i zeszli ze sceny. Postanowiłam zajrzeć za kulisy i wpadłam na ochroniarza.

— Przepraszam, nie widział pan Emanuela? — zapytałam byczka z ogoloną głową. — Fotograf, brunet, w granatowej koszulce.

— Widziałem jakiś kwadrans temu. Już chyba się zmył, bo składał sprzęt. Panienska też się stąd zmyje, tu wstęp jest wzbroniony.

Hmmm. Obeszłam jeszcze raz całe Studio, wewnątrz i na zewnątrz, ale Mańka ani śladu. Przepadł jak kamień w wodę. Spróbowałam do niego zadzwonić, zapytać, gdzie jest. Jeden sygnał, trzeci, dziesiąty... telefon milczał jak zakłęty.



Przeciągnęłam się, aż chrupnęło, i z zadowoleniem stwierdziłam, że świeci dziś słońce. W końcu sobota! I nareszcie moje urodziny! Wkrótce zobaczę się z Michałem! Ciekawe, czy wie, że mam dzisiaj urodziny? Pewnie nie, nie przypominam sobie, żebym mu o tym mówiła, nie ma też konta na żadnym portalu społecznościowym, więc przypomnienie nie pojawi mu się na ekranie. A może to i dobrze? Faktycznie, nie znamy się długo, a nie chciałabym, żeby wysilał się, szukając jakiegoś prezentu dla mnie. Samo spędzenie razem wieczoru będzie wystarczającym prezentem.

Dzisiaj leniuchuję i robię tylko to, na co mam ochotę. A co! Należy mi się po pracowitym tygodniu. Poszłam do kuchni, trochę zaskoczona, że tak cicho w mieszkaniu, i nastawiłam wodę na herbatę. Pewnie dziewczyny jeszcze śpią. Mój wzrok zahaczył o grafik sprzątanego mieszkania rozwieszony na lodówce. Szlag, moja kolej. Ale przecież jest czysto... Teraz dostrzegłam wyrwaną z zeszytu kartkę na kuchennym parapecie:

„Asia! Wszystkiego najlepszego, Małpo! Pewnie się wściekniesz, ale pojechałyśmy obie do domu na weekend. Wynagrodzimy Ci to w przyszłym tygodniu! Ty i tak masz już plany ze swoim przystojniakiem, he, he. Baw się dobrze, całusy.

Karola i Agata

PS Posprzątałyśmy wczoraj mieszkanie. Doceń to!”.

Co za wstrętne, niedobre! Jak mogły pojechać do domu w moje urodziny?! Oj, policzę się z nimi, niech tylko wrócą.

Na razie rozkoszowałam się wolnym dniem. Umyłam włosy, pomalowałam zniszczone od szorowania talerzy paznokcie, włączyłam muzykę i zasiadłam przed komputerem. Jak zwykle zaczęłam od sprawdzenia poczty, Facebooka i przejrzenia kilku interesujących mnie stron. Jak to w urodziny bywa, dostałam mnóstwo wiadomości typu „Sto lat!” i „Wszystkiego najlepszego!” od ludzi, z którymi kontakt już dawno mi się urwał bądź których spotkałam zaledwie kilka razy. Mimo to miło się je czytało. Lekkie ukłucie poczułam tylko, czytając wpis od Alexa — zwykle „Spełnienia marzeń”. Hmm, myślałam, że chociaż napisze SMS. Widocznie nie zależało mu na naszej znajomości tak, jak gorąco zapewniał mnie jeszcze kilka tygodni temu. Albo pogodził się z faktem, że nic z tego. Ale czemu nie ma żadnych wiadomości od moich bliższych znajomych? Czemu nikt z rodziny nie dzwoni? Może jeszcze za wcześnie. Na pewno odezwą się później.

Wreszcie zabrałam się do stosika książek przywleczonych dawno temu z biblioteki, na które wcześniej po prostu nie miałam czasu. Otworzyłam czekoladowe ptasie mleczko, które jakimś cudem jeszcze się ostało, i rozłożyłam się na łóżku. Długo nie mogłam się zdecydować, od której zacząć, ale wreszcie wybrałam lekką i zabawną powieść *Pani mecenas ucieka*. Dzisiaj czytam tylko dla relaksu.

Chociaż losy zupełnie niezyciowej prawniczki mocno mnie wciągnęły, nie mogłam się powstrzymać od ciągłego zerkania na telefon. Jest czternasta, do cholery! Co to, wszyscy o mnie zapomnieli?! Czy dwadzieścia dwa lata to już tak poważny wiek, że wstyd się do niego przyznawać i lepiej udawać, że się nie ma urodzin?!

Drrrryyń! Nareszcie! Zerwałam się na równe nogi.

— Halo?! — wrzasnęłam do słuchawki.

— Joanna? — cudowny głos po drugiej stronie.

— Michał? — odpowiedziałam słodkim głosem.

— Słuchaj, tak jak się umawialiśmy, przyjadę po ciebie o dziewiętnastej. Tylko, hmm, ubierz się elegancko.

— Elegancko? A dokąd idziemy? — Nie spodziewałam się tego. Co on knuje?

— Nie mogę ci powiedzieć. Ale włóż jakąś sukienkę czy coś, OK? — poprosił.

— Michał, musisz mi zdradzić więcej szczegółów. Chodzi ci o sukienkę wieczorową? Mam się umalować, zrobić fryzurę? — dopytywałam.

— No tak. Raczej tak. W porządku?

— Zaskoczyłeś mnie, ale OK. Odstawię się, że mnie nie poznasz —

zaśmiałam się.

— No to super. Przepraszam, muszę kończyć. Do zobaczenia później. Tęsknię, pa — rozłączył się, zanim zdążyłam coś odpowiedzieć. Co jest grane?

O Matko Boska i stu milicjantów! Ale skąd ja wez-mę sukienkę?! Moja mała czarna, którą włożyłam na przyjęcie z Mańkiem, raczej była za mało szykowna. Pomyślmy... sukienka ze studniówki? Odpada, nawet jeśli jeszcze w nią wejdę, to nie będę mogła oddychać. Letnia sukienka w kwiatuszki? Mamy początek listopada! Co ja zrobię, co ja zrobię?! Panika! Zadzwonię do Olgi. Niech siostra raz pomoże, nosi prawie mój rozmiar. Palnęłam się w łeb. Przecież do niej nie zadzwonię, tym bardziej że ona nawet nie pamięta o moich urodzinach. Myśl racjonalnie! Do galerii? Allegro? Za późno. Wyjście jest tylko jedno.

Nie ma rady, muszę naruszyć nasze święte prawo niegrzebania w cudzych rzeczach i niepożyczania niczego bez pytania. Może zadzwonić i zapytać? Nie, w tym wypadku lepiej nie. Nie jeśli chodzi o TĘ sukienkę. Bo co, gdy odmówi? A tak pożyczę, później upiorę i odwieszę, a właścicielka może nawet się nie zorientuje. „Gdyby tu była, sama by mnie jakoś poratowała, jeśli nie tą sukienką, to inną” — próbowałam uspo-koić swoje wrzeszczące sumienie i weszłam do pokoju Karoliny.

Dobrze wiedziałam, po co tu przyszłam. Po śliczną sukienkę bez ramiączek, w kolorze starego złota. Prosta, długa prawie do kolan, ale za to z bardzo efektownym dekoltem i lekko prześwitującymi wstawkami na plecach. Karolina kupiła ją jakiś czas temu, miała na sobie dosłownie raz i wciąż czekała na okazję, kiedy znów mogłaby się w niej zaprezentować. Znalazłam ją prawie na dnie szafy, zapakowaną szczelnie w pokrowiec. Oby tylko dobrze na mnie leżała! Karolina jest nieco szczuplejsza.

Rozpakowałam sukienkę. O, jakaś karteczka wyleciała. Przeczytałam jedno zdanie:

„Niech Ci dobrze służy, Małpo!”.

Hę?! Przewidziała, że będę chciała pożyczyć sukienkę?! Ona coś wie! Wie, dokąd Michał chce mnie zabrać! W sumie dość prawdopodobne. Mógł na przykład zadzwonić do niej i zapytać, czy już byłam w tym miejscu lub czy, jej zdaniem, spodoba mi się tam. Dzwonić? Nie. Nie będę sobie i jemu psuła zabawy. Niech będzie niespodzianka.

Zrzuciłam dres i nieźle się przy tym gimnastykując, wcisnęłam się w sukienkę. Jakimś cudem udało mi się zasunąć zamek i pobiegłam do przedpokoju przejrzeć się w dużym lustrze.

Było... cudownie! Może odrobinę ciasna, ale mimo wszystko leżała naprawdę nieźle. Moje czekoladowe loki i stare złoto... Michał będzie zachwycony! Teraz biżuteria. Chyba wystarczą delikatne kolczyki, ta sukienka sama w sobie jest wystarczającą ozdobą. Buty? Szpilki, oczywiście. Fryzura?

Spięte, rozpuszczone, spięte, rozpuszczone, spięte... spięte! Makijaż? Delikatny? Nie, dzisiaj zaszaleję i zrobię sobie kocie oczy.

Jak pomyślałam, tak zrobiłam i minutę przed dziewiętnastą czekałam gotowa w przedpokoju. Nawet zapomniałam, że nie jadłam dzisiaj obiadu. Dzwonek do drzwi. Jest!

Tylko mój perfekcyjny makijaż powstrzymał mnie przed rzuceniem się mojemu mężczyźnie na szyję i ucałowaniu go prosto w usta. Zamiast tego przytuliliśmy się delikatnie, żeby się nie wymiąć. Boże, jak on wygląda! Ten garnitur to Giorgio Armani?!

— Joanno, wyglądasz przepięknie! — powiedział szczerze i od serca.

— Ty również niczego sobie — odparłam. — Dokąd jedziemy?

— Zobaczysz.

Ciągle tajemnice, nieustanne niespodzianki... Jechaliśmy wcale nie tak długo i z zaskoczeniem stwierdziłam, że Michał skręca na parking niedaleko „New York Dream”. To po to musiałam się tak stroić?

Najwidoczniej tak, bo wysiedliśmy i poprowadził mnie w kierunku swojej restauracji. Jakiś taki podenerwowany czy mi się zdaje?

Weszliśmy i chwilę zajęło mi ogarnięcie, co się tu dzieje. Z największej sali zostały wyniesione wszystkie stoliki i krzesła, jakiś zespół rozkładał sprzęt grający. Na środku zebrała się moja rodzinka w komplecie, nawet Olga z miną zbitego psa, Karolina i Agata też były i obie się do mnie szczyrzyły, było kilku starych znajomych z liceum, między innymi Kaśka, trzy najbliższe koleżanki z uczelni i kilkanaście osób, których nie znałam. A nad głowami mieli rozpięty ogromny napis: „WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!”.

Byłam totalnie zszokowana. To wszystko dla mnie?! Przecież to nawet nie jest jakaś wielka okazja... po prostu dwudzieste drugie urodziny! Kiedy wszyscy zaczęli śpiewać mi *Sto lat!*, ze wzruszenia łzy stanęły mi w oczach. To dlatego nie dzwonili wcześniej z życzeniami. Wiedzieli, że ma być niespodzianka! Pal licha makijaż, uściskałam swojego mężczyznę i ucałowałam, może mało subtelnie i romantycznie, ale za to szczerze. Nawet osiemnastki takiej nie miałam. Śpiewali i śpiewali, a ja sobie stałam, szczyrząc zęby i chłonąc całą sobą tę cudowną chwilę bycia w centrum uwagi, która zdarzała mi się, tylko gdy palnęłam coś głupiego lub widowiskowo wylałam na siebie jakiś napój.

Po odśpiewaniu zaczęło się składanie życzeń. Najpierw od osób mi najbliższych, czyli rodziny, później od osób mi najbliższych inaczej, czyli znajomych, a na końcu od osób mi nieznanymi, ale bliskich Michałowi. Co było najpiękniejsze w tych życzeniach? Ano oczywiście zdanie: „Co za facet! Szczęścia!”. I te iskierki zazdrości w oczach zebranych tu kobiet. Ha! Żadna go nie dostanie. A, i jeszcze totalny zachwyt rodziców.

Karolina przy okazji składania mi życzeń nie omieszkała oczywiście

nadmienić, że sukienka na niej i tak lepiej wygląda, a ja mam strzec jej jak oka w głowie (o co chodzi? Przecież nikt jej nie ukradnie...) i dbać o nią jak o królewski klejnot. Znajomi Michała okazali się przesympatycznymi ludźmi. Sporo w ich gronie było architektów, fotografików oraz ludzi z branży dekoratorskiej.

— Joanno, wszystkiego najlepszego. Żebyś nigdy nie miała powodu do smutku, za to wiele do śmiechu. Żeby wszystkie twoje plany i marzenia się spełniały, jedno po drugim. — W końcu nadeszła kolej na Michała.

— Michał, nie wiem, jak ci dziękować. Nikt nigdy nie zrobił mi takiej niespodzianki. Ja... — Jak zwykle nie pozwolił mi dokończyć, kiedy mu za coś dziękowałam. Pocałował mnie.

— Byłbym zapomniał. To dla ciebie — powiedział i wręczył mi małe pudełeczko udekorowane wstążką.

— Co to jest?

— Otwórz.

Otworzyłam. Ręce mi się przy tym trzęsły, nie chciałam uszkodzić wstążki. A w środku był...

— Michał, jest piękny! Ale przecież to za dużo, jak ja ci się odwdzięczę?! — wykrzyknęłam.

— Wystarczy, że ci się podoba. Zobacz, z tyłu ma grawer.

Przepiękny zegarek, misternie zdobiony maleńkimi kryształkami. Wyjęłam to cudo, obróciłam i przeczytałam: „Dla wyjątkowej kobiety. M.Z.”.

W tym momencie z sufitu spadło konfetti. Uwielbiam konfetti! Całe życie marzyłam, żeby mieć okazję stanąć w deszczu kolorowych drobinek. Tak jak w programach rozrywkowych, kiedy ogłasza się zwycięzcę i gdy wybuchają sztuczne ognie, gra muzyka, a laureat stoi ogłupiały, bo nie wie, czy ma skakać z radości, czy wyciągać te kolorowe papierki z oczu i włosów. Skąd on wiedział?!

Gdy konfetti opadło i wszyscy zdołali się nieco ogarnąć, na salę wjechał tort. Elegancki, dwupiętrowy, z owocami i napisem: „Dla wyjątkowej kobiety — sto lat, Joanno!”. Świeczki. Mama pstrykająca fotki swoim malutkim nikonem. Toast. Szampan. Taniec z moim mężczyzną, który, oczywiście, poruszał się jak mistrz. Prowadził pewnie i delikatnie zarazem, miał doskonałe wycucie rytmu. To było jak sen. Nadmiar szczęścia.

Wszystko działo się tak szybko, a ja byłam w takim szoku i uniesieniu, że ani się spostrzegłam, a wybiła północ. Taniec, chwila rozmowy z kimś znajomym bądź nowo poznanym, przekąska, taniec, pocałunek, taniec, chwila żartów. O północy dopiero poczułam, że nogi bolą mnie od tych niewygodnych szpilek i że znów wypięłam odrobinę za dużo. Michał tańczył z moją siostrą. Rodzice wyszli dziesięć minut temu, mówiąc na odchodnym: „Że też taki kawaler się ostał w tych czasach... coś podobnego!”. Usiadłam więc w kąciaku i zdjęłam buty, odczuwając

natychmiastową ulgę. I wtedy w moim nieco zamroczonym umyśle pojawiło się pewne pytanie. Gdzie jest Manu? Kurczę, ja chyba się powieszę. Jaka ze mnie przyjaciółka, skoro brak przyjaciela zauważam dopiero po ponad pięciu godzinach trwania imprezy?! Złapałam się za głowę.

Koło mnie pojawiła się Agata.

— Co, głowa cię boli? — zapytała zatroskana.

— Mańka nie ma — powiedziałam i przygryzałam wargę.

— Został zaproszony, możesz być tego pewna. Michał prosił mnie i Karolinę o zorganizowanie twoich znajomych i sama osobiście do niego dzwoniłam.

— I co? Powiedział, że przyjdzie?

— Tak. Też się dziwię, że go nie ma — zapewniła. — Nie dzwonił do ciebie ani nic? Skoro coś mu wypadło, to chociaż życzenia mógł złożyć.

— Kurde, telefon! — Poderwałam się na równe nogi i pobiegłam do szatni po torebkę, zapominając, że jestem boso, i po raz kolejny przeklinając swoją głupotę.

Przez cały wieczór bez przerwy coś się działo, ja się świetnie bawiłam i nawet do głowy mi nie przyszło, żeby zerknąć na komórkę. A tam trzy połączenia nieodebrane i SMS:

„Asia, przepraszam, że nie ma mnie na Twojej imprezie. Babcię zabrało pogotowie, siedzimy z Patrykiem w szpitalu. Myślami jestem z Tobą i przesyłam Ci najszczęśliwsze życzenia — miłości, nadziei i odwagi w realizacji marzeń. Postaram się wpaść do Ciebie jutro. Miłej zabawy”.

Autentycznie się zmartwiłam i było mi cholernie wstyd. Ja się tu bawię, a przyjaciel potrzebuje wsparcia. Zadzwoiłam, ale nie odebrał. Pewnie wciąż jest w szpitalu. Napisałam więc wiadomość z przeprosinami i zapewniłam go, że ja też jestem z nim duchem i kibicuję babci. Sumienie podpowiadało mi przy tym, że to trochę za mało, ale nic więcej nie byłam w tej chwili w stanie zrobić. Nie porzucę gości, nie uzdrowię babci. Jutro pojedę z nim do szpitala i spędzę tam cały dzień, obiecałam sobie, aby poczuć się odrobinę lepiej.

W tym momencie ktoś objął mnie od tyłu, odgarnął loki, które wymknęły się spod spinek, i pocałował w szyję. Te perfumy... Michał. Odwróciłam się.

— Tu jest moja kobieta. Dobrze się bawisz? Wyglądasz na zmartwioną — stwierdził.

— Bawię się wyśmienicie, naprawdę. To wszystko jest cudowne. Tylko... Maniek nie mógł przyjść. Jego babcia jest w szpitalu — odpowiedziałam.

— To ten przyjaciel, o którym mi opowiadałaś?

Kiwnęłam.

— W takim razie wielka szkoda. Chciałbym móc poznać wszystkich, którzy dużo dla ciebie znaczą. Ale na pewno będzie jeszcze okazja. Przekaż jego babci życzenia powrotu do zdrowia.

Michał wziął mnie za rękę i poprowadził do stolika. Po drodze zgarnęłam swoje buty, a on dwa drinki. Usiedliśmy z Arturem, kolegą Michała z czasów, gdy pracował jako architekt, i Agnieszką, jego dziewczyną. Agnieszka była bardzo wesoła i otwarta, pracowała jako kosmetyczka. W prezencie od niej otrzymałam karnet na dwa wybrane zabiegi w salonie i jeden masaż. Świetny prezent i wspaniałe lekarstwo na jesienną chandrę, która zwykle dopada mnie w listopadzie.

Wypiliśmy jeszcze po jednym drinku i ruszyliśmy na parkiet. Część gości już wyszła i trochę się przerzedziło. Zespół chyba też się zmęczył, bo muzycy siedzieli w Central Parku i dojadali tort oraz ciasteczka. Tymczasowo z głośników puszczono *Underneath your clothes* Shakiry. Nie wiem, czy to seksapil tej piosenkarki, czy jej głos, czy teksty — w każdym razie jej piosenki bez wyjątku działają na mnie pobudzająco. Pobudzająco do działania i podniecająco. Przy nich staję się kocicą. A w połączeniu z alkoholem — tygrysią.

Przysunęłam się bliżej do Michała i wtuliłam w jego ramię. On też mocniej przycisnął mnie do siebie i szepnął mi do ucha:

— Uwielbiam cię.

— Ja ciebie też — odpowiedziałam, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

Zabrzmiało prawie jak „kocham”, choć na to było chyba jeszcze za wcześnie. Kiedyś rozmyślałam, jak to jest — kiedy powinno się komuś powiedzieć, że się go kocha? Jak to powiedzieć? Alex, jedyny facet, który wcześniej powiedział do mnie te słowa, był ostrożny i się z tym nie spieszył. Pamiętam, że trochę mnie to bolało. Deklaracja, że jestem wspaniała i że chce ze mną być, po kilku miesiącach przestała mi wystarczać. Z Michałem wszystko wychodziło tak prosto i naturalnie, „kocham” wydawało się jedynie kwestią czasu. Czułam się przy nim wyjątkowa i nie miałam nic przeciwko temu, żeby jeszcze odrobinę poczekać.

Pocałowaliśmy się. Tym razem nie delikatnie i romantycznie, ale gorąco i namiętnie. Znów miliony motyli skrzydełek zatrzepotały mi w brzuchu. Miałam ochotę rozpiąć, nie, zedrzeć Michałowi koszulę i całować go do utraty tchu. Ojej, ale nie przy ludziach.

Michał odsunął mnie delikatnie i popatrzył mi w oczy. Chyba myślał o tym samym.

— Czy... — zaczął.

— Tak. Idziemy — odpowiedziałam natychmiast.

Pospiesznie pożegnaliśmy się z ostatnimi gośćmi, Michał w biegu poinstruował pierwszego kelnera, który się nawinął, by uprzątnął bałagan i zamknął restaurację, narzuciliśmy płaszcze na ramiona i wsiedliśmy do taksówki już czekającej na nas przed wejściem. Jak to możliwe?

— Joanno, czy... — znowu zaczął, ale nie dałam mu skończyć. Wiedziałam, czego chcę.

— Tak. Jedziemy do ciebie — powiedziałam stanowczo.

— Wybacz, musiałem zapytać — odpowiedział i kontynuował rozpoczęte na sali całowanie, nic sobie nie robiąc ze zgorszonego spojrzenia kierowcy odbijającego się w lusterku.

Nie wiem, kiedy dojechaliśmy na miejsce. Tym razem nie zwracałam uwagi na przestronny hol, windę ani wystrój wnętrza. Chciałam mieć swojego mężczyznę tu i teraz. Wpadliśmy do apartamentu jak burza, przewracając po drodze lampę i kwietnik. Teraz czas na scenę rodem z filmów emitowanych po godzinie dwudziestej trzeciej.

Ale jestem tylko człowiekiem, który ma też potrzeby fizjologiczne. Z wielkim żalem wyplątałam się z gorących objęć i zupełnie nieromantycznie wyszeptawszy „muszę siusiu”, pobiegłam do łazienki. A jak już byłam w tej łazience, to przy okazji, z lekką obawą, spojrzałam w lustro. Z mojej dość misternej fryzury niewiele zostało, sukienka trochę się wymięła, lewe oko nieco rozmazało, ale mimo wszystko wyglądałam nieźle. Jak kobieta szczęśliwa. I troszkę pijana.

Poprawiłam, co się dało, i poszłam szukać Michała. O, słyhać muzykę. Idąc za nastrojową melodią, trafiłam do przytulnej sypialni, w której już miałam okazję spędzić jedną noc. Tylko że teraz wyglądała zupełnie inaczej — wszędzie stały zapalone małe świeczki zapachowe, a na łóżku siedział mój cudowny facet w rozpiętej koszuli. Kiedy on to zdążył przygotować?! Mogę przysiąc, że w łazience nie byłam dłużej niż trzy minuty. Na mój widok Michał natychmiast wstał i znów zaczął mnie całować. Zdjęłam mu koszulę i przesunęłam dłońmi po idealnie wyrzeźbionym torsie, a on rozsunął zamek mojej sukienki, która miękko opadła na podłogę.

— Jesteś piękna — wyszeptał, wsuwając palce w moje włosy i tym samym rujnując resztki fryzury. Wziął mnie na ręce i położył na łóżku. Całował po szyi, po dekolcie, po brzuchu. A później... a później było cudownie.



Czemu poduszka się rusza i wydaje takie dziwne dźwięki? Jak zepsuty traktor. Otworzyłam z trudem jedno oko i zarejestrowałam, że jest już widno, a niesamowicie głośno warcząco-mrucząca kupa futra to nie poduszka, tylko Winston. Odwróciłam się na drugi bok, a kot miauknięciem wyraził swoje niezadowolenie, że się wiercę. Hi, hi, dziewczyny padną, jak im powiem, że spałam z dwoma facetami naraz. Na drugiej połowie łóżka na plecach leżał Michał. Niestety, nie dał mi popodziwiać odkrytego kaloryfera na brzuchu, bo zaraz otworzył oczy i widząc, że nie śpię, przyciągnął mnie do siebie. Wtuliłam się

w jego ramiona, a on pocałował mnie w czubek głowy.

— Jak się spało? — zagadnął.

— Wspaniale — zamruczałam. Dotarło do mnie, że niczego na sobie nie mam, a z powodu niedokładnie zmytego makijażu muszę wyglądać jak panda. Ale ponieważ Michał nie uciekał z wrzaskiem, jakoś mi to nie przeszkadzało. Mogłabym tak przeleżeć cały dzień.

Ale Michał niestety miał inne plany.

— Dochodzi jedenasta. Kawy? — zaproponował.

— Jasne — odpowiedziałam, chociaż najchętniej jeszcze bym się z nim trochę poprzytulała.

— Świetnie. W łazience, na półce po lewej, leżą czyste ręczniki, w szufladzie pod umywalką mam zapasową szczoteczkę. Jak chcesz, weź sobie z szafy którąś z moich koszulek — poinstruował mnie i wstał.

O Matko Przenajświętsza! Co za ciało.

— Coś nie tak? — zapytał, wkładając szlafrok, a ja zamknęłam buzię.

— Nic, nic. Po prostu, eee, ładnie wyglądasz — palnęłam.

— To ty ładnie wyglądasz. Co ja mówię, jesteś piękna. — Pocałował mnie i wyszedł z sypialni.

W szafie było chyba kilka tuzinów koszulek poukładanych według kolorów. Zdecydowałam się na granatową (była najdłuższa), zlokalizowałam swoją kopertówkę, w której udało mi się wczoraj upchnąć pół kosmetyczki, i poszłam wziąć prysznic.

Kiedy już odświeżona powędrowałam do kuchni, na lśniącym stole czekało na mnie cappuccino z mleczną pianką w ślicznej porcelanowej filiżance i rogaliki z dżemem. Jak to jest, do jasnej anielki, możliwe?! Michał objął mnie od tyłu i pocałował w kark. Mhm, skąd on wie, że ja to uwielbiam?

— Ślicznie pachniesz — wyszeptał. — Joanno, bardzo chętnie spędziłbym z tobą cały dzień, ale muszę jechać do restauracji i zobaczyć, jak się sprawy mają. Ty też wspominałaś, że planujesz się dzisiaj spotkać z Emanuelem, prawda?

Puknęłam się w łeb. Znowu!

— Jasne. Kurczę, muszę do niego zadzwonić, dzięki za przypomnienie.

— W takim razie pozwól, że teraz ja wezmę prysznic. Smacznego.

— Dziękuję — powiedziałam i się pocałowaliśmy. Namiętnie. On chyba jednak też miał ochotę się jeszcze poprzytulać.

— Kobieto, nie całuj mnie tak. Jestem tylko facetem. Myślisz, że ile mam silnej woli? — Zaśmiałam się. — Zaraz cię zaniosę z powrotem do łóżka i nie wyjdziemy z niego przez następne trzy dni.

Jednak obowiązki wzywają. Podczas gdy Michał brał prysznic, ja wypiałam najlepsze i najładniej podane cappuccino, pozbierałam swoje rzeczy porozrzucane wczoraj po całym mieszkaniu i włożyłam wczorajszą sukienkę. Znalazłam swój

telefon, ale okazało się, że przez noc całkowicie się rozładował. „Zadzwoń do Mańka zaraz po tym, jak wrócę do siebie” — obiecałam sobie w myślach.

Ponieważ samochód Michała został pod „New York Dream”, wzięliśmy jedną taksówkę. Podczas jazdy trzymaliśmy się za ręce jak dzieciaki z liceum. I podobało mi się to! A myślałam, że z tego wyrosłam. Cóż, widocznie z miłości się nie wyrasta.

Kiedy wysiadałam przy swoim bloku, powiedział jeszcze raz te najcudowniejsze słowa:

— Uwielbiam cię. Miłego dnia.

— Wzajemnie. Dziękuję za wszystko. — Pożegnałam się i ruszyłam w kierunku klatki schodowej.

W podskokach pokonywałam kolejne stopnie, do mieszkania wpadłam jak burza, potykając się o leżące na środku korytarza botki Agaty i przewracając taboret.

— Wróciłam! — obwieściłam radośnie współlokatorkom.

— Czas najwyższy! — odrzyknęła Karolina. — Siadaj tu i opowiadaj, ale już. A to za wyłączenie telefonu! — Zdzieliła mnie ścierką. — My się martwimy, a ty się zabawiasz!

— Rozładował się! — próbowałam się bronić. — O, popatrz! — Wyciągnęłam telefon nieokazujący żadnych oznak życia na dowód.

— Dobra, dobra, ja tam swoje wiem. Wy kizi-mizi, a my tu umieramy ze strachu.

— Chyba z zazdrości! — odpaliłam. — Było cudownie, co tu dużo gadać. I na imprezie, i po...

— No ja myślę, że po też. Jak tam moja sukienka? — Karolina nie omieszkała zapytać, przyglądając mi się uważnie. A więc to o sukienkę tak się martwiła, małpa jedna.

— Jest cała i zdrowa, nie panikuj. Do jutra będzie wisiała uprana w twojej szafie. Idę podłączyć telefon i zadzwonić do Mańka.

— Był tu jakieś pół godziny temu — oznajmiła Agatka znad jakiejś gazety.

— Teraz mi mówisz?! — oburzyłam się.

— A kiedy ci miałam powiedzieć? Dodzwonić się do ciebie nie można. Zostawił ci prezent w pokoju. I plecak.

— Jaki plecak? — zdziwiłam się.

— No plecak, normalny. Sama zobacz — powiedziała i wróciła do czytania.

Faktycznie, na moim łóżku leżał plecak Mańka, ten, z którym zwykle chodził na uczelnię. Może go po prostu zapomniał? Obok zauważyłam torebkę z prezentem. W rogu pokoju piętrzył się natomiast dość pokaźny stosik prezentów, które dostałam wczoraj, a które dziewczyny przetransportowały mi do mieszkania. Później wszystko dokładnie obejrzę. Najpierw zajrzałam do torebki od Mańka

i wyciągnęłam z niej małe pudełeczko i dość sporą kopertę. Najpierw pudełeczko. W pudełeczku był wisiorek — bursztynowy aniołek w srebrnej oprawie, na srebrnym łańcuszku. Śliczny. Uśmiechnęłam się i od razu zapięłam łańcuszek na szyi. Coś czuję, że rzadko będę się z nim rozstawać. Jeśli w ogóle.

Teraz koperta. W środku była kartka zapisana równym i czytelnym pismem i płyta CD. Przeczytałam:

„Asia, z głębi serca życzę Ci wszystkiego najlepszego. Uśmiechu na twarzy, samych wartościowych ludzi na Twojej drodze, dobrych decyzji i powodzenia w realizacji planów. I przede wszystkim — odwagi. Jak napisał Cejrowski: »Człowiek cywilizuje i trzebi dzikość na planecie Ziemia. To samo robi też we własnym wnętrzu: marzenia przycina do możliwości, plany do okoliczności, pomysły do konwenansu«. Nie pozwól, by tak się stało. Żyj pełnią życia, bo zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

Manu

PS Pamiętaj nasz wakacyjny wypad nad jezioro i do mojej babci? Na płycie są wszystkie zdjęcia, które wtedy zrobiłem. Dzięki Tobie i sesji na posiadłości pana Henryka wygrałem nowy sprzęt fotograficzny i darmowy kurs, o czym od dawna marzyłem. Jesteś świetną modelką. Byłabyś też wspaniałą aktorką. Dziękuję”.

Znowu się wzruszyłam. Przez niego właśnie dopadają mnie wyrzuty sumienia, że nie potrafiłam się nikomu postawić, rzucić swoich studiów i poszukać czegoś, co mnie interesuje. Że jestem cholernym leniem, bo są przecież osoby, które ciągną po dwa kierunki, pracują, wyjeżdżają, doksztalcają się, gdzie tylko mogą, poznają nowych ludzi i mają jeszcze miliony innych zainteresowań. A ja się męczę z jednym zniechęcającym kierunkiem, roznoszę i szoruję talerze, narzekam ile wlezie, zamiast coś wreszcie ze sobą zrobić.

Uruchomiłam komputer i włożyłam płytę. No, włączaj się szybciej! Jest. Ooo!

— Ooo! — wyrwało mi się.

— Cooo?! — dobiegło z kuchni.

— A zobaczcie sobie.

Przybyły, zobaczyły i nie uwierzyły.

— Aśka, to ty?! Nie może być! — Agata pobiegła po okulary.

— Jak „Tap madl”, no nie? — wyszczerzyłam się.

— Raczej jak Marusia z *Czterech pancernych i psa* wypatrująca swojego żołnierza. Ale zdjęcia wyszły genialne — pochwaliła Karolina. — A pokaż te krajobrazy. O matulu, jak tam ładnie!

Wszystkie zdjęcia były przepiękne, naturalne i profesjonalne zarazem. Wyglądały, jakby nie użyto do ich obróbki Photoshopa. Ale to przecież niemożliwe, żebym ja tak wyglądała bez porządnego makijażu i choćby niewielkiej obróbki graficznej! Było też kilka zdjęć babci, zrobionych ukradkiem, były kwiaty

w ogródku, był Szarik i była czarna kotka. Przepiękna pamiątka.

— Asia, a czemu plecak Mańka się rusza? — zapytała Agata.

— I piszczy — dodała Karolina. — Już od pewnego czasu.

— Co wy gadacie? — oderwałam się od oglądania zdjęć i spojrzałam na plecak. — Otwórzcie i zobaczcie, co on tam schował, bo ja się boję. Jeszcze co wyskoczy.

Karolina odsunęła zamek.

I wyskoczyło. Białe maleństwo.

— Aaaa, jaki cudny! — Agata porwała kociaka na ręce. — Przecież by się tam udusił!

— O matko, pokaż! — Karolina zabrała jej kotka. — Widziałaś, co on ma na pleckach? Słodziak!

— Nie widziałam! Pokaż go! — Natychmiast się poderwałam.

Kociak nie mógł mieć więcej niż dwa–trzy miesiące, był maleńki. Miał wielkie zielone oczy i przesłódką czarną łatkę w kształcie serduszka na grzbiecie. A na ogonku przywiązana karteczkę z napisem: „Jestem Amorek”.

Rozpłynęłyśmy się z nadmiaru tej słodyczy.

— Wody mu dam! I szyneczki! — Agata pognała do kuchni.

— A ja wreszcie dzwonię do Mańka. Co on sobie myślał, nie słyszał nigdy, że nie robi się zwierzęcych prezentów bez wcześniejszych konsultacji?!

— Aśka, daj spokój. I tak dobrze wiesz, że kota zatrzymasz. A jak ty nie zatrzymasz, to ja to zrobię i tak czy inaczej tu zamieszka. Zakochałam się, no. Co poradzę? — Karolina ścisnęła go tak, że mało mu oczy z orbit nie wylazły.



Amorek okazał się bardzo pojętnym kociakiem. W mig załapał, o co chodzi z kuwetą i... to tyle. Poza tym wybitnym osiągnięciem robił, co mu się podobało — zasypiał na moich wyjściowych czarnych spodniach, huśtał się na firance, obgryzał listki naszego jedyne, marniutkiego kwiatka i nawet udało mu się strącić z półki czerwony lakier do paznokci, dzięki czemu mój pokój wygląda jak miejsce zbrodni. Jak go nie kochać?

Nawiasem mówiąc, dobrze, że te kilka dni po urodzinach moje życie kręciło się wokół kociaka, bo inaczej bym zwariowała. Właściwie to już zaczynałam sobie rwać włosy z głowy... No bo powiedzcie, który facet organizuje dziewczynie imprezę życia, wspinając się na wyżyny romantyzmu, spędza z nią upojną noc, po czym jedyne, na co go stać, to SMS: „Jestem trochę zajęty, odezwę się wkrótce. Całuję, pa”? Ja wiem, że moje życie to niekończące się pasmo spektakularnych wpadek i gaf, ale serio, nie pamiętam, żebym palnęła cokolwiek w ciągu tych ostatnich godzin z Michałem. A tu poza tym jednym niezbyt optymistycznym

SMS-em od dwóch dni ani słowa. Od euforii do rozpacz. Od liryki do dramatu. Jak, kurna, zawsze.

Jak na złość z Mańkiem również nie mogłam się skontaktować. Chciałam mu podziękować za prezent, zapytać o zdrowie babci, pogratulować wygranej w konkursie. A tu kłapa! Wyglądało na to, że się mijamy, a może on też z premedytacją mnie unikał? Nie! Niemożliwe. Ale te zajęcia na uczelni o dziwnych porach, nieodbieranie telefonu... to daje do myślenia. Co, do jasnej anielki, jest ze mną nie tak?! Czemu po prostu nie może być dobrze przez jakiś czas? Przed oczami pojawiła mi się sinusoida zmierzająca do nieskończoności. Góra, dół, góra, dół. Im lepiej się wszystko układa, tym szybciej później spada na łeb na szyję...

Ale ja naprawdę potrzebowałam przyjaciela. Byłam ciekawa, jak sobie radzi, martwiłam się, co z jego babcią. Wybrałam numer jeszcze raz. Trzeci sygnał, dziesiąty. Szlag by to trafił! Jadę do niego.

Jeszcze zanim dotarłam na przystanek, zaczęłam żałować, że nie włożyłam cieplejszej kurtki. Jesień w pełni. Nawet w tramwaju, mimo tłoku, zdążyłam zmarznąć. Wsiadłam, przeszłam kilka kroków i... co ja widzę?! Przebiegłam przez ulicę na czerwonym świetle, wymachując rękami jak wariatka.

— Manu! — Dopadłam drzwi samochodu. — Czekaj, jadę z tobą! — Bez ceregieli wpakowałam mu się do auta.

Patrzył na mnie jak na ducha.

— Asia?

— A kto inny? — odparowałam. — Dokąd jedziemy?

— Do szpitala po babcię. Dziś wychodzi.

Obejrzałam się do tyłu. Na tylnym siedzeniu grzecznie warował Szarik, a na mój widok zamierdał radośnie ogonem. Szkoda, że tylko on. To znaczy szkoda, że tylko on ucieszył się na mój widok.

Coś wisiało w powietrzu. Maniek był z natury małomówny, ale nawet ślepy by dostrzegł, że tym razem to nie jest dobra cisza. Nie ta swojska cisza, gdy zwyczajnie siedzisz obok bliskiej osoby, wiesz, że wszystko jest na swoim miejscu, i to wystarcza. To był ten inny rodzaj ciszy, pełnej niedopowiedzeń, która oplata cię z każdej strony i wywołuje jakiś dziwny niepokój. Cisza, którą boisz się przerwać.

Milczałam więc przez całą drogę, bijąc się z myślami. O co chodzi?

— Zaczekaj tu, OK? Ja pójdę porozmawiać z lekarzem — powiedział Manu, parkując przed szpitalem. Wsiadł, trzasnął drzwiami i nawet się nie obejrzał.

Telefon. Kto? Agatka.

— Asia? Gdzie ty jesteś? Idę szukać kozaków do galerii, myślałam, że pójdziesz ze mną.

Streściłam jej pokrótce, gdzie jestem i co robię.

— Agata, może ty mi powiesz, o co chodzi, u licha? Wiem, że trochę go ostatnio zaniedbałam, ale tyle się działo... Staram się jakoś znowu złapać kontakt z Mańkiem, ale wygląda na to, że się zamknął na amen. Czemu nie jest tak jak dawniej? — Głos zaczął mi drżeć.

Chwila ciszy.

— Dobra, powiem ci, tylko mi nie przerywaj i się nie denerwuj, OK?

— Jasne.

— Wiem, że ty nie dopuszczasz do siebie tej myśli, ale on chyba naprawdę coś do ciebie czuje. A że w twoim życiu pojawił się Michał, to Manu się trochę wycofuje. — Agata ostrożnie dobierała słowa.

— No dobra, załóżmy, że masz rację i faktycznie coś do mnie czuje. Ale dlaczego nigdy nie dał mi tego odczuć? Nie powiedział? — Dalej coś mi nie pasowało.

— Przecież ty go znasz lepiej. On raczej nie jest z tych, co otwarcie walczą. W tym wypadku chyba te drobne gesty, wspieranie, ciepłe słowa... To znaczy coś więcej.

Shit! To już brzmi bardziej prawdopodobnie. Gdyby nie pojawił się Michał, to historia mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej. Jest w tym jakiś sens.

— Zaczynasz mnie przekonywać. Ale zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz. Z Michałem spotykam się od jakiegoś czasu. Fakt, że już od kilku tygodni między mną i Mańkiem coś się zmieniło, ale dopiero teraz widać to tak wyraźnie. Czemu odciął się tak nagle? Jeszcze kilka dni temu zostawił Amorka, życzenia urodzinowe, a dziś zachowuje się, jakby mnie nie znał — dociekałam dalej.

— Wiesz... on właściwie wcześniej nie widywał cię z Michałem. A gdy przyszedł zostawić ci prezent, to Karolina, hmm, mogła coś palnąć, że zostałam u niego na noc. I miałyśmy na kompach włączone zdjęcia z imprezy. Jak się całujecie. Sorki... — Wrażliwa Agatka musiała przeżywać katusze, informując mnie o tym. — Tak jakby... mogło go to dobić.

A ja? Poczulałam, jakby świat mi się zaczął walić. Milion myśli kłębiło mi się w głowie. Jeśli Agata miała rację... Czy to znaczy, że będę musiała wybrać? Czy związek z Michałem oznaczał, że stracę najlepszego przyjaciela? Zaczęło do mnie docierać, że to po prostu niemożliwe, by wciąż było jak dawniej. Ale ja nie chcę, żeby coś się zmieniło! Chcę być szczęśliwa ze swoim idealnym facetem i chcę mieć obok kumpla, z którym rozumiałam się tak dobrze jak z nikim innym. Nie chcę wybierać, nie chcę rezygnować... Dlaczego to jest takie trudne?

Przez szybę zobaczyłam Mańka prowadzącego babcię pod rękę. Staruszka jakby się nieco przygarbiła, pomiędzy kruczoczarnymi włosami pojawiło się jakby więcej srebrnych nitek. Ale figlarny błysk w oku jak mały chochlik — pozostał. Wysiadłam z auta, pomogłam im schować torbę, a babcia uściskała mnie mocno.

— Jesteś. Dobrze — powiedziała tylko.

Hmm, ja tam nie wiem, czy dobrze.

Jechaliśmy znów w kompletnej ciszy. Miałam ochotę jak zwykle pogrzebać w schowku w poszukiwaniu płyt i włączyć jakąś muzykę, ale się powstrzymałam. To chyba byłoby nie na miejscu? Sama nie wiem.

Skupiłam się na oglądaniu widoków za oknem. Wąziutka wiejska droga i malownicze drewniane domki po obu stronach. Tutaj jesień wyglądała zupełnie inaczej niż w centrum Krakowa. Widać i czuć, jak cała przyroda przygotowuje się do nadchodzącej zimy. Kiedy ostatnio tędy jechaliśmy? To już będzie ładnych kilka miesięcy! I tyle w tym czasie się wydarzyło. Obiecywaliśmy sobie, że znów wybierzemy się nad jezioro, razem odwiedzimy babcię. I jakoś tak wyszło, że na tych obiecankach się skończyło. To już tutaj? Przed wejściem zobaczyłam czekającą czarną kotkę. Zaraz, ktoś chyba jest w domu. Aha, to sąsiadka, Manu coś wspominał, że zaglądała tutaj pod nieobecność babci. Szarik wyskoczył z auta jak oparzony, biegł z jednego końca podwórka na drugi, sprawdzając, czy nic się nie zmieniło. Wypakowaliśmy zakupy, pomogłam babci zanieść wszystko do domu. Maniek oznajmił, że pójdzie ogarnąć nieco zapuszczony ogródek i uprzątnąć liście. Ja z braku lepszego pomysłu zaproponowałam pomoc w przygotowaniu obiadu.

Babcia uparła się, że będą pierogi.

— Może coś szybszego, prostszego? Manu wszystko kupił, pani chyba powinna oszczędzać siły.

— Dziecko, jak mówię, że pierogi, to pierogi. Siadaj tu i patrz. Tego przepisu nigdzie nie znajdziesz.

Patrzyłam więc, posłusznie podając babci składniki, a gdy już przygotowała ciasto, lepiłam pierogi razem z nią. Było w tym coś takiego, bo ja wiem... kojącego? Próbowałam podpytać ją o zdrowie, ale niezbyt chętnie opowiadała o wizycie w szpitalu. Z jej wypowiedzi udało mi się wyłowić tylko tyle, że musi pamiętać o lekarstwach, uważać na siebie i regularnie pojawiać się u lekarza na kontrolę. Za to babci udało się sporo ze mnie wyciągnąć.

— Smutna jakaś jesteś.

Jasne, przed czujnym okiem babci nic się nie ukryje.

— Sercowe sprawy?

Kiwnęłam. I jakoś tak wszystkie tamy puściły. Rozpłakałam się jak dziecko i powiedziałam babci tyle, ile mogłam. O cudownych chwilach z Michałem, który teraz nie raczy nawet oddzwonić, i o tym, jak kontakt z Mańkiem zaczął się nam urywać. Nawet o swojej frustrującej pracy przy roznoszeniu talerzy i braku pomysłu na siebie. Tak bardzo chciałam, żeby ta starsza pani coś mi doradziła. Nie tak jak przyjaciółki, które podpowiadały, żebym zmieniła sobie status związku na „to skomplikowane”... Coś, co dodałoby mi otuchy i pomogło obrać jakiś kierunek. Ja tak bardzo chciałam być po prostu szczęśliwa...

Babcia wytarła ręce, podeszła do mnie i odgarnęła włosy opadające na moje

zapłakane oczy.

— Cóż... to jest dorosłość. Dziecino, ja wiem, że to piekielnie trudne. Nagle odkrywasz, że istnieje gradacja wartości i prawo wyboru. A jak człowiek wybiera jakiś sposób postępowania, to również wpływa na drugiego człowieka. Taka odpowiedzialność. Łatwo kogoś skrzywdzić, a najłatwiej siebie samego. Każda decyzja to zawsze wybór, szamotanina z własnym sumieniem. Nie przewidzisz konsekwencji każdej decyzji, ale najważniejsze, by odrzucić to, na co w sercu nie ma zgody.

Chlipnęłam.

— A teraz wytrzymaj nos, bo się nam woda gotuje. Jak teraz pada deszcz, to znaczy, że wkrótce przestanie. Wyjdzie słońce, zrobi się ciepło, to ponarzekamy na upał. I tak w koło Macieju.



Spotkałam się w końcu z Michałem, jednak to spotkanie było zupełnie nie takie, jak sobie wyobrażałam. Owszem, komplementował mnie jak zawsze, pytał, co u mnie, ale miałam wrażenie, że myślami błądzi gdzieś daleko stąd. Ja czułam się jak między młotem a kowadłem — z jednej strony chciałam wiedzieć, o co chodzi, z drugiej strony bałam się naciskać. Wciągając kolejną babeczkę z czekoladą, nie wytrzymałam i wypaliłam:

— Czy coś się stało?

— Ależ skąd, wszystko w porządku — odpowiedział pospiesznie, patrząc gdzieś ponad czubkiem mojej głowy.

Aha. Kobieca intuicja mówiła mi, że to nie to samo „w porządku”, które było jeszcze podczas moich urodzin. Co się zmieniło?

— A czemu pytasz? — zainteresował się.

— Bo jesteś jakiś inny — powiedziałam zgodnie z prawdą.

— Inny? Czyli jaki? — drążył.

— Nieobecny. Jakbyś myślał o czymś... o kimś innym — wyjaśniłam i sama się tym wyjaśnieniem przeraziłam. O kim mógłby myśleć?

— Słońce, co ty opowiadasz? O kim mógłbym myśleć, mając taką piękną dziewczynę? — powiedział i pocałował mnie w policzek.

Przełknęłam kolejną babeczkę. Racja — o kim mógłby myśleć? Nie miałam ochoty ciągnąć tej rozmowy, nie zmierzała w dobrym kierunku. Być może ma jakieś problemy w restauracji, cokolwiek. Nie ma sensu wymyślać sobie nowych zmartwień i gdybać.

— Idziemy się przejść? — zaproponowałam.

— Jasne.

Wyszliśmy z kawiarni i ruszyliśmy w kierunku mostu. Lubiłam spacerować

wzdłuż Wisły, to chyba moja ulubiona trasa spacerowa. Płynąca woda ma w sobie coś kojącego, mogłabym wpatrywać się w nią godzinami. Było chłodno, ale za to prawie bezwietrznie. Spacerowaliśmy dobre dwie godziny, niewiele rozmawiając. Sama nie wiem, kiedy znaleźliśmy się przy samochodzie Michała.

— Starczy tego spacerowania, bo mi tu zamarzniesz — powiedział Michał, otwierając przede mną drzwi po stronie pasażera. Rzeczywiście, dłonie miałam już -lodowate.

— Odwieszysz mnie do domu? — poprosiłam.

— Zapomnij. Porywam cię — powiedział z uśmiechem, mrugnął, pocałował mnie w szyję, a ja jak zwykle poczułam dreszcz podniecenia. Może rzeczywiście wszystko jest OK i tylko moja rozbijała wyobraźnia ostatnio płata mi figle?

Gdy dotarliśmy na miejsce, mój facet od razu zadbał o romantyczny nastrój. Włączył muzykę i obiecał zrobić mi najlepszego drinka na świecie. Siedziałam na idealnie wypolerowanym kuchennym blacie i przyglądałam się, jak zręcznie miesza wszystkie składniki. Chwilę to trwało. W tym czasie rozejrzałam się po pomieszczeniu i nie mogłam się nadziwić tym wszystkim stylowym, a jednocześnie funkcjonalnym rozwiązaniom. Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie. Byłam tu już kilka razy i właściwie zawsze mieszkanie Michała robiło na mnie wrażenie. Ale teraz jakoś inaczej... poczułam się jak w jakimś luksusowym hotelu. Wszystko takie idealne, drogie, wręcz snobistyczne... miejsce, w którym człowiek świetnie się bawi, korzysta z wolnych chwil, stara się zapamiętać każdy szczegół. Ale nie miejsce, w którym mieszka się na co dzień. Luksusowe, a jednak nie swoje. Czy to w ogóle ma sens? Moje rozmyślania przerwał włożony w dłoń zimny drink.

— Dzięki — powiedziałam.

Kolorowe dzieło rzeczywiście było przepyszne. Wypiłam do dna i poprosiłam o kolejnego.

Przenieśliśmy się na kanapę w salonie i zaczęliśmy się całować. Michał błądził rękami po moich plecach, zjechał niżej, na pośladki... Zaraz. Coś tu nie gra. Alkohol nieco przytępił moją zdolność logicznego myślenia, ale nie kobiecą intuicję, która nadal działała bez zarzutu. Seks dla seksu, a seks z miłości to dwie różne rzeczy. Odsunęłam go lekko i spojrzałam mu w oczy. Nie myliłam się. Gdzie jest ta czułość, którą widziałam w nich jeszcze kilka dni temu? Wyparowała?

— Michał...

— Tak? — Nadal przyciągał mnie do siebie.

— Nie mogę. Proszę, zamów mi taksówkę.



Ząb, przez którego kiedyś o mało nie straciłam pracy, znów dał o sobie znać. Koszmarny ból i spuchnięty policzek. No tak, sama byłam sobie winna. Dentysta

po oczyszczeniu i zapchaniu dziury jakimś lekarstwem, kazał mi zrobić zdjęcie rentgenowskie i stawić się do kontroli, a ja oczywiście w nawale obowiązków i ostatnich zdarzeń zupełnie o tym zapomniałam. Nie zwracałam nawet uwagi na lekkie pobolewanie w trakcie picia gorących czy zimnych napoi. Dziś była niedziela, a ja otumaniona końskimi dawkami paracetamolu prawie biegałam po ścianach. Jaki dentysta przyjmie mnie w niedzielę?! Próbowałam dodzwonić się do szwagra, ale nie odbierał. Wybrałam więc numer siostry. Okazało się, że jej mąż jest na jakimś kilkudniowym szkoleniu, jeszcze nie wrócił. To co ja mam teraz zrobić? Wujek Google nie był skory do pomocy, wszystkie najbliższe placówki dziś zamknięte. Z braku pomysłu zadzwoniłam do mamy. Przecież każde dziecko dzwoni do mamy, gdy ma problem.

— Jak mogłaś doprowadzić się do takiego stanu?! — usłyszałam to, czego się spodziewałam.

— Mamo!

— I co ja ci mam teraz poradzić?

— Nie wiem, ale ja już nie wytrzymam — wyłam do słuchawki. — Nie wiesz, gdzie by mnie przyjął jakiś dentysta? Jakikolwiek?

— A niby skąd? Marek prędzej by wiedział.

— Dzwoniłam, jest na szkoleniu i nie odbiera.

— W niedzielę? — zdziwiła się mama.

— No w niedzielę, ale mamo, jakie to ma teraz znaczenie?! Ja umieram!

— Przy Strzeleckiej jest chyba jakieś pogotowie stomatologiczne — przypomniała sobie moja rodzicielka. — Jedź tam, chyba muszą cię przyjąć.

No to pojechałam, owinąwszy się wcześniej szczelnie szalikiem. Szpital łatwo było namierzyć, z samym oddziałem stomatologii już trudniej, ale dałam radę. Na szczęście nie było kolejki, kto by tam miał ochotę na cierpienie w niedzielę. Na miejscu zastałam jakąś znudzoną dziewczynę siedzącą w mikroskopijnym pomieszczeniu pełnym segregatorów. Popijała kawkę i czytała jakąś powieść, chyba romansidło, sądząc po okładce.

— Słucham — raczyła w końcu podnieść głowę i spojrzeć na moją cierpiącą osobę.

— Boli. — Wskazałam na opuchnięty policzek. — Pomocy! — wystękałam

— Pani się nazywa... Pierwszy raz?

Podaliśmy dziewczynie dowód osobisty, odpaliła komputer i zaczęła wstukiwać moje dane. Trwało to całą wieczność, a przynajmniej tak mi się zdawało.

— Doktor Staniszewski panią przyjmie. Proszę, gabinet obok.

Wysłałam, zastukałam do drzwi i wślizgnęłam się ostrożnie do środka. Borze szumiący! Facet miał chyba ze dwa metry wzrostu i posturę boksera wagi ciężkiej. Rozejrzałam się po gabinecie. Na widok białego fotela i tych wszystkich narzędzi

tortur kolana się pode mną ugięły.

— Pani siada. — Bokser wskazał mi fotel, nawet na mnie nie patrząc. —
Który?

— Dolna piątka.

Zajrzał, obejrzał.

— Zgorzel miazgi — oznajmił i odwrócił się w moją stronę, trzymając w ręce strzykawkę monstrualnych rozmiarów. Zanim zdążyłam uciec czy choćby wrzasnąć, bez ceregieli złapał mnie za szczękę i wbił igłę w moje biedne dziąsło.

— Aaaaa! — w końcu udało mi się powiedzieć.

— Znieczulenie — wyjaśnił.

Tylko czemu podanie znieczulenia tak cholernie boli? Przecież znieczulenie z założenia powinno eliminować ból, gdzie w tym logika? Nie minęło dziesięć sekund, jak bokser znów zbliżył się do mnie, tym razem z wiertłem. Ej, ale czy po podaniu znieczulenia nie powinno się chwilę odczekać, aż zacznie działać?!

— Aaa! — A ja myślałam, że wcześniej mnie bolało! Za jakie grzechy?! —
Aaa! — Próbowałam przekrzyknąć odgłosy wiercenia, ale facet kompletnie nic sobie z tego nie robił. Trzymał mocno. Wszystkie kary na mnie idą!

— To by było na tyle — powiedział w końcu, wpychając do powstałego otworu jakiś wacik. — Pani zmienia opatrunek po każdym jedzeniu, dla higieny. Zrobi zdjęcie rentgenowskie i wróci. Bez zdjęcia nie da rady.

Aha, niedoczekanie twoje. Przysięgam, że już tu nie wrócę.

— Ale co z tym zębem? — próbowałam się dowiedzieć, jakie atrakcje jeszcze mnie czekają.

— Stan zapalny. Albo leczenie kanałowe, albo do usunięcia. Na razie otwarty, opuchlizna powinna schodzić. Można brać coś przeciwbólowego. Do widzenia. — Bokser prawie wypchnął mnie za drzwi. Zero empatii.

Wracałam autobusem, a pozostali pasażerowie jakoś dziwnie mi się przyglądali. Co jest? Wyjęłam z torebki lusterko i już załapałam. Po brodzie strużkami ciekła mi ślina, prawą połowę twarzy nadal miałam opuchniętą, a teraz dodatkowo sparaliżowaną, bo znieczulenie nareszcie zaczęło działać. Pociuszające było tylko to, że chwilowo ból stawał się coraz lżejszy, bardziej znośny, a w końcu przerodził się w delikatne pulsowanie. Wytarłam brodę i zaczęłam kalkulować. Na pogotowie już nie wrócę, to pewne. Gdzie znajdę dentystę, który mnie przyjmie i zrobi zdjęcie jutro, najlepiej z samego rana? Pewnie będę musiała pójść prywatnie. Myśli o usunięciu zęba nie dopuszczałam. Leczenie kanałowe to minimum pięćset złotych, a patrząc na to, co zostało z mojej biednej piątki po ataku boksera, potrzebna będzie jeszcze korona. W najlepszym wypadku tysiąc. Wspaniale.

Dowleklam się w końcu do mieszkania. Byłam głodna jak wilk, ale niezbyt uśmiechało mi się gryzienie czegokolwiek w tym stanie. Zajrzałam do lodówki —

uff, jest jeszcze jeden jogurt.

Do kuchni weszła Agata.

— Co ci się stało?! — wykrzyknęła autentycznie przerażona moim widokiem.

— Ząb — wyjaśniłam, wycierając jogurt kapiący na stół. Wciąż nie czułam dolnej szczęki i języka.

— Bidulka. — Przyjaciółka pokiwała głową ze współczuciem. — Zadzwoń sobie do Michała, niech przyjedzie i cię pocieszy.

— Chyba nie jestem w nastroju — odparłam, zgodnie z prawdą.

Sama nie wiem dlaczego, nie potrafiłam sobie wyobrazić Michała przytulającego mnie w tym wydaniu. Obolałą, opuchniętą, z paraliżem twarzy. W ogóle nie potrafiłam sobie wyobrazić Michała w naszym małym, studenckim mieszkaniu. Rozejrzałam się wokół: najtańsze biurko z IKE-i, kulawe krzesło, stare zasłony, kilka doniczek z marnymi kwiatkami, książki i notatki walające się po podłodze. Zawsze umawialiśmy się na mieście, czasami łądowniśmy u Michała. U niego wszystko było zawsze takie perfekcyjne, on był perfekcyjny. Ja też starałam się, jak mogłam — planowałam z wyprzedzeniem, w co się ubiorę na naszą randkę, zawsze się malowałam. Starałam się być sobą, ale najlepszą wersją siebie samej. Zadbaną, zawsze uśmiechniętą, elokwentną. Nie widział mnie chorej czy smutnej i wolałabym, żeby tak zostało. Szczególnie, że ostatnio między nami działo się coś dziwnego i nie mogłam dojść do źródła tego dziwnego uczucia.

Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nauka nie wchodziła w grę, nie miałam też ochoty nigdzie wyjść. Zresztą wystawianie opuchniętego policzka na działanie wiatru i zimna to nie byłby dobry pomysł. Może obejrzę jakiś film? Albo chociaż muzyki sobie posłucham. Poszłam do swojego pokoju, rozłożyłam się na łóżku i włączyłam laptopa. Amorek pojawił się znikąd i bezceremonialnie władował mi się na kolana. O, Manu jest dostępny na Facebooku. Odruchowo kliknęłam ikonkę z jego zdjęciem i zaczęłam pisać:

Joanna Kowalik: Cześć. Co u Ciebie? Nie zgadniesz, co ja dzisiaj przeżywałam.

Już miałam kliknąć enter, gdy coś mnie powstrzymało. Wykasowałam wiadomość. Czy on w ogóle ma ochotę ze mną rozmawiać? Po ostatniej wizycie u jego babci po prostu odwiózł mnie do domu, nie mówiąc ani słowa, i od tego czasu zupełnie nie miałam z nim kontaktu. Jeśli Agata miała rację (a pewnie miała), to mój najlepszy kumpel postanowił zakończyć naszą znajomość. Ale czemu tak po szczeniacku, bez rozmowy ze mną? Skoro zależało mu na mnie inaczej, niż zawsze sądziłam, to czemu nigdy nie powiedział tego na głos? Agatka twierdziła, że u niego gesty znaczą więcej niż słowa. Pewnie tak... w końcu to rasowy introwertyk, przeżywający wszystko wewnątrz, odkrywający przed innymi tylko kawałeczek (przede mną chyba troszkę większy) swojego świata.

Rozumiałam i szanowałam to, sama w końcu miałam w sobie coś z natury skrytego wrażliwca. Z tym że ja poza tym byłam też kobietą, a kobiety lubią wyjaśnienia. No ale do wyjaśnień nikogo nie zmuszę... nie będę się narzucać.

Po dłuższym bezmyślnym klikaniu ikonek na pulpicie znalazłam w końcu ulubioną składankę na smutne dni. Założyłam słuchawki na uszy i odpłynęłam.



„Praktycznie każde przedsiębiorstwo stosuje jakiś model biznesowy. Określenie, z jakiego modelu firma będzie korzystała, wydaje się co najmniej równie ważne, jak stworzenie dobrego biznesplanu i może być podstawą osiągnięcia wysokiej dochodowości, a także przewagi konkurencyjnej w danym sektorze”. — Ziew, łyk kawy. — „Model biznesowy to system ściśle określonych elementów i założeń dotyczących branży, klientów, ich potrzeb, sposobu prowadzenia działalności, generowania wartości, zysku, które to muszą być do siebie ściśle dopasowane”⁵.

Siedzę nad tym projektem już od kilku godzin, choć z odrobiną dobrej woli można byłoby go skończyć w godzinę. Ale co ja poradzę, że totalnie nie mogę się skupić. Po raz tysięczny puszczam piosenkę *Give me something* Seafret i drapię za uchem Amorka, który strąca z biurka wszystko, co znajduje się w zasięgu jego łapek.

— Kocie — mówię, biorąc go na ręce — powiesz mi, co tu jest grane?

Amorek niestety poza cichym miauknięciem nie miał mi nic do przekazania. Skrzypnęło — Karolina weszła do pokoju. Zamknęła mi laptopa, przesunęła kociaka i rozsiadła się na biurku.

— Asia — zaczęła — jedź do niego.

— Kiedy on nawet nie odbiera moich telefonów — powiedziałam płaczliwie.

— Otóż to, dlatego jedź i dowiedz się, o co chodzi.

— Późno już — wykręcałam się.

— Nie bądź baba.

— Ale ja jestem baba! — zaprotestowałam.

— Nie pitol.

Już wiedziałam, że nie mam wyboru.

— Pojadę z tobą, chcesz? To znaczy sama z nim porozmawiasz, ja poczekam w samochodzie i będę cię wspierała duchowo. Stoi?

— Stoi — poddałam się. — Moment, tylko się jakoś ubiorę.

Poinformowałyśmy Agatę, że pożyczamy zółtka, i wyszłyśmy z mieszkania. Na zewnątrz było paskudnie; ciemno, zimno, deszczowo, a listopadowy wiatr bezlitośnie wdzierał się za kołnierz. To ciekawe, jak często pogoda dopasowuje się do mojego nastroju. A może to mój nastrój i te wszystkie pechowe zdarzenia, jakie

mnie spotykają, są zależne od pogody? Zresztą nieważne.

Jak na złość, główne ulice były zupełnie zakorkowane, nawet mimo późnej pory, i na miejsce dojechałyśmy po prawie czterdziestu pięciu minutach. Jeszcze zanim wysiadłam z samochodu, wiedziałam, że nic z tego — w oknach było ciemno, na bank nie ma go w mieszkaniu. No ale musiałam się przekonać, Karolina mi nie odpuści. Westchnęłam głośno i wysiadłam.

Już miałam nacisnąć dzwonek domofonu, gdy nagle coś mnie powstrzymało, tak jakby jakaś niewidzialna ręka ścisnęła mnie za gardło. Ja wiem, kto to... Panika. Stres. A jeśli jednak będzie w środku? Co ja mu powiem? Nakrzyczę na niego? Co on mi powie? Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. W końcu zebrałam się w sobie — teraz albo nigdy, musimy w końcu porozmawiać. Wzięłam głęboki oddech, zadzwoniłam i... nic. Jeszcze raz. I jeszcze. Ale im bardziej dzwoniłam, tym bardziej go nie było. Ulga czy rozczarowanie? Trudno określić.

Wróciłam do samochodu.

— I? — Karolina od razu mnie zaatakowała.

— I nie ma go. Możemy wracać — powiedziałam, zapinając pasy.

— Wracać?! Czyś ty zgłupiała?! — Hmm, ona chyba nie da za wygraną. — Pomyśl, gdzie on może być. Ja stawiam na „New York Dream”, jedziemy.

No to pojechałyśmy, tracąc kolejne kwadransy w korkach, a następne szukając miejsca parkingowego. W końcu Karolina stanęła żółtkiem na chodniku, dokładnie naprzeciwko znaku zakazu parkowania.

— Dobra, zostaję tutaj i w razie czego będę wiać. A ty się przespaceruj, masz stąd pięć minut na piechotkę.

— OK. — Gramoliłam się niezdarnie. Jak ja nie lubię zimna i wkładania na siebie tylu warstw ciuchów.

— Asia?

— No?

— Jestem, wspieram cię. Będzie dobrze.

Pomachałam jej już zza szyby i ruszyłam przed siebie. Faktycznie, pięć minut w deszczu i za zakrętem zobaczyłam migający szyld restauracji. Trudno go nie zauważyć... Zwolniłam, w końcu przystanęłam po drugiej stronie ulicy. Przydałby się jakiś plan. Wejść, zamówić coś do picia? Czy po prostu zaczepić kelnerkę i zapytać o Michała? Raczej to drugie.

I wtedy ich zobaczyłam. Zajmowali stolik przy oknie. Była... zjawiskowa. Miała długie, lśniące, kasztanowe włosy i przepiękny uśmiech. Tak, widziałam go nawet z tej odległości i potrafiłam sobie wyobrazić, jak brzmi jej głos — słodko, a zarazem seksownie. Była ubrana w dopasowaną, butelkowozieloną sukienkę, a na ramiona miała narzuconą krótką pelerynkę (czyżby prawdziwe futro?). Opowiadała mu coś, wyraziście gestykulując i raz po raz wybuchając śmiechem. A Michał tylko słuchał i patrzył.

Doskonale pamiętam, jak patrzył na mnie. Jak na dziewczynę, która mu się podoba. Intryguje, bawi, zachwyca, nawet budzi pożądanie. Ale na nią patrzył zupełnie inaczej: tak jak facet patrzy na kobietę, z którą pragnie spędzić resztę życia.

Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Przypomniałam sobie naszą rozmowę: „Ktoś był w Nowym Jorku, mam rację?”, „Widzę, że przed tobą nic się nie ukryje. Tak, była dziewczyna. Ale to już skończone i, jeśli pozwolisz, to nie chcę do tego wracać”. Była, i to tak bardzo, jak ja nigdy nie mogłabym być. I wróciła, o ile kiedykolwiek gdzieś zniknęła. Nawet jeśli fizycznie, to nie z jego serca, tego byłam pewna. Chociaż uczucia Michała w stosunku do mnie były szczere (w to nie wątpiłam), to nie ja zajmowałam to centralne miejsce.

Zobaczył mnie, co wcale mnie nie zdziwiło; stałam na chodniku, gapiłam się bezwstydnie i nie kryłam się z tym specjalnie. Powiedział coś do swojej towarzyszki, narzucił na ramiona marynarkę i chwilę później stał już przede mną.

Na pewno znacie to uczucie, gdy czytacie niezwykle wciągającą książkę i opowieść nagle się kończy. Albo jeszcze lepiej — jesteście w kinie na cudnym, wręcz magicznym filmie. Fabuła pochłania was do tego stopnia, że zupełnie zapominacie o świecie zewnętrznym. Chłonicie, przeżywacie, wzruszacie się, śmiejecie... a tu bum! Historia się urywa i nagle następuje ten bolesny powrót do rzeczywistości. Żal, że już się skończyło, ale w końcu macie świadomość, że to był tylko film... lub aż film. Ale film, nie życie. Wiecie, o co mi chodzi, prawda? Tak właśnie się czułam. Jakby jakaś piękna historia, wręcz bajka, nagle się kończyła. Ale przecież ja od początku wiedziałam, że ona nie będzie trwać wiecznie. Nie było złości, jakiegoś wielkiego rozczarowania, nawet z zaskoczeniem zarejestrowałam fakt, że mam suche oczy. Tylko smutek, że ta bajka nie mogła trwać choć odrobinę dłużej.

— Jesteś tchórzem — stwierdziłam po prostu.

— Jestem — przyznał. — Powinienem być się z tobą spotkać i porozmawiać zaraz po tym, jak Julie przyjechała.

„Julie? Ładne imię” — pomyślałam. A Michał chyba bał się, że wybuchnę. Zupełnie niepotrzebnie, nie miałam najmniejszego zamiaru robić scen, daleka byłam również od histeryzowania. Z Michałem to było coś zupełnie innego niż z Alexem — to nie był prawdziwy, pełen wyrzeczeń związek, po którego rozpadzie ciężko sobie wyobrazić, jak można funkcjonować bez tego najważniejszego organu, jakim jest serce. To była... no, bajka.

Michał mówił, mówił, mówił i ciągle mówił. Coś o zerwanych zaręczynach, o tęsknocie, o nowych początkach, o panice, gdy ona pojawiła się w jego drzwiach. A mnie te słowa jakoś przelatowały mimo uszu, zupełnie jak napisy końcowe w kinie — niby wypadałoby wiedzieć, kto stoi za tymi magicznymi kadrami,

a większość ludzi i tak nie zwraca na nie uwagi, zbiera się do wyjścia. Ja też zbierałam się do wyjścia.

— Ćśśś — położyłam mu palec na ustach. — Wystarczy.

— Asia? Ale ja nie wiem, co ja... — Biedak, zgłupiał. Chyba lepiej poradziłby sobie, gdybym płakała.

— Wracaj do Julie — powiedziałam. — Jest OK.

Chociaż wcale nie było.



Michał nalegał na spotkanie. Dla mnie sprawa była oczywista i nie potrzebowałam żadnych dodatkowych wyjaśnień, ale się zgodziłam, skoro on miał się przez to poczuć lepiej. Umówiliśmy się w przytulnej kawiarni na Kazimierzu. Jak zwykle wyglądał jak milion dolców — granatowa koszula, idealnie leżące džinsy i bukiet kwiatów dla mnie. Zachował się jak prawdziwy dżentelmen, oczywiście jeśli w ogóle można nazywać dżentelmenem kogoś, kto zawraca w głowie niewinnej dziewczynie, a później wraca do swojej eks na jedno jej kiwnięcie palcem. Duża kawa z mlekiem, cmoknięcie w policzek i wyświechtany frazes: „Zos-tańmy przyjaciółmi”. Tak wyglądał koniec mojej *love story*.

Sama byłam zaskoczona, jak łatwo udało mi się wrócić do rzeczywistości. Chociaż nie, „łatwo” to nie jest dobre słowo. Zanim poznałam Michała, moje życie było zwyczajne, ale mimo wszystko całkiem dobre — no, nawet pomijając zerwanie z Alexem, przecież mam świetne przyjaciółki, rodzinę, nie przymieram głodem. Te ostatnie tygodnie były idealną bajką, spełnieniem marzeń. I gdy przyszło mi znów wrócić do swojego „zwyczajnego” życia... cóż, da się zrobić. Tylko że teraz wygląda raczej na szare, długie i do dupy. Nikt nie próbował mnie pocieszać, nawet przyjaciółki zawzięcie milczały. W sumie racja, nie ma czego komentować — przez chwilę miałam faceta idealnego, teraz znów jestem sama. Czy ze mną jest coś nie tak, czy może cały rodzaj męski uległ jakiemuś poważnemu uszkodzeniu? Trudno jednoznacznie stwierdzić.

W ramach żałoby, wstyd się przyznać, upiłam się sama samiuteńka. Winem. Nie polecam, bo poza bólem głowy i opuszczeniem ważnego kolosa nic więcej nie zyskałam. Trwałam w stanie jakiegoś dziwnego zawieszenia, nie miałam ochoty na żadne spotkania, spacer, nawet do kina nie bardzo chciało mi się wyjść, chociaż w repertuarze pojawiło się sporo nowości. Po prostu egzystowałam z dnia na dzień, pokonując codziennie trasę mieszkanie–uczelnia–praca–mieszkanie i nie zastanawiając się, co będzie jutro. W tym mało sprzyjającym okresie zupełnie nieoczekiwanie zadzwonił tata.

— Córca? Co tam porabiasz?

— Cześć. Wszystko po staremu, praca, nauka... A u was co słyhać? —

Uświadomiłam sobie właśnie, że mocno zaniedbałam kontakty z rodzicami. Po urodzinach zaledwie dwa razy króciutko rozmawiałam z mamą przez telefon. Ostatnio tak byłam skupiona na swoich rozterkach sercowych, że nawet nie przyszło mi do głowy, by ich odwiedzić, a przecież z Krakowa do mojego rodzinnego domu wcale nie jest tak daleko.

— Mama dziś wyjechała do sanatorium, a ja siedzę tu sam. No i pomyślałem, że zadzwonię.

Kurka, zupełnie zapomniałam o wyjeździe mamy. Zwykle raz do roku wybierała się do jakiegoś ośrodka na Podkarpaciu, jak sama mówiła: „dla zdrowia, podratować kręgosłup”. Ja tam wiedziałam, że mniej chodziło o lecznicze masaże, a bardziej o spotkanie w babskim gronie, plotki, karty, tańce i wino. Ten reset dobrze jej robił, bo zawsze wracała w wyśmienitym humorze i była zdecydowanie bardziej znośna dla reszty rodziny. Tylko taty było szkoda, bo choć często sobie docinali, biedak nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić podczas jej nieobecności.

— A kiedy wraca? — dopytałam. Chyba kiedyś o tym wspominała, ale wyleciało mi z głowy.

— W poniedziałek. Może zrobię trochę porządku, przydałoby się ogródek ogarnąć przed zimą — powiedział tata. — Chyba się ucieszy, jak wróci, a wszystko będzie już posprzątane.

— Na pewno. — Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. — A co ty na to, żebym przyjechała na weekend? Pomogę ci.

— Pewnie, przyjeżdżaj. Zawsze to raźniej we dwoje. — Tata wyraźnie się ucieszył.

— W takim razie będę jutro po południu. Wyjedziesz po mnie na przystanek?

— Się rozumie, puść SMS-a, jak będziesz dojeżdżać. Pa!

— Do jutra!

Agata wspominała, że ma jakieś plany na weekend, więc wypożyczenie żółtka niestety nie wchodziło w grę. Od razu sprawdziłam rozkład jazdy busów. Mogłam pojechać bezpośrednio po zajęciach, z uczelni miałam dwa kroki na dworzec. Nawet nie musiałam się pakować, w domu wciąż było mnóstwo moich rzeczy. Wrzuciłam do torby tylko kilka drobiazgów, zanotowałam godzinę odjazdu i zostawiłam kartkę dla dziewczyn, żeby nie zapomniały nakarmić kota. Pewnie było to zbędne działanie, bo kot doskonale sam umiał zadbać o swoje potrzeby i o pustej misce informował bardzo natarczywie, ale mimo wszystko oficjalnie to ja byłam jego właścicielką.

Piątek był bardzo luźny, w planie zajęć widniały tylko trzy przedmioty, z którymi wyjątkowo nie miałam żadnych problemów: język angielski, ochrona środowiska i socjologia. W pracy również wypadał mi wolny weekend — w poprzednie dwa pracowałam. Podczas podróży wpatrywałam się w okno busa

i rozmyślałam, starając się nie zwracać uwagi na postukiwania i pojękiwania wiekowego mercedesa. Może pobyt w rodzinnym domu był dokładnie tym, czego w tej chwili potrzebowałam? Może dzięki niemu uda mi się nabrać nieco dystansu do ostatnich wydarzeń? Chciałam znów poczuć się jak mała dziewczynka, bez zmartwień, bez trosk o następny dzień. Wypocząć. A jutro... jutro zacząć wszystko od nowa. Pewnie nie zabrzmi to dobrze, ale cieszyłam się, że nie będzie mamy. Choć zwykle miała dobre intencje, to jej nadmierna ciekawość i gadatliwość były niesamowicie męczące. Widziałam, że była zachwycona Michałem, i dlatego tym bardziej nie miałam ochoty odpowiadać na miliony niewygodnych pytań, a następnie słuchać jej nieudolnego pocieszania i patrzeć, jak załamuje nade mną rękę. Rodzice pewnie kochają wszystkie swoje dzieci, nie było jednak tajemnicą, że z niektórymi dogadują się lepiej. Mama ma lepszy kontakt z Olgą. Ja za to wołałam towarzystwo taty, który choć nie zawsze rozumiał moje dziewczynskie rozterki, był człowiekiem o wiele spokojniejszym i łatwiejszym w obyciu. Kiedyś mnóstwo czasu spędzałam z nim w garażu, przyglądając się, jak majsterkuje. Miał dryg do stolarki, spod jego rąk wychodziły przepiękne budki dla ptaków, półki, osłonki na doniczki, zrobił mi nawet huśtawkę. Czasami pozwalał mi samej wbić gwóźdź, spiłować deseczkę, odmierzyć i wyciąć odpowiedni kawałek materiału. Uśmiechnęłam się do swoich wspomnień. Miałam wrażenie, że to wszystko działo się całe lata świetlne temu.

Gdy jako jedyna wysiadłam na przystanku, taty jeszcze nie było. Powoli zapadał zmrok, a na niebie gromadziły się ciężkie deszczowe chmury. Oby tylko jutro nie padało, bo inaczej nici z naszych porządków w ogródku. Przechadzałam się tam i z powrotem wzdłuż drogi, aż zobaczyłam wyjeżdżającego zza zakrętu znajomego forda. Gdy się zatrzymał, wrzuciłam torbę na tylne siedzenie, a sama wcisnęłam się na fotel obok kierowcy i cmoknęłam tatę w szorstki policzek.

— Cześć. Samochód znowu nie chciał zapalić — wytłumaczył swoje spóźnienie. — Muszę się wreszcie pozbyć tego grata, niedługo zdechnie na amen.

— Taaa, co roku tak mówisz — roześmiałam się.

— Teraz już naprawdę. Rozmawiałem z sąsiadem, jego syn niedawno otworzył komis. Obiecał pomóc i w sprzedaży, i w znalezieniu czegoś nowego.

— O, to fajnie się złożyło. Mikulski na pewno dobrze ci doradzi.

— Na to właśnie liczę.

Tata włączył radio, leciały właśnie wiadomości. Sama nie bardzo lubiłam słuchać o tych wszystkich wypadkach, katastrofach i nieudolnych działaniach rządu, wołałam wyszukiwać potrzebne mi informacje w internecie. Wiedziałam jednak, że tata nie wyobraża sobie jazdy samochodem bez radia, więc milczałam, nie chcąc mu przeszkadzać. Zresztą, droga nie była zbyt długa, po piętnastu minutach zatrzymaliśmy się na podjeździe przed domem. Pomaszerowałam prosto do kuchni.

— Co jemy? — zapytałam, czując narastające burczenie w żołądku. W przerwie pomiędzy zajęciami jak zwykle zjadłam tylko drożdżówkę kupioną w uczelnianym sklepiku.

— Mama zostawiła kurczaka, ale pomyślałem, że odgrzejemy go sobie jutro na obiad. Co powiesz na naleśniki? — zaproponował.

— Brzmi super!

Tata nie był wybitnym kucharzem, prym w kuchni zdecydowanie wiodła mama, ale naleśniki to było jego danie popisowe. Zawsze wychodziły wyśmienicie. Zajrzałam do lodówki i wyjęłam potrzebne składniki: jajka i mleko, w szafce znalazłam mąkę. Kilka chwil później ciasto było już wymieszane, druga porcja smażyła się na dwóch patelniach, a w całym domu unosił się cudowny zapach.

— Morela czy truskawka? — zapytał tata, otwierając pierwszy słoik.

— Jasne, że truskawka — powiedziałam i posmarowałam obficie dżemem pierwszego naleśnika. — Palce lizać!

— No to opowiadaj teraz, córcia, co u ciebie — zarządził, siadając przy kuchennym stole i również zabierając się do jedzenia.

No to opowiedziałam. Ponarzekałam na niesprawiedliwych profesorów na uczelni, na chamskiego szefa „Retro Style”, na paskudną pogodę. Dla równowagi, żeby nie było tak przygnębiająco, pokazałam kilka zabawnych fotek Amorka na smartfonie. Dawno nie miałam okazji tak z tatą posiedzieć i pogawędzić sam na sam, właściwie chyba dziś był pierwszy raz, odkąd zaczęłam studia. Omijałam temat ostatniego nieudanego związku, ale wiedziałam, że prędzej czy później tata zapyta.

— A Michał? Jak wam się układa?

— Nie wyszło — odpowiedziałam tylko. Nie chciałam wdawać się w szczegóły.

Tata pokiwał głową.

— Mama mało nie oszalała z zachwytu, ale mnie się coś nie widziało. Chyba przeczuwałam, że pewnie nic z tego nie będzie — stwierdził i zmienił temat. Byłam wdzięczna, że nie drażył dalej. — Mamy jutro mnóstwo roboty. Chcę porządnie posprzątać w garażu, w ogródku trzeba pograbić, złożyć meble ogrodowe, póki jeszcze nie ma śniegu. Wiesz co, córcia, idź się lepiej połóż. Im wcześniej jutro zaczniemy, tym lepiej.

— Racja. Obudź mnie rano, jakbym zasnęła.

Włożyłam jeszcze naczynia do zmywarki i poszłam na górę, do swojego pokoju. Nic się w nim nie zmieniło, rodzice niczego nie ruszali — wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiłam kilka lat temu, przeprowadzając się do studenckiego mieszkania w centrum Krakowa. Na pierwszym roku dość często odwiedzałam rodziców, zdarzało się, że byłam w domu nawet w każdy weekend. Później raz w miesiącu, później jeszcze rzadziej... Początkowa tęsknota zaczęła

słabnąć. W końcu uświadomiłam sobie, że chociaż tutaj zawsze będzie mój dom i zawsze jestem mile widziana, to czas rozpocząć własne życie. Nie oznacza to oczywiście, że nie lubiłam tutaj wracać. Przeszukałam szuflady, wyjęłam zieloną koszulę nocną z motylkiem i poszłam do łazienki wziąć szybką kąpiel. To znaczy miała być szybka, ale stałam i stałam pod prysznicem, a woda lała się i lała... aż usłyszałam pukanie do drzwi. No tak, tata wiedział o mojej skłonności do zamyślenia się i marnowania wody. Co ja poradzę, że gorący strumień działa na mnie tak odprężająco. W końcu, już odświeżona, wróciłam do pokoju.

Było dość późno, ale nie chciało mi się jeszcze spać. Zaczęłam żałować, że nie wzięłam ze sobą laptopa albo chociaż jakiejś książki do poczytania. A może tutaj coś się znajdzie, coś, czego jeszcze jakimś cudem nie przeczytałam? Podeszłam do regału wypełnionego książkami od podłogi po sam sufit. Poza kobiecymi powieściami i kilkoma wciągającymi kryminałami było tutaj kilka książek szczególnie mi bliskich: *Historia kina polskiego*, *Notatki starego aktora*, *Przewodnik po teatrze warszawskim XIX wieku*, *Kino i reszta świata*. Pochłaniałam je kiedyś nałogowo, gdy jeszcze wierzyłam w to, że mogłabym spróbować swoich sił jako aktorka. Co się stało z tymi marzeniami? Dlaczego tak łatwo odpuściłam? Zrobiło mi się wstyd. Przesunęłam dłonią po lekko przykurzonych grzbietach. Na najniższej półce natknęłam się na pudełko po butach oklejone ozdobnym papierem. Kurczę, to przecież moja „skrzynka skarbów”! Wzięłam pudełko, wygodnie usadowiłam się z nim na łóżku, przykryłam nogi miękkim, pasiastym kocem i pograżyłam się we wspomnieniach.

Która mała dziewczynka nie prowadziła pamiętnika? I ja miałam ich sporo, jednak później, chyba w gimnazjum, porzuciłam pisanie na rzecz zbierania cennych pamiątek. Stworzyłam swoją „skrzynkę”, w której lądowały przeróżne liściki, bilety, zdjęcia, karteczki z ulubionymi cytatami, które później przepisywałam do notesu. Były nawet zasuszone rośliny, maskotki, biżuteria, czerwona podwiązka ze studniówki. Spomiędzy tych wszystkich bibelotów wypadła zrobiona przeze mnie zakładka do książek z zapisanym cytatem:

„Dlatego, że talent nie da się uciszyć, nie potrafi wygasnąć. Czy jest to umiejętność otwierania sejfów, czytania w myślach, czy dzielenia w pamięci dziesięciocyfrowych liczb... domaga się wykorzystania. Nigdy nie milknie. Obudzi cię w samym środku nocy wrzeszcząc: Wykorzystaj mnie, wykorzystaj mnie, wykorzystaj! Mam dość beczynnego siedzenia! Wykorzystaj mnie, durniu, wykorzystaj!”⁶.

Równocześnie spojrzałam na wiszący na ścianie dyplom, wyróżnienie otrzymane w ramach szkolnego koła teatralnego i medal za pierwsze miejsce w konkursie recytatorskim. Czyżby los chciał mi coś podpowiedzieć? Znowu jestem sama, ale patrząc na to z pewnej perspektywy — może to idealny moment, żeby skupić się na sobie? Zastanowiłam się, gdzie byłabym teraz, gdybym nie

posłuchała rad moich rodziców, Alexa, nie sugerowała się wyborami moich szkolnych kolegów. Opcje były dwie: albo wyleczyłabym się z tej miłości do teatru i filmu, zraziłabym się, studiując filmoznawstwo lub jakiś pokrewny kierunek, poniosłabym porażkę jako początkująca aktorka... albo byłabym szczęśliwa i odnosiła sukcesy, robiąc to, co kocham. Kto wie?

Wysypałam całą zawartość pudełka, a następnie wkładałam z powrotem po jednej rzeczy, każdą z nich obróciwszy wcześniej w palcach. Przeglądałam, wspominałam, rozmyślałam, aż powieki same zaczęły mi opadać...



— Wstawaj, leniu! — Tata głośno załomotał w drzwi, a ja podskoczyłam wystraszona na łóżku. On naprawdę miał chęć do tych porządków!

— Już idę! — odwrzasnęłam i w pośpiechu zgarnęłam resztę porozrzucanych wczoraj drobiazgów. Zakładkę z cytatem wsunęłam do torebki, jakoś trudno mi się było z nią rozstać.

Ogarnęłam się w ekspresowym tempie. Na stole czekała już na mnie jajecznica z kiełbasą i kubek gorącej herbaty. To do taty niepodobne, on nigdy sam z siebie nie wstawał tak wcześnie, o przygotowywaniu śniadania już nie wspominając.

— Chcę zacząć jak najwcześniej — wyjaśnił.

— Oj tam, ile zrobimy, tyle zrobimy. Skąd ten pośpiech? — próbowałam zrozumieć.

— A wiesz co... — Tata chyba podjął jakąś decyzję. — Powiem ci, może dasz mi jakąś babską radę.

— Słucham — zachęciłam go, wciągając śniadanie.

— Coś się zmieniło między mną i mamą. Nakrzyczała na mnie, że nie pamiętałem o naszej rocznicy, w ogóle jakaś taka naburmuszona chodziła ostatnio.

O matulu, a miał być spokojny weekend w rodzinnym domu. A tu, jakbym miała mało własnych problemów, jeszcze małżeńskie spory rodziców.

— I pomyślałeś, że jak wróci i zastanie ogarnięty ogródek, to uda ci się ją udobruchać, tak? — usiłowałam pojąć męską logikę.

— No tak. A źle myślałem? — zaniepokoił się.

— Nie no, tok rozumowania jest dobry... A nie wpadłeś przypadkiem na to, żeby spędzić z nią trochę czasu? Kiedy ostatnio gdzieś razem wyszliście, hę? — zapytałam.

— Znaczy na randkę jakby? — Spojrzał na mnie zaskoczony.

— Dokładnie.

— Dziecko, my jesteśmy małżeństwem już prawie trzydzieści lat... Myślisz, że randka mogłaby coś zmienić?

Nagle stałam się ekspertem od spraw sercowych. Nie powiem, trochę mnie ta sytuacja bawiła. Tata, taki rozgarnięty facet, do którego lata temu sama przychodziłam po radę, teraz potrzebuje mojego kobiecego punktu widzenia.

— Pewnie, że by mogła. Kobiety lubią kwiaty i okazywane zainteresowanie. Może trochę wam tego zabrak-ło? Mówię ci, kup jej coś ładnego i dokąś ją zabierz — zachęcałam.

— W takim razie się zastanowię. To co z tym sprzątaniami?

— Na pewno nie zaszkodzi.

W szafie znalazłam stare, poprzecierane dzinsy, adidasy i kurtkę, która pamiętała jeszcze czasy gimnazjum. Do sprzątania w ogrodzie nadadzą się idealnie. Opracowaliśmy z tatą prosty plan działania: tata sprząta garaż, ja grabię ogródek z zeschniętych liści i gałązek. Później wspólnie rozkręcamy meble ogrodowe i składamy je w komórce, owijamy co delikatniejsze roślinki, a te w donicach przenosimy do domu. Na jeden dzień to zdecydowanie wystarczy!

Kilka godzin później patrzyłam z dumą na kilkanaście sporych kopczyków utworzonych przez zgrabione liście. Jak na mój zupełny brak kondycji i wprawy całkiem nieźle mi poszło. Humoru nie zepsuł mi nawet paskudny siniak na udzie — efekt zastawionej na mnie zasadzki. No dobra, to moja wina, bo przez przypadek nadepnęłam na grabie, które wcześniej zostawiłam na środku trawnika. Ot, wypadek, zdarza się. Poszłam zobaczyć, co tam u taty.

Dlaczego ten widok mnie nie zdziwił? Zobaczyłam dokładnie to, czego się spodziewałam. Przed garażem piętrzyła się cała sterta śmieci, zepsutych sprzętów i przedmiotów niewiadomego pochodzenia. Tata kręcił się między nimi bezradnie i najwidoczniej nie miał pomysłu, co zrobić z całym tym bałaganem.

— Trzeba się tego pozbyć — podpowiedziałam.

— Taa, łatwo powiedzieć. Patrz, ta kosiarka mogłaby jeszcze działać, gdyby się ją naprawiło — powiedział, biorąc do ręki wysłużoną podkaszarkę.

— Gdyby... a jak długo już tu leży i nikt z niej nie korzysta. Chyba z pięć lat. Serio, wierzysz, że jeszcze jej użyjesz? Przecież kupiliście nową.

— No i co, a jak ta nowa się zepsuje? Przecież nie wyrzucę całkiem dobrej kosiarki! — Tata oburzony porwał zepsutego rupiecia i jak zwykle z powrotem zaniósł go do garażu. W ten sam sposób rozprawiał się z każdą rzeczą, która nadawała się tylko do wyrzucenia: „przecież to można naprawić”, „jeszcze się przyda”, „szkoda się tego pozbywać”. W końcu i ja się poddałam, nie ma sensu dyskutować z kimś, kto ma naturę chomika. Minimalisty z niego nie zrobię. Mimo wszystko zarówno ogródek, jak i garaż wyglądały o niebo lepiej, mama na pewno zauważy zmianę.

GORZEJ było tylko ze mną. Podniosłam kilka ciężkich doniczek, pozginałam się, przytrzymując stolik i krzesła, gdy tato je rozkręcał, namachałam się grabiami. Już teraz czułam każdy mięsień, a co będzie za kilka godzin? Drżałam na samą

myśl o koszmarnych zakwasach, jutro pewnie w ogóle nie ruszę ręką ani nogą. Tata chyba się domyślił, o co chodzi, po mojej zbolącej minie.

— Na zakwasy najlepsze jest zimne piwo — oznajmił i przyniósł dwie puszki z lodówki.

Usiedliśmy na progu tarasu, podziwiając wspólne dzieło. Było już późne popołudnie, słońce zaraz zacznie chować się za drzewami, w końcu jesienią zmrok zapada coraz wcześniej. Nie czułam jednak chłodu, dzień był zupełnie bezwietrzny i całkiem przyjemnie mi się tutaj siedziało. Byłam mocno zmęczona, ale z zaskoczeniem stwierdziłam, że takiego właśnie zmęczenia mi było trzeba. Zwykłego, fizycznego, na świeżym powietrzu. To takie zdrowe, inne od kiszenia się w małym mieszkaniu i pogrążania w rozterkach. Nie miałam na nic siły, a jednocześnie czułam się, jakby ktoś wcisnął mi guzik „reset”. Tak, mogę zacząć od nowa.



Otworzyłam drzwi do mieszkania i natychmiast je przymknęłam, cudem uchylając się przed lecącym w moim kierunku kapciem. Co jest?!

— I rozumiesz, ten skurwiel powiedział mi, że jestem niezrównoważona psychicznie! Czy ja wyglądam na kogoś niezrównoważonego psychicznie?! — wydzierała się Karolina, wymachując rękami i rzucając czym popadnie.

Aha, już się domyślam.

— Podobno jestem niezdecydowana i on nie rozumie, o co mi chodzi. A czy tak ciężko zrozumieć, że jak mówię „nie”, to znaczy, że „tak, tylko później”?! — szalała dalej, a Agata dreptała za nią ostrożnie i poklepywała po ramieniu, starając się dodać jej otuchy. — Ty! — wycelowała we mnie swój kościsty palec. — Co ty o tym myślisz?

— Myślę, że powinnaś posłać go do wszystkich diabłów — powiedziałam zgodnie z prawdą. Artur, którego widziałam do tej pory jakieś dwa razy i z którym Karolina spotykała się od niedawna, niezbyt przypadł mi do gustu. Znaczą się... był przystojny. Tylko jakiś taki, bo ja wiem... mało kumaty? I mało uprzejmy.

Karolina zastanowiła się, chyba zaskoczona moją bezpośrednią odpowiedzią. No tak, Agatka też nie zapalała sympatią do jej nowego boya, ale brakowało jej odwagi, żeby o tym powiedzieć. Wolą po cichu kibicować bądź modlić się o szybkie zakończenie tej farsy.

— Chyba tak właśnie zrobię — oznajmiła Karolina i wreszcie przestała rzucać się po mieszkaniu. — Tak, tak zrobię. Kopnę go w cztery litery. — I, jakby nigdy nic, poszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

Podziwiałam Karolinę za to, że nigdy niczym zbyt długo się nie przejmowała. Czy ona w ogóle wie, co to są łzy? Wyładowywała emocje, szła jak

huragan i równie nagle o wszystkim zapomniała. Ech, o ile moje życie byłoby prostsze, gdybym też tak potrafiła. Może to kwestia wprawy? Karolina zmieniała facetów jak rękawiczki.

— Chcecie herbatki? — zaproponowała.

— Jasne, zieloną — poprosiłam.

— A ja owocową — dodała Agatka.

Lubiłam siedzieć z dziewczynami przy małym, okrągłym stoliku w kuchni. To nic, że okno wychodziło na obskurny blok i wiecznie zapchany parking, a taborety niebezpiecznie się kiwały. Ile my tu godzin przegadałyśmy!

— Mam pomysł — oznajmiła Karola, stawiając przed nami kubki w groszki.

— Potrzebujemy zmian.

Agata zrobiła wielkie oczy, ja też się wystraszyłam. Co też ona wymyśliła? Znów jakiś wyjazd, jak w wakacje? Nie ma mowy, nie stać nas.

— Dajesz — zachęciłam ją do gadania.

— Ty skończyłaś niedawno związek, ja jutro też skończę. A ty, Agata, co prawda nic nie skończyłaś, ale może pasowałoby coś zacząć. Co wy na to, żeby zgłosić się do *Metamorfozy*?

— Jakiej znowu *Metamorfozy*? — zapytała Agata.

— Chodzi ci o tę darmową akcję, którą urządzają w przyszły weekend w salonie fryzjerskim przy Karmelickiej? — Coś mi zaczęło świtać, widziałam niedawno ogłoszenie na uczelni, że poszukują ochotników.

— Dokładnie. Moja znajoma pracuje w tym salonie, niby mają ograniczoną liczbę miejsc, ale jestem pewna, że załatwi nam wejście. Darmowa fryzura, makijaż, porady stylistki co do ciuchów. Chcecie?

— Gdzie jest haczyk? — zainteresowałam się. — Dziwne, że wszystko jest za darmo.

— Nie ma. Tylko zgoda na publikację zdjęć „przed” i „po” na stronie internetowej salonu.

Nie przepadałam za zamieszczaniem swoich zdjęć w internecie, ale dla takiej okazji mogłabym zrobić wyjątek, wizyta w tym miejscu musi kosztować fortunę.

Wzięłam w palce pukiel swoich długich, czekoladowych włosów i przyjrzałam mu się uważnie. Jak zwykle były gęste, mocno skręcone, ale nie prezentowały się tak pięknie jak kiedyś. Brakowało im blasku, mnie nie starczało czasu na ich pielęgnację, a poza tym nie zmieniałam fryzury już od ładnych kilku lat. Nowy początek, przypomniałam sobie. Zaczynam wszystko od nowa. Podjęłam szybką decyzję.

— Wchodzę w to — oznajmiłam.

— Doskonale. Agata?

— A jak obetną za dużo? Albo jak pofarbują na jakiś dziwny kolor?

Machnęłyśmy obie rękami. Agaty nie da rady przekonać. Urodziła się

z grzecznym blond kucykiem i pewnie z nim umrze.

— Dobra, dzwonię. — Karolina wyszła ze smartfonem w ręce i wróciła po trzech minutach. — Aśka, rezerwuj sobie czas w najbliższą sobotę. Jesteśmy umówione na czternastą.

— OK. A gdzie mój kot? — przypomniałam sobie nagle. Czemu Amorek nie przyszedł przywitać się jak zwykle, gdy wracałam?

— Śpi. U mnie — poinformowała koleżanka.

— Jak to u ciebie?! — wykrzyknęłam, biegnąc do jej pokoju. — Co to ma znaczyć?! — wskazałam Amorka, słodko drzemiącego wśród całej sterty miękkich poduszek na łóżku Karoliny.

— Jak to co? Ty sobie gdzieś jeździsz, to kot przeprowadził się do mnie. Nie wiem, czy będzie chciał wrócić.

Kurna. Nie było mnie przez weekend i przekabaciła mi kota.



Siedziałyśmy obie w wygodnych obrotowych fotelach i popijałyśmy aromatyczną kawkę z mlekiem, a cały sztab ludzi skakał wokół nas. Tu podcinali, tam czesali, malowali, pryskali, suszyli... Nie powiem, fajne uczucie. A jeszcze fajniejsze było to, że całkowicie zdałam się na wolę właścicielki i nie miałam pojęcia, jaki będzie efekt końcowy. Kobieta budziła zaufanie, widać było, że ma spore doświadczenie i zna się na rzeczy. Oprócz nas swoje metamorfozy przechodziły w tej chwili jeszcze dwie inne uczestniczki — jakaś niezbyt urodziwa nastolatka i elegancka pani w średnim wieku. Lustra były zasłonięte, nie mogłyśmy nic a nic podglądać, dopóki całość nie zostanie doprowadzona do końca. Nawet zostałyśmy posadzone tak, żeby nie widzieć zbyt dobrze siebie nawzajem. Dzięki za to, że mogłyśmy choć rozmawiać, bo to wszystko trwało ładne kilka godzin i wciąż nie było widać końca.

— Jak Artur zareagował? — podpytałam Karolinę, pamiętając, że obiecywała przeprowadzić z nim ostatnią, stanowczą rozmowę.

— Jak dzieciak. Tupał nogą i krzyczał, że chyba sobie żartuję — zachichotała. — Dobrze się stało. Wiesz, w przyszłym tygodniu Anka zaprosiła mnie na domówkę i będzie Maciek. Kojarzysz, opowiadałam ci o nim kiedyś?

— Karolina, opanuj się! Już?!

— A czemu nie? — zdziwiła się.

— Artur jeszcze dobrze nie ostygł. Nie potrzebujesz trochę czasu, zanim zaczniesz kręcić z kolejnym?

— Oj tam, życie jest za krótkie, żeby czekać i przejmować się każdą głupotą. I ty też, Aśka, powinnaś przestać wszystko tak roztrząsać.

— Przecież nawet nie płakałam po Michale — zaprotestowałam.

— Nie, tylko chodziłaś jak jakiś smutas. A o Mańku myślisz cały czas, he?

— Jak to „myślę”?

— Ja nie wiem jak. Ale co chwilę odpalasz fejsa i sprawdzasz, czy jest dostępny i czy czegoś ci nie napisał.

I tu mnie miała. Faktycznie, brakowało mi przyjaciela jak diabli, a sama jakoś nie miałam śmiałości się do niego odezwać. Postanowiłam, że nie będę się narzucać, i tego się trzymałam.

— Uważam, że sama powinnaś do niego napisać i wyjaśnić parę spraw. On w ogóle wie, że zerwaliście z Michałem? — zapytała Karola.

— Hm, chyba nie. Nie, ja mu nie mówiłam.

— No właśnie. Spełniasz oczekiwania wszystkich dookoła, a nie masz odwagi, żeby powalczyć o siebie. O to, na czym ci zależy — powiedziała to lekkim tonem, a jednak ukłuło.

Znów trafiła, a ja nie umiałam nawet znaleźć żadnej pasującej riposty.

— O twoich studiach też mówię. Myślisz, że nie zauważyłam, jak stękasz nad tą matką? Każdy normalny już dawno rzuciłby to w cholerę i zaczął coś innego. Szkoda życia — ciągnęła.

— Masz rację — przyznałam. — Ale jak rzucę studia teraz i pójdę na wymarzony wydział aktorski i to nie wyjdzie, to co wtedy? Ani studiów, ani pracy, ani niczego.

— Sratatata. Jak się tak boisz, to rób dwa kierunki jednocześnie.

— Niby jak mam się z tym wszystkim wyrobić? Pamiętaj, że jeszcze musiałabym pracować. Nie ma opcji, żeby rodzice dokładali mi kasę na drugi kierunek. A doba trwa tylko dwadzieścia cztery godziny.

— Doba Christiny Aguilery też trwa dokładnie tyle. Tak samo jak Laury Bush, księżnej Kate i matki czwórki dzieci. Jeśli nawet nie spróbujesz, to skończysz jak sfrustrowana pani Zdzisia z dziekanatu i będziesz żałowała do końca życia.

Prawda. Brakło mi argumentów i sił, żeby ciągnąć tę rozmowę.

— Wiesz co, zmieńmy temat — zaproponowałam. — Cieszymy się metamorfozą. Mogę już zobaczyć? — zapytałam śliczną wizażystkę, która co chwilę miziała mnie pędzlem po nosie i policzkach.

— Jeszcze momencik. Niech pani zamknie oczy — powiedziała i prysnęła lakierem.

W końcu właścicielka salonu, pani Ola, zaprosiła naszą czwórkę do sąsiedniego pomieszczenia, w którym znajdowało się kilka wysokich, stojących luster.

— Wow! — Tylko tyle zdołałam z siebie wykrztusić. To naprawdę ja? Moje loki gdzieś zniknęły. Teraz włosy sięgały ramion i były idealnie proste. Czekoladowy kolor pozostał, ale gdzieś dało się zauważyć kilka

delikatnych, jaśniejszych refleksów, jakby od słońca. Nowa fryzura spowodowała, że moja twarz była bardziej odsłonięta — oczy wydawały się większe, a uśmiech wyglądał na jeszcze szerszy. *By the way*, makijaż miałam genialny. Subtelny, idealny na co dzień, a jednak mocno podkreślający spojrzenie. Zachwyciłam się sobą. Obracałam się przed lustrem i podziwiałam, aż przypomniałam sobie, że przecież obok mnie stoi również odmieniona przyjaciółka.

— O! Zajebicie! — wykrzyknęłam szczerze. Nadal była rudzielcem, ale straciła o wiele więcej włosów niż ja. Miała teraz króciutką, drapiezną fryzurkę z asymetryczną grzywką, która świetnie pasowała do jej charakteru. Taka zadziorna.

— Ja pierdzielę, Aśka, wreszcie cię widać! — zrewanżowała się. — Najwyższy czas, żebyś przestała ukrywać się za tą szopą.

— E, tylko nie szopą! — Wcześniej naprawdę byłam dumna z moich loków, to nie lada wyczyn takie wyhodować i jeszcze codziennie rozczesywać.

— Zwał jak zwał. Ale teraz wyglądasz o niebo lepiej.

Podziwialiśmy dalej. Pozachwycaliśmy się również przemianami pozostałych uczestniczek, a następnie zostałyśmy poproszone o zapozowanie na tle plakatu z logo salonu. Kilka zdjęć, lampka szampana dla uczczenia akcji *Metamorfoza* i mogłyśmy wracać. Czulałam się rewelacyjnie. Niby ja, a jednak nie ja. Nówka. Po raz kolejny pomyślałam: „Zaczynam od nowa”. Fryzura to naprawdę niezły początek.



— Dwieście pięćdziesiąt złotych — oznajmiła dentystka, a ja wręczyłam jej żądaną kwotę. To już ostatnia wizyta, moja biedna piątka, która tak mocno nadwyrężyła moje nerwy i stan konta, nareszcie była gotowa. Chwała za to, że w końcu udało mi się trafić na panią stomatolog rozumiejącą słowa „delikatność” i „strach”.

Opuściłam gabinet w wyśmienitym humorze, od dawna nie czulałam się tak dobrze. Sama nie wiem, co było tego powodem — świadomość, że ząb został uratowany, fryzura, którą nadal podziwiałam, oglądając się w każdym lustrze i każdej szybie, czy fakt, że dziś wieczorem urządziłyśmy sobie z dziewczynami babskie wyjście na miasto. Wszystkie trzy (nawet Agata!) uznałyśmy, że potrzebujemy zakupów (to znaczy ja nie, bo nie miałam za co, ale doradzanie koleżankom też jest spoko), drinków i muzyki. Już nie mogłam się doczekać, genialnie będzie poszaleć jak za starych dobrych czasów. Szłam, niemal podskakując i podśpiewując pod nosem

Weszłam do mieszkania i od razu mój nastrój prysł. Coś było nie tak. Czy każdy od razu wyczuwa ciężką -atmosferę, czy tylko ja tak mam? Moje obawy

potwierdziła wychodząca z kuchni Agata. Tak przerażonej jeszcze jej nie widziałam.

— Amorek... właśnie miałam do ciebie dzwonić... — wyjąkała.

— Co mu jest?! — wystraszyłam się i tak jak stałam, w butach i kurtce, pobiegłam szukać kota.

— Zwymiotował, i to dwa razy. I jakiś taki nieswój jest, ciężko oddycha i nie wstaje... — Agata prawie płakała.

Znalazłam kota tam, gdzie się spodziewałam, leżał na swojej ulubionej poduszce. Faktycznie był jakiś taki... sflaczały? I charczał.

— Gdzie Karolina? — Ona by wiedziała, co robić.

— Na uczelni, dziś ma zajęcia do późna.

I co teraz? Nie ma czasu, jedziemy do weterynarza! Sama nic nie wymyślę, a wyglądało to na coś poważnego.

— Jedziemy! Agata, ubieraj się! — zarządziłam, już szukając transportera i kocyka. Zerknęłam do książeczki zdrowia kota, na wizytówkę lecznicy — mieli otwarte. Zapakowałam biednego Amorka i po chwili już byliśmy w drodze.

Niestety, spędziłyśmy prawie pół godziny w korku, później długo szukałyśmy wolnego miejsca parkingowego, a na koniec okazało się, że do miłej pani weterynarz ciągnie się długa kolejka umówionych wcześniej pacjentów. A Amorek zwymiotował jeszcze raz. Poczułam się jak matka walcząca o życie swojego dziecka.

— Z drogi! — krzyczałam, przeciskając się chamsko przez pełną poczekalnię i nie zważając na wrogie warczenie rottweilera wielkości sporego cielaka. — On umiera!

Wparowałam do gabinetu, gdy tylko drzwi się uchylily i wyszedł z niego pan z pekińczykiem. Pewnie mocno się naraziłam wszystkim oczekującym, ale co ja poradzę, wyższa konieczność.

— Niech go pani ratuje! — powiedziałam, od razu podchodząc z transporterem do leżanki. Miałam łzy w oczach, podobnie jak chowająca się za moimi plecami Agatka.

Pani weterynarz, choć zaskoczona tym wtargnięciem, stanęła na wysokości zadania. Wyjęła mojego biednego futrzaka i natychmiast zabrała się do badania. Miałam zaufanie do tej kobiety, byliśmy już u niej na szczepieniu i odrobaczaniu. W stosunku do zwierząt była łagodna, a jednocześnie miała pewną rękę.

— Hm — wykrztusiła. Nie brzmiało to dobrze. — Czy ktoś mógł go otruć?

— Otruć?! — wykrzyknęłyśmy obie z Agatą. — Nie ma takiej opcji, on jest niewychodzący. Cały dzień spędza na poduszce.

— No dobrze... a może mógł zjeść coś nieświeżego? Albo jakieś chemikalia, środki czystości? — wymieniała dalej.

— Nie... Amorek nie tknąłby niczego takiego.

— A rośliny? Kwiaty doniczkowe?

O, ciepło. Gorąco. Spojrzałyśmy z Agatą po sobie. Karolina nie dalej jak wczoraj narzekała na poobgryzane listki jakiegoś egzotycznego dziwoląga w pomarańczowej doniczce na kuchennym parapecie. Prezent od któregoś z jej eks.

— Tak, to może być to. Roślina — przyznałyśmy.

— Wiecie jaka?

Niestety, za nic nie mogłyśmy sobie przypomnieć nazwy, a sam opis nie zdał się na wiele.

— Czy on... będzie żył? — zapytałam z niepokojem. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym stracić swój osobisty mruczący termofor. Kochałam tego zwierzaka, no.

— Tak, tak... wymiotował, to dobrze — powiedziała pani doktor z roztargnieniem, swoją uwagę znów koncentrując na kocie. Obejrzała go jeszcze raz, przepłukała pyszczyk i wstrzyknęła mu do gardła jakąś zawiesinę, którą Amorek posłusznie połknął, jakby rozumiał powagę sytuacji.

— Węgiel — wyjaśniła. — Płukanie żołądka raczej nie będzie konieczne. Obserwować, zapewnić stały dostęp do wody. Trzymać kwiatki poza zasięgiem. Dzwonić, gdyby coś jeszcze się działo.

— Dziękujemy! — odezwałam się, autentycznie wdzięczna. Uspokoiliam się trochę, Agatka chyba też.

Pierwsze, co zrobiłyśmy po powrocie, to wyrzucenie kwiatka do kosza. W dupie mam, czy Karolina się zezłości. Chociaż nie powinna, kochała kota chyba prawie tak samo mocno jak ja. Nalałam do kocięj miseczki świeżej wody i położyłam bliżej kocięgo legowiska. Głaskałyśmy Amorka z Agatą na zmianę, po chwili zasnął i faktycznie wyglądał lepiej, oddychał spokojniej. Za to zupełnie przeszła nam ochota na wieczorne wyjście, zresztą zostawienie go samego w takim stanie nie wchodziło w grę. Trudno, są rzeczy ważne i ważniejsze. Leżałam koło kocięj poduszki i pozwoliłam płynąć myślom swobodnie. Sama nie wiem czemu, ciągle rozbrzmiewały mi w głowie niedawne słowa Karoliny: „Spełniasz oczekiwania wszystkich dookoła, a nie masz odwagi, żeby powalczyć o siebie. O to, na czym ci zależy”. Borze szumiący, czemu ona zawsze tak mądrze mówi?



Dwa dni później Amorek był jak nowy, a ja wreszcie odetchnęłam i mogłam się skupić na swoich studiach. Miałam dość poprawek i postanowiłam, że w kolejnej sesji zaliczę wszystkie przedmioty w pierwszym terminie. W tej chwili miałam akurat przerwę między zajęciami i z braku lepszego pomysłu udałam się do biblioteki. To znaczy sam pomysł był bardzo dobry, miałam mnóstwo zaległości, a czytelnia była wręcz idealnym miejscem, żeby je nadrobić. Ale jak kocham

biblioteki, tak ta uczelniana niezmiennie mnie przeraża. Siedzi sobie człowieczek, taki malutki, pośród tych wszystkich całek, funkcji, modeli, teorii... przerażające to wszystko i już. Na moje szczęście znalazłam wolny stolik pod oknem, przynajmniej można poobserwować grupki studentów na dziedzińcu. Rozłożyłam podręczniki i zeszyty, z torebki wygrzebałam kalkulator, ale jak zwykle zamiast zabrać się do obliczeń, bezmyślnie kreśliłam kółka na marginesach. Jeszcze jedno zajęcia i będę musiała biec na tramwaj, żeby zdążyć na swoją zmianę w restauracji. Na samą myśl o tym ścisnął mi się żołądek. Ostatnio było naprawdę ciężko, klientów mieliśmy tyle, co kot napłakał, w związku z czym pan Kowalski był, hmm, delikatnie mówiąc, nieprzyjemny. Pensja poszła w dół, a na napiwki, a tym bardziej premię od obrotu, nie było co liczyć. Miałam serdecznie dość tej pracy, wiecznie połamanych paznokci i bycia popychadłem. Nie miałam za to pomysłu, co innego mogłabym robić. Wiedziałam, że ze swoim wykształceniem prędzej czy później pewnie i tak skończę w korpo, wpatrując się w kolumny Excela, spinając tyłek, żeby zdążyć przed dedlajnem, robiąc overtajmy i świrując z powodu hałasu na ołpenspejsie. Nie powiem, żeby napawało mnie to zachwytem, miałam ochotę odwlekać tę chwilę najdłużej, jak się da. A więc czym mogłabym się zająć teraz? Szukać pracy w innej restauracji? Doświadczenie już mam. A może jakiś sklep odzieżowy? Drogeria? *Call center*? Sama nie wiem.

Przeciągnęłam się i wstałam z zamiarem rozprostowania zdrętwiałych kończyn. Przeszłam się wzdłuż regałów, kątem oka zerkając na tabliczki z oznaczeniem działów. Marketing internetowy, -e-commerce, zarządzanie zasobami ludzkimi, zarządzanie firmą, zarządzanie wiedzą... wiedzą? A co to? Wyciągnęłam rękę, wybrałam jedną książkę i otworzyłam na chybił trafił. Ciekawe... przerzuciłam kilka kartek i wróciłam z książką do stolika pod oknem. Zaczytałam się. Oprócz bezbarwnego omówienia typowych zagadnień takich jak kapitał intelektualny, konkurencyjność czy benchmarking autor duży nacisk kładł na sposoby zaangażowania pracowników, nawet tych najniższego szczebla. Wysnuł ciekawą teorię, że każdy pracownik — bez względu na swoje wykształcenie czy stopień doświadczenia zawodowego — najbardziej wartościowe narzędzia pracy ma w sobie, rodzi się z nimi. Chodziło przede wszystkim o talent, cechy charakteru, naturalne predyspozycje, które przekładają się na przykład na świetne pomysły i nowe rozwiązania. Na końcu znajdowało się coś w rodzaju testu — sprawdzianu dla pracownika, który miał za zadanie określić, czy praca daje mu satysfakcję, a tym samym, czy on stanowi wartość dla firmy. Wypisałam sobie z niego kilka pytań:

Kim chciałeś zostać, będąc dzieckiem?

Co jest aktualnie najważniejsze w Twoim życiu?

Jakie są Twoje mocne strony?

Jakie są główne cechy Twojego charakteru?

Kim są ludzie, których najbardziej podziwiasz?
Jak wyglądałby Twój idealny dzień?
Co znalazłoby się na szczycie Twojej listy „*Before I die*”?
Co sprawia, że czujesz się dumny i zadowolony z siebie?
Co Cię przeraża/irytuje/złości/stresuje?
Czy kochasz to, co robisz, i robisz to, co kochasz?

Bez zastanowienia dopisałam pierwszą odpowiedź: od zawsze chciałam zostać aktorką. Z drugim pytaniem miałam już większy problem. Liczą się dla mnie rodzina, przyjaźń, chciałabym wreszcie trafić na „tego jedyne”, który nie okazałby się kolejnym palantem... ale w tej chwili tak najbardziej liczy się chyba wytyczenie sobie jakiegoś kierunku w życiu, bo miałam wrażenie, że dryfuję jak sfatygowane drewnisko na morzu. Ciekawe, że nigdy nie zastanawiałam się nad swoimi mocnymi stronami. Pomyślmy... jestem otwarta, komunikatywna, nie boję się wyzwań. Trochę zakręcona, ale chyba w pozytywnym sensie. Za to z wymienieniem ludzi, których podziwiam, nie miałam żadnego problemu — lista moich ulubionych, utalentowanych aktorów rozrastała się z każdym tygodniem. Przypomniałam sobie weekend w rodzinnym domu, skrzynkę skarbów, pierwsze dyplomy i wyróżnienia. Byłam dumna, gdy jako dziecko dostawałam główne role w szkolnych przedstawieniach i gdy słyszałam: „Świetnie ci poszło!”. Puknęłam się w głowę. Przecież ja już wiedziałam. Chciałam być aktorką, chciałam występować w teatrze. Przebierać się, stawać na chwilę kimś zupełnie innym, dawać się ponieść wyobraźni i emocjom. Wywoływać emocje u innych, swoimi słowami i gestami doprowadzać ich do wzruszeń i do śmiechu. Spojrzałam na porozkładane zeszyty i podręczniki do ekonometrii. Nie kochałam tego, co robię obecnie, i nie robiłam tego, co kocham. Poszperałam w torebce i wyciągnęłam z niej zakładkę z cytatem znalezionym w skrzynce.

„Dlatego, że talent nie da się uciszyć, nie potrafi wygasnąć [...]”.

Może ja po prostu sama za mało w siebie wierzyłam? Przecież jeśli nie ja... to kto? Jeśli nie teraz... to kiedy? Dotarło do mnie, jakie głupie były moje dotychczasowe wymówki. Karolina miała rację, mówiąc, że wszyscy codziennie dostajemy dwadzieścia cztery godziny i to od nas samych zależy, co z nimi zrobimy. Teraz właściwie jestem na bezpiecznej pozycji, w końcu nawet jeśli się nie uda, zawsze mogę wrócić do ekonomii, poszukać pracy w biurze. Przecież nie jest za późno, mam całe życie przed sobą! Nie powiem, że za sprawą jakiejś książki z uczelnianej biblioteki dokonała się we mnie spektakularna przemiana, to byłoby stwierdzenie na wyrost. Chyba po prostu trafiłam na nią w odpowiednim czasie, a raczej na zawarte w niej pytania, bo odpowiedzi już dawno we mnie czekały. To wszystko razem się zbiegło, zerwanie, rozmowa z Karoliną, książka, metamorfoza. Byłam gotowa na zmiany i wyzwania. Dopadłam do wolnego komputera i wstukałam w -Google: „warsztaty teatralne Kraków”. Wow, nie spodziewałam się

tylu wyników! Kliknęłam kilka pierwszych stron. Warsztaty siedmiodniowe, popołudniowe, weekendowe... to dałoby się zrobić! Zerknęłam na program: interpretacja tekstów, impostacja głosu, obycie z kamerą i mikrofonem, integracja w działaniu ciała i emocji... czyli podstawy, idealny punkt zaczepienia. Dodatkowo udział w castingach i zniżki dla tych, którzy po warsztatach zdecydują się kontynuować naukę. Drżącą dłonią najechałam myszką na cennik. Ufff! Tanio nie jest, ale da się przeżyć. Bez zbędnego filozofowania kliknęłam „Zapisz się” i wprowadziłam swoje dane. Enter.

Kilkoma szybkimi ruchami zgarnęłam cały bajzel i tę cudowną książkę, która nareszcie ruszyła we mnie odpowiednie struny, do torby i wybiegłam z biblioteki. Zasiedziałam się, na zajęcia już nie było sensu iść, zostało jakieś piętnaście minut do końca. Jeśli trochę się pospieszę, to powinnam zdążyć na najbliższy tramwaj. Jest, już nadjeżdża!

Wciąż drżąc z podekscytowania i z wypiekami na policzkach, dotarłam do restauracji „Retro Style”. Nareszcie zrobiłam coś dla siebie, i to nie pytając nikogo o zgodę. Pierwszy krok w stronę tego, o czym marzę. Nigdy nie czułam się tak dobrze. Nareszcie będę miała coś, co stanie się moją pasją, odskocznią od uczelni, a kiedyś, kto wie, może i zawodem. „Manu byłby ze mnie dumny” — pomyślałam. Sam ciągle mnie namawiał, żebym zaczęła robić cokolwiek związanego ze swoimi zainteresowaniami. Zrobiło mi się odrobinę przykro, że nie mogłam tak po prostu do niego napisać lub zadzwonić i się pochwalić. Wątpię, żeby miał ochotę teraz ze mną rozmawiać, za dużo się między nami namieszało. A co to, samochód pana Kowalskiego? Szlag by to trafił, nie będzie dziś spokoju.

— Aśka! Gdzieś ty była?! — przywitał mnie gniewny ryk, tak jak się spodziewałam.

— Dzień dobry. Przecież jestem dziesięć minut przed czasem — zauważyłam grzecznie.

— Pospiesz się, do cholery! Dzwonił klient i zrobił rezerwację na cztery stoliki, masz pół godziny, żeby to ogarnąć! — krzyczał, jednocześnie wciskając mi do ręki fartuszek i szmatę. — Ma być na błysk, rozumiano?!

Spojrzałam na zaświnione blaty stołów i cały stosik nieumytych talerzy, których koleżanka z poprzedniej zmiany najwidoczniej nie zdążyła uprzątnąć. Jak niby mam to wszystko ogarnąć w pół godziny? Wbiłam wzrok w ogromną szczelinę w parkiecie. Dokładnie w tym miejscu przebiegała granica mojej cierpliwości.

— Wiesz pan co? Wal się pan. Sam sobie to posprzątaj — rzuciłam mu w twarz, ciskając fartuch na podłogę. — Rezygnuję.



I stało się. Byłam bez pracy, za to po pierwszych warsztatach. Dosłownie czułam, że odżyłam — ludzie tam byli fantastyczni, zaangażowani i niesamowicie kreatywni, a prowadząca zdecydowanie budziła szacunek. Te warsztaty to był strzał w dziesiątkę! Karolina pogratulowała mi tego pierwszego kroku, a rodzice na wieść o moim nowym zajęciu tylko odburknęli coś niewyraźnie. Czyli miałam ich błogosławieństwo.

Tymczasem wielkimi krokami nadchodziło Boże Narodzenie. Kraków jak zwykle o tej porze roku rozbłysnął już milionami światełek. Największe wrażenie robiły oczywiście galerie handlowe — choinki, bombki, lampki, sztuczny śnieg. I tłumy, tłumy ludzi spieszących po prezenty. A ja byłam mądrzejsza! I tym razem zamówiłam upominki dla wszystkich przez internet, już w listopadzie miałam przygotowaną wstępną listę. Szalik dla mamy, książka dla taty, świece zapachowe dla siostry, pluszowy miś dla Anusi, kosmetyczka dla Karoliny... bez szaleństw, przecież jako kelnerka nie zarabiałam kokosów, ale za to od serca. Szkoda tylko, że wykładowcy na uczelni za grosz nie czują tego świątecznego klimatu. Jak na złość uwzięli się, żeby jeszcze w tym tygodniu oddać zaległe projekty. Chociaż, może to i dobrze... skończę dzisiaj to dziadostwo i w Wigilię nie będę myślała o dłużnych papierach wartościowych.

Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Znaczy, jak zwykle próbowałam zrobić. Odpaliłam komputer i zaczęłam kopiować na slajdy informacje z Wikipedii. Obligacje skarbowe, korporacyjne, zerokuponowe. Jakiś wzór na stopę zwrotu... co to w ogóle ma być? Pierniczyć to, prezenty same się nie zapakują. Idę do sklepu po papier i wstążki. Włożyłam kurtkę, owinęłam się szczelnie szalikiem i już stojąc przy drzwiach, wrzasnęłam w głąb mieszkania:

— Potrzebujecie czegoś ze sklepu? — Cisza. No to idę.

Początkowo planowałam podejść tylko do papierniczego, który znajdował się tuż za rogiem, i ewentualnie wstąpić po kocią karmę. Sama nie wiem, jak to się stało, że nagle znalazłam się przy Długiej. Słońce, delikatny mróz, zero wiatru. Nogi jakoś same niosły mnie w stronę rynku. Wdychałam więc całą sobą krakowski smog, oglądałam wystawy sklepowe i delectowałam się pięknym dniem. Oczywiście ominęłam szerokim łukiem „New York Dream”, nie miałam najmniejszego zamiaru wpadać teraz na Michała. Natknęłam się za to na kogoś innego.

— Asia! Kurczę, dawno cię nie widziałem. Jak leci? — Patryk zauważył mnie pierwszy.

— *Fine, thanks.* Po staremu — odpowiedziałam i zarejestrowałam kątem oka, że przecież stoję tuż pod szyldem „KOMP-TUR”. No tak, zawędrowałam prosto do sklepu brata Mańka.

Wymieniliśmy uprzejmości. Dowiedziałam się tyle, że babcia ma się nieźle, święta planują spędzić z rodziną Baśki, a przygotowania do ślubu ruszyły pełną

parą. Już miałam się żegnać z Patrykiem, gdy nagle zastrzelił mnie pytaniem:

— Co właściwie się stało między tobą i Mańkiem?

— Nie rozumiem...

— No, on jest jakiś taki niedzisiejszy. Nawet na bloga ostatnio nic nie wrzuca. Chyba ostatnio nie spotykacie się tak często. Pokłóciliście się?

I co ja mam mu powiedzieć? Że stało się pomieszanie z poplątaniem?

— Tak... to znaczy nie, nie pokłóciliśmy się. Jakoś tak wyszło... — Zaraz, on coś mówił o jakimś blogu. Jakim znowu blogu? — Na bloga, mówisz? — Udawałam, że wiem, o co chodzi.

— Tak, wewlasnymswiecie.pl. Ostatnio ani jednego nowego zdjęcia nie ma.

„Zapamiętaj nazwę! Zapamiętaj nazwę!”

— Hmm, to rzeczywiście dziwne. Wiesz co, ja muszę lecieć. Wesołych! — Pożegnałam się niezbyt elokwentnie i ruszyłam w stronę przystanku tramwajowego, w biegu wstukując na smartfonie nazwę bloga, żeby jej przypadkiem nie zapomnieć. Oczywiście, dwa procent baterii. Potrzebuję komputera. Już! Dopadłam drzwi tramwaju, całe szczęście, że to tylko trzy przystanki. Zakupy w papierniczym zupełnie wyleciały mi z głowy.

Wpadłam do mieszkania i nie zdjawszy kurtki ani szalika, złapałam laptopa i wpisałam adres strony. Całą wieczność trwało, zanim się załadowała... Internet przerywa? Jasne, złośliwość rzeczy martwych, jak zwykle. W końcu moim oczom ukazał się przejrzysty, prosty szablon. Nie było żadnych zakładek, żadnej informacji „O mnie”, żadnych odnośników do portali społecznościowych, jak to zwykle bywa na blogach. Były za to zdjęcia. Mnóstwo zdjęć i nie miałam wątpliwości, że zostały zrobione przez Mańka, bo jego styl rozpoznałabym wszędzie. Kraków o poranku, Wawel, Sukiennice. Zwierzęta, czarna kotka, Szarik, nawet krakowskie gołębie. I ludzie — mnóstwo ludzi, zdjęcia zrobione ukradkiem na dworcu, na przystankach, nawet na uczelni. Każde jedyne w swoim rodzaju, kipiące emocjami, odsłaniające kawałeczek duszy osoby fotografowanej i samego fotografa. Gdzieniegdzie cytat, wiersz, wspomnienia zapisane w kilku luźnych zdaniach. Nie napisał tego wprost, ale niemal z każdej strony czuć było tęsknotę za rodzicami, za pełną, szczęśliwą rodziną. Szczególnie za mamą... niewypowiedziane, a jednak krzyczące z każdego zakamarka duszy: „Dlaczego cię tu nie ma?”. Scrollowałam jak urzeczona, nie mogłam się oderwać. Czując, że zaczyna mi się robić piekielnie gorąco, jedną ręką odwinęłam szalik i rzuciłam go na łóżko. I... zaraz, to ja? Tak! Ja też tam byłam. Ale dziwnym trafem żadne zdjęcie nie przedstawiało mnie całej — tylko pukiel włosów, dłoń głaszcząca kotkę, kawałek mojego uśmiechu. Manu doskonale wiedział, że cenię sobie prywatność i jestem przeciwna publikowaniu swoich zdjęć w internecie, nawet na Facebooku nie mam profilowego. „Uszanował to” — pomyślałam z zadowoleniem. Ale dlaczego nigdy nie powiedział mi o blogu? Myślałam, że rozmawiamy

o wszystkim i nie mamy przed sobą tajemnic. Cóż, widocznie jednak mamy.

Doszłam do postów z sierpnia. O, to ja na ławeczce na rynku. Jak udało mi się pstryknąć to zdjęcie, że niczego nie zauważyłam? Doskonale pamiętam ten dzień, to było niedługo po powrocie z Chorwacji i miałam wtedy niezłego doła. Zaraz, jest też podpis pod zdjęciem:

„Oddałem jej torebkę i już miałem odejść, kiedy coś mnie zatrzymało. Przyciągnęło jak magnes. Jej oczy w kolorze ciemnego bursztynu. Ciepłe, naturalne i tak głębokie, że można się było w nich utopić. Otoczone wianuszkami długich, mocno podkreślonych rzęs. Łzy sprawiały, że wyglądała zarazem słodko i smutno. Bursztynowy Anioł”.

Ostatnie słowa podziały jak zapalnik. Sięgnęłam ręką do dyndającego na mojej szyi aniołka, który od niedawna towarzyszył mi zawsze i wszędzie. Coś we mnie pękło. Tamy puściły i łzy popłynęły wartkim strumieniem.

— A co tu się wyrabia? — Karolina wtargnęła do mojego pokoju jak zwykle bez pukania. — Ty się zaraz utopisz. Czemu znowu ryczysz?

— Bo ja byłam taka głupiaaaa! — Ryczałam dalej. — Popatrz! Blog Mańka! Karolina zerknęła z zainteresowaniem na zdjęcie i podpis.

— Strasznie głupia, zgadzam się. I w dodatku ślepa. Chodź, przytul się. — Objęła mnie swoim kościstym ramieniem.

No właśnie, czemu ja byłam taka głupia? Miałam obok siebie faceta, który rozumiał mnie jak nikt inny i skoczyłby za mną w ogień. Przy nim czułam się sobą, był, wspierał, chyba kochał... a mnie zachciało się księciunia. Księciunia, z którym wszystko od początku było skazane na porażkę, bo przecież ten księciunio nie był z mojej bajki.

— Zbieraj dupsko i jedź do niego. Wyjaśnijcie sobie wszystko. — Karolina jak zwykle przejęła dowodzenie.

— Przecież on nie chce mnie już widzieć! Jak by to wyglądało, że wracam do Manu, bo Michał mnie rzucił... zbłaźnię się i tyle.

— A kochasz go?

Przestałam płakać i otworzyłam szeroko oczy. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Manu... po prostu był. A teraz go nie ma, a ja czuję, jakby częśćka mnie gdzieś wyparowała. Po Alexie był szok i niedowierzenie, że po tylu latach mógł mnie tak potraktować. Po Michale była rezygnacja i smutek. A po Mańku... nie wyobrażam sobie codzienności bez Mańka.

— Kocham — powiedziałam na głos.

— To bierz żółtko, Agata i tak leży w łóżku z katarem, więc go nie potrzebuje. Jedź!

— Nie — zaświeciła mi się lampka. — Mam lepszy pomysł.

Karolina dała za wygraną i nawet nie wypytywała, co też przyszło mi do głowy. Wytarłam nos i pobiegłam do łazienki chociaż ochlapać zapuchnięte oczy

zimną wodą. Doprowadziłam się do jakiegoś takiego porządku, wróciłam przed komputer i wpisałam w Google: „Turowska, dziennikarka”. Przeglądając wyniki, zapytałam przyjaciółkę ciągle krążącą gdzieś w pobliżu:

— Karola?

— Co jest?

— Ale czemu mi wcześniej nie wybiłaś Michała z głowy? Czemu nie kopnęłaś mnie w dupę i nie otworzyłaś oczu na Mańka?

— O matulu! Co za głupie pytanie. Michał to ciacho, a wiesz, jak się zachowujesz, gdy ktoś próbuje ci zabrać słodycze. A co do Mańka... Małpo, przecież obie z Agatą próbowałyśmy, a ty byłaś ślepa. Widocznie do pewnych rzeczy trzeba dojść samemu.

Prawda. Do pewnych rzeczy trzeba dojść samemu. Kliknęłam kolejną stronę. Media, prasa, kontakt, adres e-mail... mam to! Co można zrobić dla kogoś, kogo się kocha i zupełnie się to spieszyło? Podarować mu to, do czego najmocniej tęskni, oczywiście.



— Kowalik? Twoja kolej, czytaj!

Ocknęłam się z zamyślenia, chwyciłam kartkę z tekstem, przyglądałam sukienkę i wyszłam na środek sali. Przede mną stał Piotr — chłopak o niesamowitym poczuciu humoru — i poprawiał doklejone kocie wąsy.

— „Czy nie mógłby pan mnie poinformować, któredy powinienam pójść?” — zapytałam głosem małej, zagubionej dziewczynki.

— „To zależy w dużej mierze od tego, dokąd pragnęłabyś zajść” — odparł Kot-Piotrek.

— „Właściwie wszystko mi jedno”.

— „W takim razie również wszystko jedno, któredy pójdziesz”.

— „Chciałabym tylko dostać się dokądś”.

— „Ach, na pewno tam się dostaniesz, jeśli tylko będziesz szła dość długo”⁷.

Prowadząca pokazała nam uniesiony kciuk. Udało się: doszłam „dokądś”. Nareszcie ktoś mnie zauważył, docenił moje wysiłki i nie szczędził pochwał. Jaka to miła odmiana po przeżyciach pod tablicą na matmie! Wiedziałam, że jako Alicja jestem dobra. Miałam donośny głos, umiałam swobodnie poruszać się po scenie i pokazywać emocje. Ta rola po prostu była dla mnie stworzona. Już nie mogłam się doczekać aktorskiego debiutu. Premiera spektaklu była zaplanowana na połowę stycznia, co oznaczało, że biorąc pod uwagę przerwę świąteczną, zostało nam bardzo niewiele czasu na przygotowania. Naszą widownią miały być dzieci z kilku krakowskich szkół, a cały dochód miał zostać przeznaczony na leczenie dziewczynki chorej na autyzm. Każdą wolną chwilę spędzałam, ucząc się na

pamięć tekstu i kompletując stroje z pozostałymi uczestnikami warsztatów. Chodziłam niewyspana, opuściłam kilka zajęć na uczelni, ale... chyba wreszcie byłam szczęśliwa. To, co robiłam, wreszcie miało sens. Pozytywna energia wręcz mnie rozpierała, chciałam krzyknąć na głos: „Patrzcie na mnie!”.

— Znakomicie! To wszystko na dziś. — Pani Magda ogłosiła koniec zajęć. — Kochani, chciałabym życzyć wam spokojnych, rodzinnych świąt. Abyśmy za tydzień mogli się tutaj spotkać w znakomitych humorach, wypoczęci i z nowym zapałem do pracy. Wesółych!

Wszyscy po kolei wymieniali uściski i całusy. To niesamowite, jak bardzo można się zżyć z niektórymi ludźmi w ciągu zaledwie kilku spotkań. Na pewno ma to związek z tym, że wszyscy nadawaliśmy na tych samych falach i łączyła nas wspólna pasja. Już teraz planowaliśmy (wakacyjne!) wyjazdy na obozy aktorskie i spotkania z naszymi idolami. Aż trudno mi było uwierzyć, jak to możliwe — rozmawiać z kimś całymi godzinami i ciągle mieć tematy do rozmów. Zaliczyliśmy już dwa wypady na piwo po zajęciach i ciągle było nam mało. Po raz pierwszy czułam się tak bardzo na miejscu, tak bardzo sobą. Dlaczego tak dużo czasu zajęło mi zrobienie pierwszego kroku w kierunku tego, o czym zawsze marzyłam? Może po prostu musiałam do tego dojrzeć, doczekać odpowiedniego momentu, zrozumieć? To takie prawdziwe: „Tylko strach może powstrzymać marzenie”. Nic dodać, nic ująć.

W drodze powrotnej wstąpiłam do sklepu i kupiłam składniki na pierniczki. Przyjaciółki już wyjechały do swoich rodzin, miałam całe mieszkanie dla siebie, więc mogłam spokojnie zająć się pieczeniem. Jutro Wigilia, chciałam dodać coś od siebie, a pierniki to chyba coś, co trudno spierniczyć. Nie wiem, nigdy sama nie robiłam. Zaraz się przekonamy.



Naciągnęłam czapkę na uszy, szczelnie owinęłam się szalikiem i jeszcze raz sprawdziłam, czy wszystko mam. Prezenty — są, pierniczki (udane!) — są, Amorek w transporterze — jest. Planowałam spędzić w rodzinnym domu kilka dni, dlatego tym razem kot jechał ze mną. Wślizgnęłam się ostrożnie na siedzenie obok Anusi. Skorzystałam z łaskawości swojej siostry i razem z nią postanowiłam zabrać się do rodziców.

— Ciocia! — Anusia nie omieszkała uraczyć mnie soczystym buziakiem. Czy już kiedyś wspominałam, że uwielbiam tę małą? — Mama, patrz! Ciocia ma kici!

Pomimo prawie pustych ulic jechaliśmy bardzo powoli ze względu na śliską drogę. Pogoda była wręcz wymarzona na święta. Szczypiący w policzki mróz i delikatnie prószący, świeży śnieg, który jeszcze nie zdążył przybrać typowej dla

dużego miasta, szarobrazowej barwy. Patrzyłam przez szybę i podziwiałam świąteczne dekoracje. Ulice i niemal każdy mijany dom przystrojone były kolorowymi lampkami, które mrugały wesoło, wprowadzając w nastrój radosnego oczekiwania.

Pod domem rodziców stały już dwa samochody. Czyli babcia Lucyna, ciotka Gosia z rodziną i dziadkowie ze strony mamy już są obecni. Przekroczyłam próg i o mało się nie wywróciłam. Całą powierzchnię mikroskopijnego korytarza zajmowały buty i płaszcze gości. Już tutaj było słychać gwar rozmów, a mój nos od razu wyczuł zapachy wigilijnych potraw.

— Olga, Asia! Nareszcie jesteście, chodźcie do kuchni mi pomóc! — Mama od razu wykorzystała naszą obecność. — Anusia, porozkładasz sztuce. — Nagle mama się zatrzymała i przyjrzała mi się uważniej. — Ładnie ci.

Faktycznie, nikt z rodziny jeszcze nie widział mojej nowej fryzury, z mamą rozmawiałam tylko przez telefon. Tak spodobały mi się proste włosy, że zaraz po metamorfozie zaopatrzyłam się w nową prostownicę. Przyzwyczyłam się, już nie wyobrażałam sobie powrotu do loków.

Jak co roku zajrzałam do salonu i rzuciłam krótkie: „Cześć wszystkim!” i jak co roku pognałam do kuchni, w locie zakładając jeden z mamusinych fartuszków, aby nie zabrudzić odświętnego ubrania. Jak co roku wszystkie trzy — mama i dwie córki — kroiliśmy, doprawialiśmy, nakładaliśmy, nakrywaaliśmy do stołu. Tym razem szło mi jednak o wiele sprawniej, praktyka w restauracji zrobiła swoje i nawet niczego nie straciłam ani nie rozlałam, co mama zauważyła z zadowoleniem. Ja z kolei dostrzegłam, że promieniała: miała lekko zaróżowione policzki, uśmiechała się do wszystkich i sypała żartami na prawo i lewo. Dawno nie widziałam jej w tak dobrym nastroju. Na jej szyi zauważyłam elegancki złoty wisior, jestem pewna, że nie miała go wcześniej. Czyżby prezent od taty? Dzwonił do mnie kilka dni temu pochwalić się, że zabrał ją na kolację i długi, romantyczny spacer. „Zadziałało”, szepnął mi w korytarzu, zadowolony z siebie. Ucieszyłam się, że moje rady na coś się przydały.

Świąteczny stół wyglądał pięknie. Mama miała dryg do dekoracji, co roku przygotowywała nowe ozdoby. Tym razem przy każdym nakryciu zrobiła minidekorację z szyszek oprószonych srebrnym brokatem. To po to, skubana, taszczyła ich z lasu całe reklamówki! Na środku stołu widać było małe wybrzuszenie, czyli pod obrusem tradycyjnie znajdowało się sianko. Wysokie świece, szopka, Pismo Święte. I ten cudny zapach — choinka obowiązkowo musiała być żywa, zielona, pachnąca lasem. Tym razem była wyjątkowo duża, zajmowała cały róg pokoju. A pod choinką cała fura prezentów. Uśmiechnęłam się, podziwiając znajomy widok. Co roku wszyscy tradycyjnie zarzekali się, że to już ostatni raz, że nie ma sensu, że wystarczyłyby słodczyce... i co roku każdy miał coś dla każdego, choćby drobiazg.

— Pierwsza gwiazdka! — poinformowała wszystkich Anusia, która już od dłuższego czasu z niecierpliwością spoglądała w okno ukryta za firanką.

— Już pół godziny temu była. — Mój irytujący kuzyn Maciek, jak zwykle, musiał wtrącić swoje trzy grosze.

— A wcale nie! Patrzyłam!

— Widocznie przegapiłaś — przekomarzał się z Anią.

— W takim razie zaczynamy! — zarządził mój tata, zanim doszłoby do kłótni.

Babcia Lucyna jako najstarsza z rodziny przeczytała zachrypniętym głosem zaznaczony fragment Ewangelii i zmówiła króciutką modlitwę. Łza mi się w oku zakręciła, gdy tak patrzyłam na całą rodzinę zebraną wokół stołu. Zawsze o tej porze czułam ogromną wdzięczność. Odkąd sięgam pamięcią, cokolwiek by się działo, co roku spotykaliśmy się w tym samym miejscu, w tym samym składzie. Zapominaliśmy o wszystkich sporach i problemach, po prostu cieszyliśmy się tym rodzinnym czasem. Ta chwila zawsze była dla mnie magiczna, nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek mogłabym spędzać Boże Narodzenie w inny sposób. Czas na opłatek.

Składanie życzeń trwało i trwało. Przy każdej innej okazji wszyscy życzyli sobie — banalnie — zdrowia i pomyślności, jednak te wigilijne życzenia były inne, szczerze, przemyślane. Z ust najbliższych usłyszałam o tym, czego potrzebowałam najbardziej: o sile, odwadze, miłości i wzajemnej życzliwości.

— Córeczko. Jesteśmy z ciebie dumni — niespodziewanie zapewnili mnie rodzice. — To był dla ciebie trudny rok, a ty jak zawsze wyszłaś z tego obronną ręką i jeszcze zaczęłaś rozwijać swoją pasję, choć, przyznajemy, byliśmy do tego nastawieni dość sceptycznie. Powodzenia, kochanie.

Wtuliłam się wzruszona w miękki biust mamy.

— Powodzenia, siostra. I w miłości. Wyczerpałaś już limit na palantów, zasługujesz na kogoś ekstra. — Olga również totalnie mnie zaskoczyła.

— Tobie również życzę powodzenia, ale w pracy, bo miłość już masz. Jestem pewna, że zajdziesz daleko — zrewanżowałam się i w przypiływie czułości pocałowałam siostrę w policzek.

— Idź, bo mi makijaż rozmażesz!

Roześmiałyśmy się obie.

Na stół zaczęły wjeżdżać dania wigilijne. Nigdy nie było dwunastu potraw, ale i tak trzeba się było później ratować. Mama nie uznawała kupowania niczego gotowego, stawiała sobie za punkt honoru, aby wszystko przygotować samodzielnie. No, prawie wszystko — pierogi ulepiła babcia, a rybę tym razem przywiozła ciocia Gosia. Ja jak zwykle nie mogłam się doczekać barszczyku z uszkami, ten wigilijny był specjalny, smakował zupełnie inaczej niż w dni powszednie. Nakładałam sobie właśnie kolejną porcję uszek, gdy wystraszona

głośnym hukiem wypuściłam łyżkę z ręki. Co, u licha?!

— Co, u licha?! — zagrział tata. — Niech ktoś zabierze tego cholernego kota!

Nawet przygłucha babcia Lucyna podskoczyła na krześle. Kolejne bombki spadły z choinki i głośno się roztrzaskały. Uff, na szczęście to te ze starego kompletu, inaczej ładnie by mi się dostało. Winowajca zeskoczył na kanapę i spokojnie obejrzał swoje dzieło, a gdy zauważył tatę i wujka pędzących w jego stronę, szybko dał susa przez uchylone drzwi i schował się w szafie w korytarzu. Maciek zarechotał głośno, miał gówniarz radochę.

— Amorek! — pobiegłam ratować wystraszonego kociaka. — Kocie, co ty wyprawiasz? — Jakimś cudem udało mi się go wyciągnąć i zanieść do pokoju obok. Tam nie będzie nikomu przeszkadzał. Obejrzałam go jeszcze z każdej strony, by się upewnić, czy nic mu się nie stało — byłam przewrażliwiona na jego punkcie po tej historii z trującym kwiatkiem. Wracałam do stołu, gdy wtem usłyszałam dzwonek do drzwi. Hę? Niespodziewany gość?

— Otworzę! — krzyknęłam i otworzyłam.

O.

Manu.

— Jesteś — powiedziałam po prostu.

— Jestem — przyznał. — Nie przeszkadzam? Moglibyśmy...?

— Jasne — odpowiedziałam, już zapinając kurtkę. — Mamo, wychodzę na chwilkę! Zaraz będę z powrotem! — Wyszliśmy i szybko zamknęłam drzwi, zanim ktokolwiek mógłby się oburzyć, że opuszczam rodzinne spotkanie.

Powoli wyszliśmy na drogę. Rano przejeżdżał tędy pług, ale ponieważ śnieg prószył przez cały czas, stopy już zapadały się w miękkim puchu. Szliśmy przed siebie, milcząc, zupełnie jak kiedyś. Dobrze było znów mieć go obok siebie. Byłam ciekawa, czy nikt nie robił Mańkowi problemów, że nie ma go na wigilii. Chciałam nawet o to zapytać, ale zaraz pomyślałam, że to byłoby chyba nie na miejscu. Patryk, Baśka i jej rodzina pewnie jak zwykle są tak zajęci sobą, że niewiele ich obchodzi jego obecność. Pytając, niechcący mogłabym sprawić mu przykrość. A on wcale nie wyglądał na kogoś smutnego, wręcz przeciwnie. Kątem oka zerknęłam na przyjaciela — na jego twarzy błędził lekki uśmiech, dawno nie widziałam go tak... szczęśliwego? Ciekawe.

— Asia — przystanął w końcu i wziął mnie za rękę. Chciał coś powiedzieć, ale oczywiście nie wiedział, jak zacząć.

— Przyjechała? — domyśliłam się.

— Zadzwoiła. Przegadaliśmy ładne kilka godzin. Najdłuższe kilka godzin w moim życiu.

— I...?

— Wyjaśniliśmy sobie wszystko... Płakała. Przepraszała. Kiedyś

wyobrażałem sobie, że zadzwoni, i chciałem wysłać ją do stu diabłów, a zamiast tego — wybaczyłem. Mówiła i mówiła, a ja rozumiałem coraz więcej. Jakby wielki kamień spadł mi z serca. Obiecała, że przyjedzie zaraz po Nowym Roku, już zarezerwowała sobie lot — opowiadał, śmiejąc się.

— Borze szumiący, to świetne wieści! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! — wykrzyknęłam i uściśnęłam go najmocniej, jak potrafiłam.

— Asia, to wszystko dzięki tobie, ty sprawiłaś, że znów mam matkę. Nie wiem, jak ci dziękować.

— Chłopie, żebyś ty wiedział, jak się stresowałam, pisząc do niej. Nie wiedziałam, czy nie ruszę lawiny, nie namieszam, nie pogorszę sytuacji... wiesz, że ja mam do tego talent.

— Pogorszyć się nie dało. Nie wiem, co ty jej tam napisałaś, i właściwie mnie to nie interesuje. Wiem tylko, że dokonałaś niemożliwego.

Śmiałyśmy się oboje. Lepszych wieści, i to w Wigilię, nie mogłam sobie wymarzyć.

— Patryk wie? — zapytałam.

— Nie. Umówiliśmy się, że mama zrobi mu niespodziankę. Chce osobiście pogratulować mu zaręczyn.

— Nie mogę się doczekać, aż ją poznam.

— I ona również chciałaby cię poznać. Kilka razy pytała, co to za dziewczyna ma taki tupet. Kazała mi porządnie natrzeć cię śniegiem i nigdy więcej nie puścić — powiedział i zrobił coś, czego nigdy w życiu nie spodziewałabym się po tym spokojnym chłopaku: pchnął mnie z całych sił w przydrożną zaspę. Byłam tak zaskoczona, że zanim się zorientowałam, zdążyłam kilka razy oberwać śnieżką. Czapka mi się zsunęła, niewiele widziałam i gramoliłam się niezdarnie, a Manu nie przestawał rzucać. W końcu stanęłam na nogi i sama przystąpiłam do ataku.

— A masz! — krzyknęłam i rzuciłam w niego sporą śniegową kulą, która niestety minęła cel o kilka centymetrów. Co tam, zrewanżuję się inaczej! Skorzystałam z okazji, że na moment się odwrócił, i sama pchnęłam go w zaspę. Niestety, wykazał się przytomnością umysłu, o którą bym go nie podejrzewała: złapał mnie za rękaw i w zaspie wylądowaliśmy oboje. Ja pod spodem.

Wyplułam śnieg i przetałam oczy. Manu leżał na mnie, ale jakoś nie bardzo spieszyło mu się, żeby wstać i pomóc mi się podnieść. Przyglądał mi się, a na twarzy miał uśmiech od ucha do ucha.

— Pasuje ci ta fryzura. Śliczna jesteś — powiedział.

— Dziękuję — odparłam zaskoczona.

— I głupiutka.

— Dzień... sam jesteś głupi! — Próbowałam go uderzyć, ale przyciskał mnie całym ciężarem i nie mogłam się ruszyć. Czemu on cały czas się śmiał?

— Wiem o blogu — powiedziałam.

— Wiem, że wiesz.

— Nie jestem już z Michałem.

— To też wiem.

— Zapisałam się na warsztaty aktorskie.

— O, a tego nie wiedziałem. Czas najwyższy!

Bez przerwy patrzył mi w oczy. I nagle mnie pocałował, prosto w usta.

Nie było fajerwerków, motylków w brzuchu ani romantycznych uniesień. Za to było zimno. I tak ciemno, że nie miałam pojęcia, jak trafimy z powrotem do domu.

— Mamy sporo do nadrobienia — powiedział.

— Fakt — przytaknęłam. — Możesz już ze mnie zejść? Ciężko mi. Mam śnieg za kołnierzem i przemokły mi buty.

— Jasne, sorki.

Wstaliśmy i otrzepaliśmy się ze śniegu.

— Aha, byłbym zapomniiał. Mam dla ciebie prezent. — Wyjął z kieszeni lekko zmiętą kopertę.

Chwilę mi zajęło otwarcie jej skostniałymi z zimna palcami. O, proszę! Dwa bilety, Stary Teatr, Szekspir. Lepszego prezentu nie mogłam sobie wymarzyć.

— Kocham cię, wiesz?

— Wiem. Ja ciebie też.

1 Fragment książki Jonathana Carrola pt. *Śpiąc w płomieniu* w przekładzie Pawła Kwiatkowskiego.

2 Myśl Jiddu Krishnamurtiego.

3 Myśl Jeana Cocteau.

4 Fragment piosenki *Supergirl* zespołu Reamonn.

5 Fragment tekstu Joan Magretty pt. *Why Business Models Matter*.

6 Fragment książki Stephena Kinga, pt. *Mroczna wieża* w przekładzie Zbigniewa A. Królickiego.

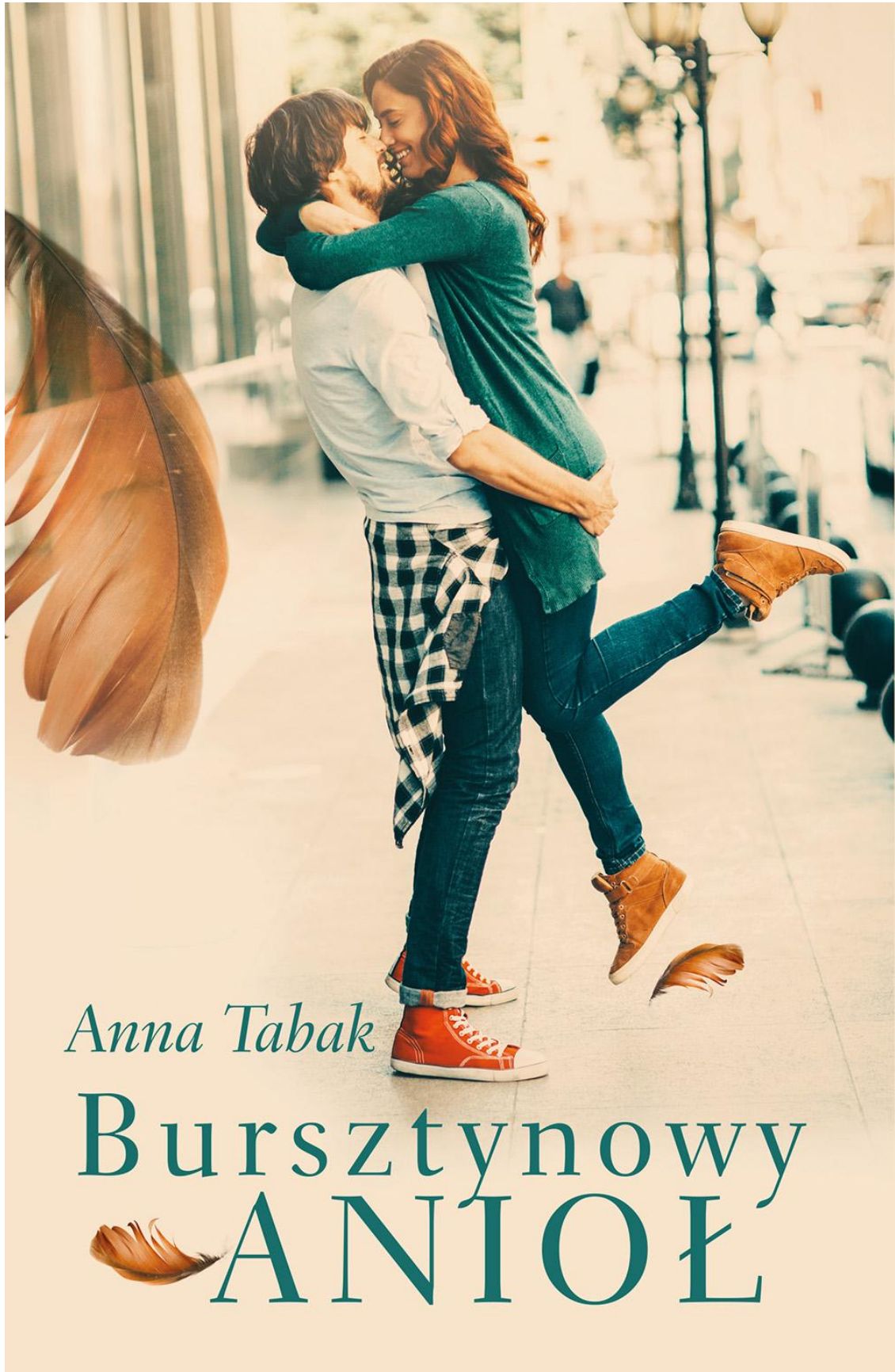
7 Fragment książki Lewisa Carrola pt. *Alicja w Krainie Czarów* w przekładzie Antoniego Marianowicza.

Od Autorki

Bursztynowy Anioł to dla mnie książka wyjątkowa. Jest moim literackim debiutem i jednocześnie spełnionym marzeniem — marzeniem o pisaniu. Od dnia, w którym powstał pierwszy szkic powieści, do momentu jej wydania minęło mnóstwo czasu. Ogromnie się cieszę, że udało mi się zmobilizować do jej ukończenia i że odważyłam się nią podzielić.

W tym miejscu chciałabym gorąco podziękować Wydawnictwu Zysk i S-ka za miłą i profesjonalną współpracę. Dziękuję również moim bliskim: Mężowi — za obecność i wsparcie na każdym etapie prac nad powieścią, oraz Rodzicom — za to, że już w dzieciństwie zaszczepili we mnie miłość do książek.

Nie bójcie się marzyć i sięgać po te marzenia. Po prostu róbcie to, co kochacie... Warto!



Anna Tabak

Bursztynowy
ANIOŁ